



colloquia  
orientalia  
bialostocensia

LITERATURA/HISTORIA



WYDZIAŁ FILOLOGICZNY  
UNIwersYTETU W BIAŁYMSTOKU  
NAUKOWA SERIA WYDAWNICZA



colloquia  
orientalia  
bialostocensia

LITERATURA/HISTORIA

9

STUDIA TATARSKIE  
pod redakcją  
Grzegorza Czerwińskiego

Seria 2

KATEDRA BADAŃ FILOLOGICZNYCH  
„WSCHÓD – ZACHÓD”

## KOMITET REDAKCYJNY SERII:

Mariya Bracka, Piotr Chomik, Lilia Citko, Agnieszka Czajkowska, Krzysztof Czajkowski, Grzegorz Czerwiński, Joanna Dziedzic, Anna Janicka, Tadeusz Kasabuła, Andrzej P. Kluczyński, Kamil Kopania, Krzysztof Korotkich, Grzegorz Kowalski, Lucy Lisowska, Jarosław Ławski [Przewodniczący], Barbara Olech, Iwona E. Rusek, Michał Siedlecki, Łukasz Zabielski, Paweł Kuciński

Recenzenci tomu:

**prof. zw. dr hab. Tadeusz Bujnicki**  
**dr hab. Anna Kieźuń, prof. UwB**

Redaktor tomu: Grzegorz Czerwiński  
Opracowanie graficzne i skład: Alter Studio  
Korekta: Małgorzata Sylwestrzak  
Copyright by Uniwersytet w Białymstoku, 2013  
Copyright by Grzegorz Czerwiński

Zdjęcie Stanisława Kryczyńskiego pochodzi z czasopisma „Wschód-Orient”. Pozostałe ilustracje pochodzą ze zbiorów Gabinetu Rękopisów Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie (rękopisy Stanisława Kryczyńskiego).

ISBN 978-83-64081-09-5

**Książka została przygotowana i wydana w ramach projektu badawczego „Literatura polsko-tatarska po 1918 roku”. Projekt finansowany ze środków Narodowego Centrum Nauki przyznanych na podstawie decyzji numer DEC-2012/07/B/HS2/00292.**



Wydawca tomu:

Alter Studio  
15-082 Białystok  
ul. Świętojańska 8 lok. 5  
tel./fax 85 732 01 88  
e-mail: [biuro@alterstudio.com.pl](mailto:biuro@alterstudio.com.pl)  
[www.alterstudio.com.pl](http://www.alterstudio.com.pl)

STANISŁAW KRYCZYŃSKI

WSPOMNIENIA  
UTWORY POETYCKIE  
ESEJE

WSTĘP, WYBÓR I OPRACOWANIE  
GRZEGORZ CZERWIŃSKI

Białystok 2014

## NAUKOWA SERIA WYDAWNICZA COLLOQUIA ORIENTALIA BIALOSTOCENSIA

Wschód, Pogranicza, Kresy, obrzeża i krańce, peryferie i prowincja to miejsca o szczególnej mocy kulturotwórczej. Równocześnie jest to przestrzeń oddziaływania odmiennych centrów cywilizacyjnych, religijnych, językowych, symbolicznych i literackich. Białystok i Podlasie, dawne ziemie Wielkiego Księstwa Litewskiego i całej jagiellońskiej Rzeczypospolitej to miejsce i dynamiczna przestrzeń pograniczna w głębokim znaczeniu: stykają się tutaj przecinające Europę na pół płyty kontynentalne cywilizacji łacińskiego Zachodu i bizantyjskiego Wschodu. Ścierają się tu, ale nie niszcząc wzajemnie, Orient ze światem Zachodu, Bałtowie ze Słowianami, prawosławni z katolikami, Białorusini z Polakami, Ukraińcy i Rosjanie. To źródło niemal wygasłej, niegdyś żywej tradycji żydowskiej, wyniszczonej przez Szoah, powoli odbudowującej się w nowym otoczeniu kulturowym i etnicznym. Tu znajdują się wielkie centra religijne i kulturalne wschodniego i zachodniego chrystianizmu: Ostra Brama, Żyrowice, Święta Góra Grabarka, Poczajów, Troki, Ławra Supraska, Grodno, Żytomierz, Bar, nade wszystko Ławra Kijowsko-Pieczerska; tu leżą ośrodki polskiego islamu: Kruszyniany i Bohoniki, centra religijne Karaimów, źródła chasydyzmu.

**Białostockie Kolokwia Wschodnie** to idea służąca międzykulturowej i między-religijnej wymianie myśli, utrwalaniu źródeł pamięci i tożsamości kulturowo-historycznej, badaniu świadectw literackich, artystycznych, przedstawiających przenikanie się wiar, kultur i tożsamości.

„**Colloquia Orientalia Bialostocensia**” to naukowa seria wydawnicza, której zadaniem jest publikowanie materiałów źródłowych i prac naukowych dotyczących szeroko rozumianego dziedzictwa europejskiego Wschodu. Jego części stanowią...

- Kultura, literatura, historia Europy Środkowej i Wschodniej.
- Cywilizacyjne i kulturowe pogranicza Europy i innych kontynentów, Orientu, Południa, Śródziemnomorza.
- Pierwsza Rzeczpospolita oraz kultury krajów słowiańskich, bałtyckich, germańskich, romańskich.
- Wielkie Księstwo Litewskie, Podlasie i Polesie, Inflanty, Kresy, pogranicze wschodnie, Prusy Wschodnie.
- Kultury mniejszości: Białorusinów, Żydów, Karaimów, Ukraińców, Rosjan, Niemców, Romów, Tatarów, staroobrzędowców, prawosławnych, protestantów.
- Tradycje, obrzędy, symbole i mity narodów Wschodu, języki ludów zamieszkujących tę kulturową przestrzeń.

RADA NAUKOWA SERII WYDAWNICZEJ  
COLLOQUIA ORIENTALIA BIALOSTOCENSIA:

Andrzej Baranow (Uniwersytet Pedagogiczny w Wilnie, Litwa)  
Krystyna Barkowska (Uniwersytet w Dyneburgu, Łotwa)  
Adam Bezwiński (UKW, Bydgoszcz)  
Olena Bondarewa (Kijów, Ukraina)  
Grażyna Borkowska (IBL PAN, Warszawa)  
Tadeusz Bujnicki (UW, Warszawa) – Przewodniczący  
Urszula Cierniak (AJD, Częstochowa)  
Mieczysław Jackiewicz (Uniwersytet Warmińsko-Mazurski, Olsztyn)  
Wołodimir Jerszow (Uniwersytet w Żytomierzu, Ukraina)  
Dmitry Karnaukhov (Nowosybirsk, Rosja)  
Zbigniew Kaźmierczyk (Uniwersytet Gdański)  
Anna Kieźuń (Uniwersytet w Białymstoku)  
Halina Krukowska (Uniwersytet w Białymstoku)  
Ryszard Löw (Tel-Aviv, Izrael)  
Jan Leończuk (Książnica Podlaska, Białystok)  
Natalia Malutina (Odessa, Ukraina)  
Elżbieta Mikiciuk (Uniwersytet Gdański)  
Małgorzata Mikołajczak (UZ, Zielona Góra)  
Antoni Mironowicz (Uniwersytet w Białymstoku)  
Swietłana Musijenko (Grodno, Białoruś)  
Aleksander Naumow (UJ, Kraków)  
Viviana Nosilia (Uniwersytet w Padwie, Włochy)  
Jerzy Nikitorowicz (Uniwersytet w Białymstoku)  
Eulalia Papla (UJ, Kraków)  
Danuta Piwowarska (UJ, Kraków)  
Jarosław Poliszczuk (Kijów, Ukraina)  
Rościsław Radyszewski (Uniwersytet Kijowski, Ukraina)  
German Ritz (Universität Zürich)  
Krzysztof Rutkowski (UW, Warszawa)  
Tadeusz Sucharski (AP, Słupsk)  
Wanda Supa (Uniwersytet w Białymstoku)  
Halina Turkiewicz (Uniwersytet Pedagogiczny w Wilnie, Litwa)  
Alois Woldan (Universität Wien)  
Igor Wasiliewicz Żuk (Uniwersytet w Grodnie)



Stanisław Kryczyński  
(1911–1941)



## SPIS TREŚCI

WSTĘP .....	15
Twórczość literacka Stanisława Kryczyńskiego .....	17
Biografia .....	17
Działalność naukowo-badawcza .....	22
Dzieje rękopisów .....	25
Aspekty literackie twórczości Kryczyńskiego .....	31
Zasady wydania .....	37
Wybrana bibliografia .....	39
PISMA LITERACKIE STANISŁAWA KRYCZYŃSKIEGO .....	43
I. Wspomnienia z poszukiwań naukowych .....	45
II. Zapiski wspomnieniowe .....	123
III. Myśli o literaturze .....	139
IV. Wiersze, proza poetycka i narracyjna .....	145
Proza poetycka i narracyjna .....	145
Rozdział I. (1) .....	145
Rozdział I. (2) .....	146
[ <i>Urszula – oczy palające, nieprzytomne prawie...</i> ] .....	148
Zbójnicy .....	148
Impromptu .....	149
Zmierzch na wsi .....	149
[ <i>Ów pan miał jedną nogę drewnianą...</i> ] .....	150
Szarańcza .....	150
Karczma .....	151

---

Bitka .....	151
8 IV 1935 .....	153
Dzwony .....	153
[ <i>Wisła płynęła wolno...</i> ] .....	153
Kozacy (Wspomnienie Reiny...) .....	154
Jabłoń .....	155
Sad .....	155
Plan .....	155
[ <i>Ogień syczał, buzował, wybiegał w niebo...</i> ] .....	155
Szkoła .....	155
Miasto przed oblężeniem .....	156
Ratusz krakowski, rok 1660 .....	156
[ <i>Stajnia był to ogromny budynek drewniany...</i> ] .....	156
Lirnik .....	157
Odpust .....	157
Po łacinie .....	157
Po bójce .....	157
[ <i>Oto pyszniły się przedziwnym urokiem...</i> ] .....	157
W łodzi .....	158
[ <i>Czeszki – harfiarki...</i> ] .....	158
[ <i>Zimowe południe...</i> ] .....	158
Napad .....	158
Lato .....	158
Miotlarz .....	159
[ <i>Zaczął chodzić do szkoły...</i> ] .....	159
Zima .....	159
Kruki .....	160
Wróble .....	160
Duet .....	160
Dziewczyna .....	161
Studnia .....	161
Krawiec gra na harfie .....	161
[ <i>Taki strach ogarnął ludzi...</i> ] .....	161
[ <i>Roziskrzzone w słońcu żółte źdźbła słomy...</i> ] .....	162
[ <i>Czerwony winograd okrywa szczyty domów...</i> ] .....	162

[ <i>Roziskrzzone słońcem żdźbła słomy...</i> ]	162
Koń na grobli	163
Koń na trawniku	163
Baby w kapeluszach	163
Zasadzka na złodzieja	164
[ <i>Starzec siwy, lecz rumiany...</i> ]	164
Starość	164
Koń	165
Pożegnanie	165
Strumyk	165
Dzieci	166
Zwierciadło	166
Cyganie	167
[ <i>Szumiała szara masa wody...</i> ]	168
[ <i>Patrzymy martwo kamiennymi oczyma...</i> ]	168
[ <i>Oto ogromna chmura...</i> ]	168
[ <i>Gdy idę ulicą...</i> ]	168
Poranek	169
[ <i>Rzeka stała się srebrzystą szeroką wstęgą...</i> ]	169
Matka	170
Aptekarz	170
[ <i>Był to mizerny człeczyna...</i> ]	170
Skarb w lesie	171
Rycerz	171
Woda	171
Maj – czerwiec	172
Orkan	172
[ <i>Ubrawszy się w pilśniowy kapelusz...</i> ]	172
[ <i>Dzwony biły...</i> ]	172
Miotlarz	173
Wspomnienie	173
Wiersze	177
W mrok rozwichrzony	177
[ <i>Odeszłaś obojętna, obca...</i> ]	177
[ <i>Uderza, wstrząsa, przelewa się falą...</i> ]	177

---

[ <i>Przyjdzie o zmroku luna pożaru...</i> ] . . . . .	177
Umarłym . . . . .	178
O, osądź... . . . . .	179
V. Eseje historyczne. . . . .	181
Z Królestwa Szwargotu . . . . .	181
Kraków pod Bachusem . . . . .	183
Odpust przy zbójckim trakcie. . . . .	186
Antrum Draconis, czyli przyczynek do historii smoków krakowskich . . . . .	190
Strzępy legendy w tatarskich zaściankach . . . . .	192
Karta z dziejów ruchu powstańczego w Galicji roku 1863 . . .	196
ANEKS.	
Wilhelm Mach o Stanisławie Kryczyńskim . . . . .	201
Stanisław Kryczyński – pisarz nieznan . . . . .	203
Rękopisy Stanisława Kryczyńskiego . . . . .	206
SUMMARY . . . . .	211
INDEKS NAZWISK . . . . .	215

### Zima

Dzień! Srebrny i mroźny. Na bniegu głęboko niebiesko:  
azur, przestępnie pół odmierza biała. Na dnie w popłata-  
nej się gąsiorce siedzą czarne długodziobe kruki, wlatują z  
dokoła, porośc obrydłymi i kotują nad miastem. Żółta  
słońca dnia meło i szybko zapada w fioletowo-szary  
smutek. Ktoś się kornik: biega przy tęczowych dworkach  
sznurach.

#### \* Kruki:

W kępie grabów, sterających samotnie, wdręcają się w meło  
dnie przęsnem ramieniem gospu, sadywaś stado kruków.  
Kruki lubią mądry smutek samotności, same lenie grdu-  
ny jasioni, przepasznie gonyca i cierniodań, ich brzońca,  
zardzewiałe głowy umiatane u dnia jeniego wiatru, mi-  
zostają am. Eklaf, ale przednie i no: i jasion i chłód.

#### \* Wroble

Szara, zwinne, białochne frusają lekko, czarne owcha  
latają, gdzie wygrypi: męzku i lęka, mam na czyskie słony,  
niechta kółka.

\* \* \*

Odesias' obogistna, obca  
Kiedy pędziernik zaisi w wstrach  
Leczącem zótych, z ręk. chłopca  
Pchniętym w ongloną kule świata.

W przydrożnych rowach zgniły natot  
Mazrzygi fizycznych rdzawo topid.  
Mam widziat w niej swo tuan z metalu  
I smiere' w odbrici bez ryck tropie't.

\* \* \*

Udena, istnara, pnelo ni fala  
Jak wika starmie w duna i dnu.  
Zrad sryb poleciat w lonycy ralon  
I lonyknie laska bagueta wot zbit.

WSTEP





# Twórczość literacka Stanisława Kryczyńskiego

## Biografia

Stanisław Kryczyński, urodzony 3 maja 1911 roku w Nowym Sączu, pochodził z rodziny inteligenckiej o dalekich korzeniach tatarskich<sup>1</sup>. Przodkowie poety od co najmniej trzech pokoleń byli całkowicie spolonizowani i wyznawali religię katolicką. Ród Kryczyńskich, jak podaje Stanisław Dziadulewicz w *Herbarzu rodzin tatarskich w Polsce*, wywodził się od kniazia Najmana z rodu Typirów, chorążego, uczestnika bitwy grunwaldzkiej.<sup>2</sup> Sam pisarz bardzo interesował się swoim pochodzeniem: w zachowanych rękopisach autora odnajdujemy notatkę zatytułowaną „Rodowód Kryczyńskich herbu Radwan z odmianą” oraz fragment

---

<sup>1</sup> Życiorys Stanisława Kryczyńskiego znamy dzięki informacjom zawartym we wspomnieniach autora oraz w następujących opracowaniach naukowych: J. Sulimowicz, *Kryczyński Stanisław*, [w:] *Polski słownik biograficzny*, tom 15, z. 3, Wrocław 1970; J. Tyszkiewicz, *Zainteresowania i dorobek badawczy Stanisława Kryczyńskiego (1911–1941)*, [w:] *Słowiańszczyzna i dzieje powszechne. Studia ofiarowane Profesorowi Ludwikowi Bazylowowi w siedemdziesiątą rocznicę Jego urodzin*, Warszawa 1985; tenże, *Dorobek historyczny Leona i Stanisława Kryczyńskich*, [w:] *Środowiska historyczne II Rzeczypospolitej. Część II. Materiały konferencji naukowych w Cedzynie i Białymstoku w 1986 i 1987*, pod red. J. Maternickiego, Warszawa 1987; tenże, *Olgierd, Leon i Stanisław Kryczyńscy – działacze kulturalni i badacze przeszłości Tatarów*, „Rocznik Tatarów Polskich” 1993, tom 1; A. Jakubauskas, *Kričinskis Stanislavas / Кричинский Станислав*, [w:] A. Jakubauskas, G. Sitdykov, S. Dumin, *Lietuvos totoriai istorijoje ir kultūroje / Литовские татары в истории и культуре*, Kaunas 2009.

<sup>2</sup> S. Dziadulewicz, *Herbarz rodzin tatarskich w Polsce*, Wilno 1929, s. 163–178.

*Herbarza Dziadulewicza z naniesionymi poprawkami i uzupełnieniami („Uzupełnienia do Dziadulewicza”)*<sup>3</sup>. Również silne zaangażowanie w życie społeczno-kulturalne i działalność wydawniczą polskich Tatarów, przyjaźń z Leonem i Olgierdem Kryczyńskimi, dalekimi krewnymi Stanisława i zarazem głównymi działaczami tej grupy etnicznej w Drugiej Rzeczypospolitej – wszystko to świadczy o tym, że tatarskość była bez wątpienia bliska sercu młodego historyka. Gdy spojrzymy w głąb historii rodu zauważymy, iż imię muzułmańskie nosił jeszcze prapradziad Stanisława – Mustafa Kryczyński, rotmistrz wojsk litewskich.<sup>4</sup>

Ojciec poety, Bronisław Kryczyński (1875–1941), był absolwentem Uniwersytetu Jagiellońskiego i pracował jako nauczyciel gimnazjalny w Nowym Sączu, Skierniewicach i Mielcu, pełniąc jednocześnie funkcję dyrektora szkoły. Według notatek wspomnieniowych Stanisława obejmujących czasy gimnazjalne, Bronisław był osobą despotyczną i wybuchową, nie pozwalając synowi samodzielnie decydować o własnym życiu. Stanisław przedstawia relacje z ojcem jako starcie dwóch przeciwstawnych osobowości: konformisty i rewolucjonisty. Kością niezgody były odmienne poglądy społeczno-polityczne: „endecki konserwatyzm” dyrektora gimnazjum był dla młodego rzecznika demokratyzmu i idei ludowej nie do przyjęcia.

[...] Ojciec mój miał konserwatywne zapatrywania polityczne: przez całe życie z dumą mówił o sobie, że jest „endekiem”. Kompleks endecki w naszej zbiorowej duchowości zaczął mi wtedy być specjalnie nienawistny. Już przed maturą dochodziło do ostrych scysji słownych między ojcem moim a mną; teraz wybuchły one ze zdwojoną siłą. Kończyły się zwykle tym, że trzaskając ordynarnie drzwiami, wybiegałem z domu i obiecywałem nigdy już nie powrócić.

W rękopiśmiennych zapiskach wspomnieniowych młody Kryczyński postrzega ojca jako osobę pogrążoną w fałszu, bojącą się w jakikolwiek sposób naruszyć skostniałe normy społeczne. Wytyka mu na

<sup>3</sup> Biblioteka Uniwersytetu Warszawskiego, Gabinet Rękopisów, sygn. 1673.

<sup>4</sup> *Tablica genealogiczna Książów Kryczyńskich przydomku Emirza Najman-Beg Oliszkievicz (1410–1929)*, [w:] S. Dziadulewicz, dz. cyt.

przykład lojalność wobec kleru, która zastępować miała u Bronisława szczere doświadczenie religijne.

We *Wspomnieniach z poszukiwań naukowych* problematyka rodzinna nie jest już przedstawiana w tak jednostronny sposób: pokazany zostaje między innymi pozytywny wpływ Bronisława na rozwój umysłowy syna. Okazuje się, że dzięki intelektualnej atmosferze, jaka panowała w domu rodzinnym Kryczyńskich, Stanisław od wczesnych lat dzieciństwa ma okazję obcować nie tylko z książką i literaturą, ale również z wybitnymi przedstawicielami kultury i nauki, których przyjmują u siebie jego rodzice. Czas spędzany w domowej bibliotece jest dla małego Stanisława inicjacją w świat szeroko rozumianej humanistyki. Wtedy po raz pierwszy doświadcza późniejszy historyk tego dreszczu emocji, jaki dawać mu będzie w przyszłości kontakt z tekstem drukowanym. Kryczyński postrzega to doznanie w kategoriach nie tylko intelektualnych, ale i zmysłowych.

Nie umiem powiedzieć dlaczego, ale ta woń właśnie dawała mi przecucie nieznanego mi jeszcze świata nauki, przecucie rozkoszy umysłowej, jaka mi kiedyś przypadnie w udziale. I teraz, gdy wertowałem w książkach w szafie bibliotecznej stojącej w kancelarii mego ojca, budziły się we mnie instynkty bibliofilskie, chęć pieszczona książki dotykiem, napawania wzroku jej graficznym układem, doborem czcionek, okładkami i grzbietem.

Bronisław Kryczyński popiera aspiracje naukowe syna. To on pierwszy odsłania przed młodzieńcem tajemnice starych ksiąg: każe pracownikom szkoły wydobyć z piwnicy gimnazjum w Mielcu dziewiętnastowieczne wydawnictwa historyczne, obcowanie z którymi wzbudza w przyszłym autorze *Tatarów litewskich* „namiętność twórczą i zdobywcą”. Ponadto swemu ojcu Stanisław zawdzięcza pierwsze ważne kontakty naukowe, jak na przykład znajomość z hrabią Stanisławem Reyem, który pomaga młodemu Kryczyńskiemu w zbadaniu archiwaliów Przeclawia.

Przeciwnieństwem ojca jest w rodzinie Kryczyńskich matka Stanisława, Jadwiga Gregorczykówna (Grzegorczykówna), kobieta uległa, kochająca i dobra. Bardzo cierpi przez to, iż jej syn nie czuje się dobrze w domu rodzinnym. Boli ją ogromnie brak porozumienia między rodzicami a synem. Bywa nawet tak, że nieraz płacze ona z powodu

postępków Stanisława, który odnosi się do niej, jak sam wyznaje, w sposób „sadystyczny”. „Ponieważ ją kocham – analizował po latach swoją młodzieńczą postawę – trzeba, aby płakała z bólu”. Wspominając swoje zachowanie, bardzo żałuje jednak podobnych czynów. Piszze, że „te łzy zawsze ciążyć [...] będą w duszy ciężkim kamieniem”.

Egzamin dojrzałości składa Kryczyński w 1929 roku w Mielcu, a po wakacjach wyjeżdża do Lwowa w celu podjęcia studiów prawniczych na Uniwersytecie Jana Kazimierza. Chodzi tam na wykłady tak wybitnych profesorów, jak Oswald Balzer, Leon Piniński, Kamil Stefko czy Marceli Chlamtacz. Szybko jednak uświadamia sobie, iż wybór kierunku studiów był nietrafiony. Kryczyński, będący już wtedy dostatecznie doświadczonego naukowcem-historikiem, dostrzega nieprzystawalność nauk prawnych w odniesieniu do metodologii badawczej, jaka go pociągała już w czasach gimnazjalnych. Swoją „przygodę” ze studiami prawniczymi podsumowuje w dwóch zdaniach: „[...] prawo nie podobało mi się. Dla studenta małe tu było pole do wykazania samodzielności umysłowej”. Tym samym postanawia od następnego roku akademickiego zapisać się na studia historyczne w Krakowie.

Jesienią 1930 roku Kryczyński rozpoczyna naukę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pierwszy rok studiów jest dla niego kolejnym rozczarowaniem, tym razem jednak nie o zły wybór kierunku chodzi, lecz o sposób prowadzenia zajęć przez wykładowców: za mało samodzielnych badań źródłowych, za dużo gotowych informacji do wyuczenia się na pamięć. Kryczyński słucha wtedy wykładów Wacława Sobieskiego, Władysława Konopczyńskiego, Władysława Semkowicza i Stanisława Kota. Uczestniczy w ćwiczeniach prowadzonych przez Józefa Feldmana, Kazimierza Piwarskiego i Zofię Kozłowską-Budkową. W tym czasie bardziej pociąga go jednak życie studenckie niż nauka. Zaprzyjaźnia się z Wojciechem Skuzą, studentem polonistyki, poetą i działaczem Polskiej Akademii Młodzieży Ludowej. To właśnie pod wpływem Skuzy publikuje cykl wierszy o tematyce rewolucyjnej w krakowskim czasopiśmie „Znicz”. Wraz z nim i innymi kolegami z Akademii oddaje się pijaństwu oraz uczestniczy w ulicznych manifestacjach i bójkach. Przyświecają mu poglądy ludowo-demokratyczne o zabarwieniu nihilistycznym.

W 1931 roku rodzina Kryczyńskich przeprowadza się do Lwowa, w związku z czym Stanisław przenosi się na Uniwersytet Jana Kazimierza, gdzie kontynuuje studia historyczne. Tam styka się z profesorem Stanisławem Zakrzewskim, wybitnym znawcą okresu średniowiecza, u którego pisze pracę magisterską poświęconą ariańskiej rodzinie Lubienieckich w XVI i XVII wieku<sup>5</sup>. W czasie studiów Kryczyński współpracuje z redakcją „Kuriera Literacko-Naukowego”. Publikuje artykuły pod własnym nazwiskiem<sup>6</sup> oraz pod pseudonimem A. Krystan<sup>7</sup>. Są to w większości eseje historyczne o wyraźnych cechach literackich.

W 1935 roku Kryczyński broni pracę magisterską, nie przyjmuje propozycji asystentury u profesora Zakrzewskiego, porzuca Lwów i przenosi się do Warszawy w celu podjęcia dalszych studiów. Od tego czasu poświęca się on badaniom nad historią tatarszczyzny. Wkrótce po przybyciu do Warszawy zostaje stypendystą Funduszu Kultury Narodowej, dzięki czemu odbywa staż w Instytucie Orientalistycznym Uniwersytetu Warszawskiego, uczęszczając na seminarium turkologiczne profesora Ananiasza Zajączkowskiego (w którym uczestniczyła również przyszła żona Kryczyńskiego – Irena Krudowska, a także Jerzy Sulimowicz i Jan Reychman).

Podczas studiów turkologicznych Stanisław zacieśnia znajomość z krewnymi – Leonem i Olgierdem Kryczyńskimi. Znajomość ta z czasem przemienia się w głęboką przyjaźń. Leon i Stanisław podróżują razem po Kresach, zwiedzając tatarskie zaścianki. Te wyjazdy legły u podstaw nie tylko monografii pod tytułem *Tatarzy litewscy*, ale również ich echa daje się dostrzec w twórczości poetyckiej Stanisława. Leon

---

<sup>5</sup> S. Kryczyński, *Ariańska rodzina Lubienieckich w XVI i XVII w.* (praca magisterska), BUW, Gabinet Rękopisów, sygn. 1667.

<sup>6</sup> S. Kryczyński: *Karta z dziejów ruchu powstańczego w Galicji w r. 1863* („Kurier Literacko-Naukowy” 1932, nr 1); *Z królestwa Szwarzgotu* (tamże, 1932, nr 44); *Kraków pod Bachusem* (tamże, 1933, nr 1); *Pierwsi na świecie ulani* (tamże, 1933, nr 34).

<sup>7</sup> A. Krystan: *Metryka szkolnego osła* („Kurier Literacko-Naukowy” 1932, nr 36); *Niedziela kwietna w staropolskiej dramaturgii ludowej* (tamże, 1933, nr 15); *Antrum Draconis, czyli przyczynek do historii smoków krakowskich* (tamże, 1936, nr 22). Pod tym samym pseudonimem odnajdujemy także artykuł *Gęś św. Marcina w wyludnionym Lwowie* („Nowy Wiek”, 12 XII 1933).

zachęca młodego historyka do szeroko rozumianej pracy pisarskiej w następujących słowach: „Ty byś stworzył nową epopeję *à la* Syrokomla lub Melchior Wańkowicz (ma się ukazać), bo potrafisz być i historykiem, i beletrystą, a nawet poetą”<sup>8</sup>. Stanisław Kryczyński ściśle współpracuje wtedy z „Rocznikiem Tatarskim”, którego redaktorem naczelnym jest Leon Kryczyński, drukuje również w takich czasopismach jak „Ateneum Wileńskie”, „Rocznik Ziemi Wschodnich”, „Życie Tatarskie” „Jantar”, „Przegląd Islamski”, „Lud” i „Kurier Wileński”.

Wydanie *Tatarów litewskich* powoduje konflikt z profesorem Zajęczkowskim. Naukowiec żąda zaznaczenia w publikacji, iż praca powstała pod jego kierownictwem (na co nie przystaje Kryczyński). W konsekwencji Stanisław decyduje się zakończyć współpracę z uniwersytetem i podejmuje pracę w Archiwum Głównym Akt Dawnych w Warszawie, gdzie pracuje do wybuchu wojny.

20 sierpnia 1939 roku Stanisław żeni się z Ireną Krudowską<sup>9</sup>. Po wybuchu wojny ucieka na wschód Polski; przebywa między innymi w Lublinie. W grudniu 1939 roku wraz z żoną wraca do Warszawy. W czasie okupacji mieszkają razem w okolicach Łowicza. Kryczyński zarabia na życie jako pomocnik w kawiarni i robotnik rolny. Latem 1940 roku Kryczyńscy przenoszą się do wsi Wyborowo nieopodal Chęśna, gdzie otwierają wiejski sklepik. Niewiele informacji z tego okresu odnaleźć możemy we wspomnieniach poety. Ostatni wpis znajduje się pod datą 1 maja 1941 roku. Pół roku później autor *Tatarów litewskich* umiera na tyfus. Pochowany zostaje 1 listopada 1941 roku na cmentarzu w Łowiczu. W 1942 roku rodzi się syn Kryczyńskiego, który otrzymuje imię zmarłego ojca.

### Działalność naukowo-badawcza

Historyk z wykształcenia i archiwista z zawodu, badał Kryczyński przede wszystkim kulturowe dziedzictwo polskich Tatarów. Stale współpracował z redakcją „Rocznika Tatarskiego” oraz zajmował się

<sup>8</sup> List L. Kryczyńskiego do S. Kryczyńskiego z dn. 27 III 1937 r., BUW, Gabinet Rękopisów, sygn. 1680.

<sup>9</sup> Wśród rękopisów, w teczce „Korespondencja Stanisława Kryczyńskiego z lat 1935–1940”, zachowało się zawiadomienie o ślubie (BUW, Gabinet Rękopisów, sygn. 1680).

publicystyką. Jego wkład w badania nad kulturą i historią Tatarów polsko-litewskich jest nie do przecenienia. Opublikowana przez Kryczyńskiego w 1938 roku monografia *Tatarzy litewscy. Próba monografii historyczno-etnograficznej*<sup>10</sup> była pierwszym dziełem dużych rozmiarów w tym zakresie. Na kolejną polską monografię poświęconą Tatarom przyszło czekać czytelnikom pół wieku, gdyż dopiero w 1986 roku Piotr Borawski i Aleksander Dubiński publikują książkę *Tatarzy polscy. Dzieje, obrzędy, legendy, tradycje*<sup>11</sup>.

Jako pierwszy wprowadził do historiografii postać Kryczyńskiego jego kolega ze studiów na Uniwersytecie Warszawskim i bliski przyjaciel z tamtego okresu Józef Sulimowicz. To właśnie on był autorem hasła biograficznego poświęconego Kryczyńskiemu w *Polskim słowniku biograficznym*. Największe jednak zasługi przypisać należy profesorowi Janowi Tyszkiewiczowi, wybitnemu znawcy historii Tatarów polsko-litewskich. Tyszkiewicz, w oparciu o spuściznę rękopiśmienniczą Kryczyńskiego, a także o relacje jego rodziny i znajomych, zrekonstruował bardzo dokładnie nie tylko życiorys przedwcześnie zmarłego historyka, ale również w dużej mierze potrafił usystematyzować jego metodologię badań; ponadto opracował i podał do druku część niepublikowanych prac naukowych autora *Tatarów litewskich*. Do dnia dzisiejszego monografia Kryczyńskiego należy do kanonu literatury naukowej, a inne jego prace, w tym również i te dotąd niepublikowane, cieszą się powodzeniem wśród kolejnych pokoleń historyków (o czym świadczą między innymi wpisy w dokumentacji dołączanej do rękopisów, a także przypisy w wielu rozprawach historycznych). W roku 2000 redakcja „Rocznika Tatarów Polskich” opublikowała wydanie drugie *Tatarów litewskich*<sup>12</sup>; kilka lat wcześniej, w roku 1993, ukazał się przekład tego dzieła na język litewski<sup>13</sup>.

<sup>10</sup> S. Kryczyński, *Tatarzy litewscy. Próba monografii historyczno-etnograficznej*, Warszawa 1938.

<sup>11</sup> P. Borawski, A. Dubiński, *Tatarzy polscy. Dzieje, obrzędy, legendy, tradycje*, Warszawa 1986.

<sup>12</sup> S. Kryczyński, *Tatarzy litewscy. Próba monografii historyczno-etnograficznej*, wyd. 2, Gdańsk 2000.

<sup>13</sup> S. Kričinskis, *Lietuvos totoriai. Istorines ir etnografinės monografijos bandymas*, iš lenku kalbos vertė T. Bairašauskaite, Vilnius 1993.

Wczesne artykuły Kryczyńskiego, drukowane w latach 1932–1935 na łamach „Kuriera Literacko-Naukowego”, „Słowa” i „Nowego Wieku”, sytuują się na pograniczu literatury pięknej i historiografii. Część z tych prac autor opublikował pod pseudonimem A. Krystan. Była już o nich mowa. Przypomnijmy jednak jeszcze raz ich tytuły: *Metryka szkolnego osła*; *Niedziela kwietna w staropolskiej dramaturgii ludowej*; *Antrum Draconis, czyli przyczynek do historii smoków krakowskich*; *Gęś św. Marcina w wyludnionym Lwowie*. Część podobnych publikacji ukazało się również pod prawdziwym nazwiskiem: *Karta z dziejów ruchu powstańczego w Galicji w r. 1863*; *Z królestwa Szwargotu*; *Kraków pod Bachusem*; *Pierwsi na świecie ulani*; *Odpust przy zbójcekim trakcie*. W tekstach tych widać fascynację kulturą staropolską, co jest zrozumiałe, gdyż w początkowym okresie działalności badawczej, a więc od matury w 1929 roku, do lat 1933–1934, Kryczyński interesował się przede wszystkim historią kultury staropolskiej. Według Jana Tyszkiewicza, okres mielecko-krakowsko-lwowski zamyka szkic *Odpust przy zbójcekim trakcie*, który ukazał się we wrześniu 1935 roku<sup>14</sup>.

Od 1935 roku rozpoczyna się w biografii naukowej Kryczyńskiego okres „tatarski”. Na tematy dotyczące Tatarów, oprócz wspomianej już monografii, młody badacz opublikował kilkadziesiąt prac naukowych i popularnonaukowych. Ponadto opracował jedenaście biogramów Tatarów polsko-litewskich do *Polskiego słownika biograficznego*. Autora interesowały zarówno obrzędy ludności muzułmańskiej, stosunki chrześcijańsko-muzułmańskie na terenach Rzeczypospolitej, położenie prawne Tatarów w dobie staropolskiej, jak też tematyka wojskowa w odniesieniu do polskich wyznawców islamu. Stanisław Kryczyński sporządził również kartotekę około 400 nazwisk wszystkich najważniejszych Tatarów polsko-litewskich od XV do XX wieku. Prawdopodobnie planował publikację słownika biograficznego poświęconego w całości Tatarom.

Wśród najważniejszych artykułów naukowych Kryczyńskiego warto wymienić: *General Józef Bielak (1741–1794)*<sup>15</sup>; *Zygmunt August a Tatarzy*

<sup>14</sup> J. Tyszkiewicz, *Zainteresowania i dorobek badawczy...*, s. 375.

<sup>15</sup> „Rocznik Tatarski” 1932, tom 1.



*litewscy*<sup>16</sup>; *Bej barski. Szkic z dziejów Tatarów polskich w XVII wieku*<sup>17</sup>; *Materiały do historii pułków tatarskich w Polsce (1777–1791)*<sup>18</sup>; *Nieudana misja katolicka wśród muzułmanów litewskich w XVI wieku*<sup>19</sup>; *Ze starych modlitewników*<sup>20</sup>; *Tatarzy polscy*<sup>21</sup>; *Kronika wojenna Tatarów litewskich*<sup>22</sup>.

### Dzieje rękopisów

Przedwczesna śmierć nie pozwoliła Kryczyńskiemu zrealizować większości planów i zamierzeń naukowych, ponadto duża część jego dorobku, w tym także literackiego, przetrwała tylko w formie manuskryptów, często w postaci brulionowych notatek, wypisów z literatury i szkiców. Nie ukazało się również wiele ukończonych lub prawie ukończonych studiów historyka. Chociaż już ilość prac opublikowanych przed wojną jest imponująca (jak powiedzieliśmy, było to kilkadziesiąt artykułów naukowych i popularnonaukowych), łączny dorobek Kryczyńskiego jest ogromny i wciąż czeka na całościowe opracowanie.

Po wojnie spuścizna pisarska Kryczyńskiego zainteresowała Wilhelma Macha, który opublikował w „Nowej Kulturze” krótki szkic poświęcony poecie<sup>23</sup> oraz fragmenty jego *Wspomnień z poszukiwań naukowych*<sup>24</sup>. W innym artykule Mach informował, że przygotowywane jest wydanie dzieł literackich tatarskiego poety przez wydawnictwo „Czytelnik”<sup>25</sup>. Autor *Rdzy* miał również rzekomo przygotować wybór dzieł Kryczyńskiego w celu publikacji w 1958 lub 1959 roku w „Twórczości”<sup>26</sup>. Ani druk w czasopiśmie literackim, ani wydanie książki poetyckiej z niewiadomych powodów nie doszło do skutku.

<sup>16</sup> „Przegląd Islamski” 1934, z. 3–4.

<sup>17</sup> „Rocznik Tatarski” 1935, tom 2.

<sup>18</sup> Tamże.

<sup>19</sup> „Przegląd Islamski” 1935, z. 3–4.

<sup>20</sup> „Przegląd Islamski” 1936, z. 4.

<sup>21</sup> „Rocznik Ziemi Wschodnich” 1938.

<sup>22</sup> BUW, Gabinet Rękopisów, sygn. 1669.

<sup>23</sup> W. Mach, *Stanisław Kryczyński, pisarz odnaleziony*, „Nowa Kultura” 20 VII 1958, nr 29.

<sup>24</sup> S. Kryczyński, *Wspomnienia z poszukiwań naukowych. Z rękopisów, wybrał i do druku podał Wilhelm Mach*, „Nowa Kultura” 27 VII 1958, nr 30.

<sup>25</sup> W. Mach, *W sprawie Kryczyńskiego*, „Nowa Kultura” 10 VIII 1958, nr 32.

<sup>26</sup> Tamże.

W latach siedemdziesiątych postacią Kryczyńskiego zainteresował się historyk Jan Tyszkiewicz. W latach 1976–1982 zbierał on relacje rodziny i współpracowników autora *Tatarów litewskich* (między innymi Ireny Kryczyńskiej, profesora Adama Wolffa i profesora Ludwika Bazyłowa), a także studiował udostępnione przez żonę rękopisy. W latach osiemdziesiątych opublikował on ważne studia poświęcone działalności naukowej przedwcześnie zmarłego badacza<sup>27</sup>. Dzisiaj profesor Tyszkiewicz uznawany jest za jeden z największych autorytetów w dziedzinie historii Tatarów polskich oraz za najwybitniejszego znawcę spuścizny historycznej Kryczyńskiego<sup>28</sup>. Badacz ten jako pierwszy zwrócił też uwagę na poezję Kryczyńskiego i na łamach „Życia Muzułmańskiego” opublikował w 1988 roku siedem wybranych przez siebie wierszy autora *Kroniki wojennej*<sup>29</sup>. I chociaż ten drobny wycinek twórczości literackiej pozwolił czytelnikom zorientować się w tematyce i poetyce twórczości Kryczyńskiego, był daleko niewystarczający, aby na jego podstawie dokonać jakichkolwiek ujęć syntetycznych. Trzy wiersze wraz z komentarzem i krótkim biogramem poety Tyszkiewicz dołączył również w postaci aneksu do swojej książki *Z historii Tatarów polskich 1794–1944*<sup>30</sup>.

W 1981 roku żona Kryczyńskiego przekazała zbiór manuskryptów męża w darze dla Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie, gdzie zostały one starannie posegregowane i opisane w *Katalogu Rękopisów*<sup>31</sup>. Dziś udostępniane są one w Gabinetie Rękopisów BUW pod sygnaturami 1666–1681 i zawierają następujące dokumenty:

<sup>27</sup> J. Tyszkiewicz, *Zainteresowania i dorobek badawczy...*; tenże, *Dorobek historyczny...*

<sup>28</sup> J. Tyszkiewicz wybrał, opracował i podał do druku wybrane rozprawy historyczne Kryczyńskiego, np. *Kronikę wojenną Tatarów litewskich* („Przegląd Humanistyczny” 1984, nr 2), *Wysłęki zbrojny Tatarów Rzeczypospolitej*, [w:] S. Kryczyński, *Kronika wojenna Tatarów litewskich*, oprac., wstępem i przypisami opatrzył J. Tyszkiewicz, Gdańsk 1997/1998.

<sup>29</sup> S. Kryczyński, *Obrazki literackie*, „Życie Muzułmańskie” 1988, nr 8, s. 11–14.

<sup>30</sup> Aneks 5.: *Wiersze Stanisława Kryczyńskiego z lat 1939 do połowy 1941*, [w:] J. Tyszkiewicz, *Z historii Tatarów polskich 1794–1944*, Pułtusk 2002.

<sup>31</sup> *Katalog Rękopisów Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie*, tom 5, oprac. J. Borysiak, E. Piskurewicz, M. Tyszkowa, przy współud. M. Kreta, Warszawa 1992, s. 13–19.

- Wspomnienia Stanisława Kryczyńskiego (sygn. 1666).
- *Ariańska rodzina Lubienieckich w XVI i XVII w.* (praca magisterska, brak części kartek) (sygn. 1667).
- *Jazda tatarska w Polsce* oraz załącznik *Wysilek zbrojny Tatarów Rzeczypospolitej* (sygn. 1668).
- *Kronika wojenna Tatarów litewskich* (sygn. 1669).
- *Materiały do historii pułków tatarskich w Polsce. Seria trzecia. XVIII w.* (sygn. 1670).
- Materiały warsztatowe do prac o Tatarach (sygn. 1671).
- Prace i fragmenty prac dotyczące Tatarów w Polsce i na Litwie (sygn. 1672).
- Uzupełnienia do pracy Stanisława Dziadulewicza *Herbarz rodzin tatarskich w Polsce* zebrane przez Stanisława i Leona Kryczyńskich (sygn. 1673).
- Varia do prac o Tatarach (sygn. 1674).
- Materiały zebrane przez Stanisława Kryczyńskiego do pracy *Mielec i okolice* (sygn. 1675).
- Kartoteka Stanisława Kryczyńskiego obejmująca materiały do zagadnień historycznych i etnograficznych (sygn. 1676).
- Fragmenty utworów literackich Stanisława Kryczyńskiego (sygn. 1677).
- Varia dotyczące historii i literatury polskiej (sygn. 1678).
- Fragmenty opracowywanego przez Stanisława Kryczyńskiego zarysu dziejów powszechnych i polskich od starożytności do wojen napoleońskich, przeznaczonego dla dzieci (sygn. 1679).
- Korespondencja z lat 1935–1940 (głównie listy do S. Kryczyńskiego od Leona Bohdanowicza, Leona i Olgierda Kryczyńskich, Ireny Krudowskiej, muftiego Jakuba Szynkiewicza; brak listów autorstwa S. Kryczyńskiego<sup>32</sup>) (sygn. 1680).
- Wycinki prasowe i odbitki artykułów S. Kryczyńskiego i autorów różnych (sygn. 1681).

---

<sup>32</sup> Z listami S. Kryczyńskiego można zapoznać się w zbiorach archiwalnych zawierających dokumenty innych osób – adresatów korespondencji autora *Tatarów litewskich*. Dla przykładu w Bibliotece Litewskiej Akademii Nauk im. Wróblewskich w Wilnie znajdują się dwa listy S. Kryczyńskiego do Hadżiego Szapszała, chachama karaimskiego (Fond 143–405, k. 1–2).

Całość manuskryptów Kryczyńskiego jest bardzo obfita i wciąż niezbadana. Wśród dokumentów odnajdujemy rękopisy artykułów opublikowanych za życia autora oraz prace, które wydają się być gotowymi materiałami do publikacji. Taki charakter mają na przykład *Materiały do historii pułków tatarskich w Polsce*, *Jazda tatarska w Polsce* oraz *Wysilek zbrojny...*

Spuścizna Kryczyńskiego zawiera także niezliczoną ilość materiałów warsztatowych, wypisów z literatury oraz notatek, mających formę fiszek. W tej grupie tekstów najciekawsze wydają się być zapisy dotyczące historii i literatury polskiej (sygn. 1678). Pokazują one, iż historia kultury i literatury była dla Kryczyńskiego nie tylko pasją, ale również bardzo głęboko przeżywaną dziedziną codzienności. Ponadto na podstawie wspomnianych notatek poznajemy myśli autora o twórczości Mickiewicza, Wyspiańskiego i Norwida, a także jego uwagi dotyczące zadań literatury i historii literatury, roli poety w społeczeństwie i tym podobne. O ile fiszki „warsztatowe” mają rzeczywiście charakter „materiałowy”, o tyle fiszki zawierające myśli o kulturze, literaturze i historiozofii dają się czytać jako spójna całość, jako dopełnienie utworów literackich i wspomnień.

Teczka zawierająca utwory literackie Kryczyńskiego (sygn. 1677) mieści 54 luźne kartki, najczęściej formatu zeszytowego, na których znajdujemy kilka wierszy i fragmentów przygotowywanej powieści, ewentualnie dłuższego opowiadania (utwór, według zamysłu twórcy, miał być podzielony na rozdziały), a także kilkadziesiąt krótkich, czasem kilkudzaniowych, utworów pisanych prozą (można je usytuować pomiędzy prozą poetycką a obrazkiem literackim). Z opisowanej teczki pochodzą utwory opublikowane w „Życiu Muzułmańskim”, przy czym należy zaznaczyć, iż w rękopisach autora mają one formę prozatorską, podczas gdy redaktorzy czasopisma zmienili ich zapis na wierszowany, dzieląc tekst na wersy. Dziełem, które także bezsprzecznie możemy zakwalifikować do literatury pięknej, są wspomnienia Kryczyńskiego. Numerem sygnatury 1666 oznaczone zostały *Wspomnienia z poszukiwań naukowych* (obszerne fragmenty, jak już wspominaliśmy, były publikowane w „Nowej Kulturze”) oraz brulionowe zapiski autobiograficzne, dotyczące przede wszystkim dzieciństwa

i czasów studenckich, ale też pracy autora w Archiwum Głównym Akt Dawnych w Warszawie i jego wojennej tułaczki na wschód we wrześniu 1939 roku (razem 114 kartek, z czego *Wspomnienia z poszukiwań...* mają formę maszynopisu).

Zatrzymajmy się jeszcze przy materiałach, innych niż wymienione powyżej, dotyczących literatury lub posiadających wybitne walory literackie. W tej grupie warto zwrócić uwagę na zbiór materiałów warsztatowych do prac o Tatarach. Rękopisy te (sygn. 1671) zostały podzielone na cztery działy: „Zwyczaje, obyczaje, tradycje tatarskie”, „Historia literatury tatarskiej (fragmenty)”, „Wojskowość”, „Tatarzy. Generalia”. Imponująco przedstawia się z perspektywy literaturoznawcy dział poświęcony literaturze krymskotatarskiej (tutaj, między innymi, bardzo ciekawy i rzeczowy wywód dotyczący poezji chana krymskiego Gireja II). Niezwykle interesujący jest także opracowywany przez Kryczyńskiego podręcznik dla dzieci z dziejów powszechnych i Polski od starożytności do wojen napoleońskich (sygn. 1679). Utwór ten, niestety nie ukończony, charakteryzuje się oryginalną narracją łączącą w sobie przygodowość z dużą ilością faktów historycznych podanych w lekki, aczkolwiek rzeczowy sposób. W jakiej formie Kryczyński projektował całość dzieła, możemy się dowiedzieć z zachowanego spisu treści (konspektu). Podręcznik miał być podzielony na cztery części: „Dzieje starowiecza”, „Dzieje wieków średnich”, „Dzieje wieków nowych” i „Wypisy z literatury polskiej i obcej”.

Inną ciekawostką wśród spuścizny Kryczyńskiego jest jego kartoteka zawierająca materiały do zagadnień historycznych i etnograficznych. Jest to pudełko w formie szufladki katalogu bibliotecznego z ułożonymi w niej fiszkami – rzecz warta pogłębionej analizy, gdyż z pewnością wiele można dowiedzieć się z niej o warsztacie pracy młodego historyka.

W literaturze przedmiotu spotykamy pewne rozbieżności co do ilościowego charakteru spuścizny rękopiśmiennej autora. Rzecz dotyczy właśnie interesującej nas twórczości literackiej. Jan Tyszkiewicz podaje, najwidoczniej za Wilhelmem Machem, iż oprócz teczek z utworami poetyckimi zdeponowanej w Gabinetie Rękopisów BUW przez Irenę Kryczyńską, było w posiadaniu rodziny jeszcze 9 lub 10 dodatkowych

brulionów poetyckich.<sup>33</sup> Józef Sulimowicz pisze jednak, iż cała spuścizna (a więc łącznie z pracami historycznymi, wspomnieniami, wypisami i tak dalej) liczyła 11 brulionów. Nieścisłość przypuszczalnie wynika z faktu, iż Mach mógł mieć w rękach całość rękopisów, a nie tylko dzieła literackie, lecz nienależycie się z nimi zapoznał. Znamienne jest również to, iż – jak sam pisze – szybko musiały rękopisy zwrócić, a do druku podał wyłącznie te fragmenty *Wspomnień*, które jako jedne z nielicznych dokumentów Kryczyńskiego, zachowały się nie w rękopisach, lecz w formie maszynopisu. Wielce prawdopodobne jest również, że eseistykę historyczną Kryczyńskiego Mach, jako artysta, potraktował jako rodzaj literatury pięknej (co było nie do przyjęcia z kolei dla historyka Tyszkiewicza). Samo słowo „brulion” jest u autora *Gór nad czarnym morzem* niejednoznaczne i może oznaczać zarówno zeszyt, arkusz wydawniczy, jak również plik spiętych razem kartek<sup>34</sup>. Trudno jest ponadto uwierzyć, iż żona, przekazując luźne notatki i wypisy z literatury, nie przekazałaby Bibliotece Uniwersyteckiej utworów literackich.<sup>35</sup> Z całą pewnością, kolejne kwerendy archiwalne mogą przynieść nowe rewelacje, gdyż Kryczyński używał całego szeregu pseudonimów (J. Korycki, Stanisław Radwan, Piotr Czerep, Oleszkiewicz, A. Krystan), co w oczywisty sposób utrudnia poszukiwania publikowanych przed wojną w rozproszeniu utworów. Jednakże odnalezienie owych „zagubionych” 9–10 brulionów wydaje się mało prawdopodobne (choćby chciałoby się mieć nadzieję, że przyszłość odkryje przed nami nieznanne utwory Kryczyńskiego).

<sup>33</sup> J. Tyszkiewicz, *Zainteresowania i dorobek badawczy...*, s. 367.

<sup>34</sup> Por. stwierdzenie Macha: „Poznałem zawartość dziewięciu brulionów, których charakterystykę – wraz z notą biograficzną – podałem w głosie do fragmentów opublikowanych w «Nowej Kulturze»” (W. Mach, *Rękopisy Stanisława Kryczyńskiego*, rękopis, Dział Rękopisów, Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie, sygn. 3623–27–7). Ze słów pisarza może wynikać, iż te „dziewięć brulionów” to tylko maszynopis *Wspomnień z poszukiwań naukowych*, którego fragmenty podał Mach do druku.

<sup>35</sup> Także kwerenda w Muzeum Literatury im. A. Mickiewicza w Warszawie, gdzie znajduje się spuścizna rękopiśmiennicza W. Macha nie przyniosła żadnych nowych odkryć. Wśród dokumentów Macha znajdują się wprawdzie 3 artykuły poświadczone twórczości Kryczyńskiego, lecz utworów poety tatarskiego nie znaleziono.

### Aspekty literackie twórczości Kryczyńskiego

Nie bez powodu działalność Stanisława Kryczyńskiego kojarzona jest przede wszystkim z pracą archiwisty i pionierskimi badaniami terenowymi, których plonem stała się monografia *Tatarzy litewscy*. Pisano też wiele o udziale historyka w życiu społeczno-kulturalnym Tatarów. Nie należy jednak zapominać, iż Kryczyński był również autorem wierszy, krótkich opowiadań oraz eseistyki wspomnieniowej.

Zadebiutował bardzo wcześnie. Młodzieńcze obrazki prozatorskie autora ukazały się w organie młodzieży szkolnej „Brzask Skierniewicki” w 1925 roku. Stanisław był wtedy uczniem IV klasy gimnazjum.<sup>36</sup> We współredagowanej przez siebie w roku szkolnym 1928–1929 gazecie uczniowskiej „Dziwanna” opublikował natomiast swoje pierwsze wiersze. Wczesne utwory poetyckie Kryczyńskiego ukazały się także w krakowskim czasopiśmie „Znicz” (było to kilka wierszy o treści rewolucyjnej<sup>37</sup>). Z dojrzałą twórczością poety czytelnicy okresu międzywojennego mogli zapoznać się na łamach pism tatarsko-muzułmańskich: „Rocznik Tatarski” i „Wschód”.

Podczas studiów historycznych w Krakowie poeta, za namową Wojciecha Skuzy, z którym Kryczyński wydawał w latach szkolnych „Dziwannę”, a który na Uniwersytecie Jagiellońskim studiował wtedy polonistykę, zaczął pisywać obrazki literackie łączące opisy przyrody, folklor i realia zaczerpnięte ze źródeł historycznych. Twórczość literacką kontynuował autor podczas całego okresu studiów (na UJ, a potem we Lwowie), a także w czasie późniejszej pracy naukowej w Warszawie i podczas wojny. Jak twierdzi Jan Tyszkiewicz, było to pisanie „do szuflady”, głównie dla „wyżycia się i przyjemności”<sup>38</sup>, co może tłumaczyć brak decyzji o publikacji większości wierszy i prozy poetyckiej.

Literacki charakter, jak już wspominaliśmy, miała eseistyka historyczna Kryczyńskiego. Ciekawy wydaje się styl jego artykułów popularnonaukowych. Na szczególne zainteresowanie zasługuje przede wszystkim żywa narracja, czyniąca z rozprawy naukowej o czasach

<sup>36</sup> S. Kryczyński, *Bibliografia: pierwsze prace pisane w gimnazjum*, BUW, Gabinet Rękopisów, sygn. 1678, k. 135.

<sup>37</sup> J. Sulimowicz, *dz. cyt.*, s. 457.

<sup>38</sup> J. Tyszkiewicz, *Zainteresowania i dorobek badawczy...*, s. 367.

dawno minionych atrakcyjną i niezwykle zajmującą współczesną opowieść przygodową. Literackością, w szerokim sensie, charakteryzuje się zresztą cała spuścizna autora *Tatarów litewskich*, który swój wielki talent pisarski poświęcił przede wszystkim twórczości naukowej.

Do tekstów *stricte* literackich możemy zaliczyć wiersze oraz fragmenty prozy poetyckiej i narracyjnej, a także wspomnienia. Na utwory prozatorskie składają się krótkie „obrazki poetyckie” oraz fragmenty jakiejś większej nieukończonej całości (dłuższego opowiadania lub powieści). Trudno powiedzieć, które z krótkich utworów prozatorskich stanowią oddzielne utwory, a które są szkicami, jakie miały być wykorzystane przez pisarza docelowo w innym, dłuższym, tekście. Dwa zapisy noszą na przykład roboczy tytuł „Rozdział I”. Wiele „obrazków” spajają powtarzający się bohaterowie: pasterka Reina, parobek Kuba, miotlarz. Niekiedy w tekstach lub jako dopisek na kartce rękopisu pojawia się data – lata sześćdziesiąte XVII wieku (na przykład: 1660, 1661). Wspomniane są ponadto czasy panowania Augusta II. W rękopisach (wśród utworów literackich!) znajdują się też notatki, w których widnieje zbiór słownictwa z różnych zakresów z drugiej połowy XVII wieku. Być może Kryczyński projektował powieść historyczną, mogącą dotyczyć życia wiejskiego (podmiejskiego) w XVII-wiecznej Polsce. Tam, gdzie możliwe jest ustalenie miejsca akcji, jest to: Pogórze, Małopolska, okolice gór (Tatr?); w konspekcie ponadto wymieniany jest Gdańsk (Motława) i Olkusz. Możliwe jest również, aby fragmenty prozy Kryczyńskiego odczytywać jako cykl opowiadań (obrazków), spajany albo przez wspólnego bohatera (bohaterów), albo tożsamość miejsca i czasu akcji; dość jednolita jest również poetyka tych tekstów (fragmentów).

Wśród poezji, której zachowało się ilościowo najmniej (przy czym część obrazków prozatorskich mogłaby funkcjonować jako poezja zapisana prozą<sup>39</sup>), wyróżniają się utwory: *Umarłym* oraz *O, osądź...* Były one opublikowane przed wojną w prasie tatarskiej. Są też jedynymi odnalezionymi wierszami poety o tematyce tatarsko-muzułmańskiej.

<sup>39</sup> Zob. wspomniane wcześniej wiersze Kryczyńskiego, opublikowane w 1988 r. w „Życiu Muzułmańskim”.



Styl poezji i prozy Kryczyńskiego sytuuje się gdzieś pomiędzy twórczością Czechowicza, Lieberta i wczesnego Miłosza a dokonaniem przedstawicieli Młodej Polski, przede wszystkim naturalistów. Autor przynależy do formacji pokoleniowej twórców urodzonych około 1910 roku. Jego piśmarstwo charakteryzuje poetyka trzeciego wyrazu. Ważną rolę odgrywa ponadto młodopolska wielostylowość, która wynikać może nie tylko z fascynacji czytelnicznych młodego Stanisława, ale również z głębokiej erudycji i ogólnego obycia z prądami epoki. Nie bez znaczenia jest w przypadku Kryczyńskiego też jego biografia – uwikłanie w politykę, lewicowe przekonania, negatywny stosunek do sanacji.

Tematyka wierszy i fragmentów prozatorskich charakteryzuje się bogactwem i różnorodnością podejmowanych wątków. Zainteresowanie przyrodą, jej zmiennością, „wiejskie” obrazki rodzajowe, sensualizm codzienności, a z drugiej strony, brudne chaty chłopskie, zatęchłe izby, zapach kiszzonej kapusty w szkolnej sieni, karczma i pijani parobkowie – wszystko to jest obecne w piśmarstwie Kryczyńskiego. To zróżnicowanie nie przekreśla jednak spójności świata przedstawionego, w bogactwie którego pisarz pragnie doszukać się jakiejś tajemnicy, być może nawet swoistej „mistyki”. Gdzieś tam pobrzmiewa również echo katastrofizmu, pojawiają się nieokreślone obrazy-koszmary, zbite szyby, dym – być może jest to zapis spełniającej się na oczach Kryczyńskiego wojennej Apokalipsy...

Jeśli chodzi o wspomnienia, pisane, jak twierdzi Józef Sulimowicz, w latach 1940–1941<sup>40</sup>, to zachowały się one w dwojakiej formie: rękopiśmienne zapiski (w tym rozpisany w punktach konspekt wspomnień), których fragmenty pochodzą najprawdopodobniej sprzed 1940 roku, oraz przygotowywany najwyraźniej do druku maszynopis (ten dokument miał najwidoczniej na myśli Sulimowicz). Maszynopis nosi tytuł *Wspomnienia z poszukiwań naukowych*, i robi wrażenie „pamiętnika intelektualnego” (autor opisuje swoje badania naukowe, studia na uniwersytecie, dzieli się przemyśleniami na temat literatury, historii, muzyki), podczas gdy część rękopiśmienna stanowi w dużej mierze raczej „pamiętnik emocjonalny” (wspomnienia z wczesnej młodości i okresu dojrzewania, opis

<sup>40</sup> J. Sulimowicz, *dz. cyt.*, s. 457.

pierwszych wtajemniczeń uczuciowych i erotycznych, pijaństwo z kolegami ze studiów w Krakowie, bijatyki podczas ulicznych manifestacji, i tym podobne).

Fragmentaryczność, cechująca utwory literackie Kryczyńskiego, jest też charakterystyczna dla jego tekstów wspomnieniowych, które nie stanowią jednej, ukończonej i spójnej całości. Maszynopis pod tytułem *Wspomnienia z poszukiwań naukowych* rozpoczyna się zgodnie z wymogami gatunku (zob. rozdział *Wspomnień* zatytułowany „Monografia powiatu mieleckiego”), lecz bardzo szybko przekształca się w wieloaspektowy esej-pamiętnik, który mógłby być nie tylko kontynuowany, ale również uzupełniany poprzez „wklejanie” weń nowych fragmentów, znajdujących się na niezliczonych fiszkach rozrzuconych po wszystkich teczkach z materiałami warsztatowymi i wypisami z literatury. Wynikać to może z faktu, iż Kryczyński nie rozdzielał swojej twórczości na literacką, eseistyczną i naukową. On zawsze, za każdym razem, w każdym tekście, wypowiadał się – jak zauważył to już Wilhelm Mach – integralnie, „całym sobą, wszystkimi dyspozycjami wewnętrznymi, duszą uczonego, gawędziarza i eseisty, na jeden raz, bez wykoncypowanych rozgraniczeń formalnych”<sup>41</sup>.

*Wspomnienia z poszukiwań naukowych* można uznać za najwybitniejszy utwór literacki Kryczyńskiego. Czytelników zadziwi z pewnością erudycja niespełna trzydziestoletniego autora, jego dojrzałość intelektualna, odczytanie oraz błyskotliwość w formułowaniu sądów. Cechą charakterystyczną *Wspomnień* jest syntetyczność prezentowanych myśli i obrazów. W jednym akapicie, w jednym zdaniu, a czasem nawet w jednym słowie, Kryczyński potrafi przekazać myśl tak głęboką, że na jej opisanie niejeden zużyłby nawet i kilka kartek. W pewnym sensie można odnieść wrażenie, że pisarz jak gdyby ściga się z czasem, jakby chciał zdążyć wyrazić wszystkie swoje myśli, które rodziły się w jego głowie szybciej, niż zdołała zapisywać je ręka. Tematyka *Wspomnień* jest wyjątkowo bogata. Jeśli by próbować wskazać kilka motywów dominujących, byłyby to: historia, Polska, Galicja, literatura, pasja badawcza, poznawanie świata.

---

<sup>41</sup> W. Mach, *Rękopisy Stanisława Kryczyńskiego...*

Czytając dzisiaj, przelane tak pośpiesznie na papier myśli zmarłego w czasach okupacji trzydziestolatka, możemy zrozumieć, jakim genialnym był on twórcą, ile mógłby jeszcze napisać, gdyby przeżył. Jednocześnie uświadamiamy sobie, ile wraz z jego przedwczesną śmiercią utraciła polska nauka i literatura. Śmierć pisarza jest faktem nieodwracalnym. Jego dzieła literackie powracają jednak w tym momencie ponownie do życia. Miejmy nadzieję, że znajdą one uznanie nie tylko wśród specjalistów, ale również u szerokiego grona miłośników literatury.

### Dziwoczyna

Dziwoczyna przecinała się w taniec ciężki, ~~mięki~~ Roschey.  
Łone usta łowidła nudałnych pokrakiów zwabiłyby motyla.  
Zgrabne nogi w miądnych powroczach, piero usypulko-  
ne obrzyd.

### Stadna

Skryty ogłoda wroźni: kamieniem oczyma. Stadna  
plunoc i dżipie robnyca: suchem wody, gdy zienajsc  
dzwetki, jencu zagnane czerwonym ogniem piekarni, aer-  
faj ~~z~~ wode drewnianem: konesulami. Wśród domiu plsc-  
j: latarki: gospodary, dopark: idz do kwi, kaguty, otus-  
meam: si ze sru energierangem pudnyiem nasturongel dny-  
det, amyay shraplkie.

### Krańc gra na harpie

Krańc Zalecki: siedzi przy domu i gra na harpie.  
Śwarpne struny ręką natchmioną, za oknem słona topi.  
Si w nulen gwałtownie umiennu, melody: miły grad  
i tenor: nichkajony słone, udema i: Isam: si shrapl.  
Zalena pokuje wotopem Zala, chwije si pro se: anach far-  
kotyjanym aemem, jak pijany amiot.

## Zasady wydania

Teksty źródłowe zostały wydane w większości na podstawie rękopisów i maszynopisów Stanisława Kryczyńskiego, znajdujących się w Gabinetie Rękopisów Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie. Do niniejszego wydania włączono: „Wspomnienia z poszukiwań naukowych” (maszynopis, sygn. 1666, kartki 18–114) i zapiski wspomnieniowe (rękopis, sygn. 1666, kartki 1–17); wybrane zapiski dotyczące literatury (rękopis, sygn. 1678, kartki 22, 125–127, 134–138); utwory literackie (rękopis, sygn. 1677, kartki 1–53).

Umieszczone w publikacji wiersze *Umarłym* i *O, osądź* oraz poemat *Wspomnienie* nie zachowały się w postaci rękopiśmiennej, stąd też za podstawę wydania posłużył pierwodruk w „Roczniku Tatarskim” (1932, tom 1). Ponadto do niniejszego wydania dołączono wybór esejów historycznych, drukowanych na łamach gazet międzywojennych, takich jak „Kurier Literacko-Naukowy” (1932, nr 1; 1932, nr 44; 1933, nr 1; 1936, nr 22) i „Słowo” (1935, nr 264; 1937, nr 196). Podstawę wydania stanowi w tym wypadku również pierwodruk.

Zamieszczone w Aneksie dwa artykuły autorstwa Wilhelma Macha publikowane są na podstawie manuskryptów znajdujących się w Dziale Rękopisów Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie (sygn. 3623–27–7). Artykuł *Stanisław Kryczyński – pisarz nieznany* był publikowany pod zmienionym nieco tytułem w „Nowej Kulturze” w 1958 roku (numer 29 z dnia 20 sierpnia).

W prezentowanych w niniejszej książce tekstach źródłowych zmodernizowano ortografię, interpunkcję i fleksję według współcześnie

obowiązujących zasad. Poprawiono literówki i inne błędy popełnione przez Stanisława Kryczyńskiego w maszynopisie.

Całość tekstów źródłowych wzbogacono o przypisy zawierające przede wszystkim krótkie biografie wspomnianych przez Kryczyńskiego ludzi nauki i kultury oraz działaczy społecznych i politycznych z okresu międzywojennego, a także informacje o ważniejszych wydarzeniach historycznych. W przypisach redakcyjnych wskazane zostały również pełne, w miarę możliwości, adresy bibliograficzne dzieł literackich i naukowych cytowanych przez Kryczyńskiego.

W artykule Wilhelma Macha pod tytułem *Stanisław Kryczyński – pisarz nieznan*y pominięto fragment zawierający krótką notę biograficzną Kryczyńskiego.

## Wybrana bibliografia

- Błachowska Katarzyna, *Stanisław Zakrzewski*, [w:] *Złota księga historiografii łwowskiej XIX i XX wieku*, pod redakcją Jerzego Maternickiego, przy współpracy Leonida Zaskilniaka, Rzeszów: Wydawnictwo Uniwersytetu Rzeszowskiego, 2007.
- Borawski Piotr, Dubiński Aleksander, *Tatarzy polscy. Dzieje, obrzędy, legendy, tradycje*, Warszawa: Iskry, 1986.
- Czerwiński Grzegorz, *Dzieje rękopisów Stanisława Kryczyńskiego (1911–1941)*, „Bibliotekarz Podlaski” 2014, nr 1.
- Dziadulewicz Stanisław, *Herbarz rodzin tatarskich w Polsce*, Wilno 1929.
- Jakubauskas Adas, Sitdykov Galim, Dumin Stanislav, *Lietuvos totoriai istorijoje ir kultūroje / Литовские татары в истории и культуре*, Kaunas: Lietuvos totorių bendruomenių sąjunga, 2009.
- *Katalog Rękopisów Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie*, tom 5, oprac. Joanna Borysiak, Ewa Piskurewicz, Maria Tyszkowa, przy współudziale Mieczysława Kreta, Warszawa: Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego, 1992.
- Mach Wilhelm, *Rękopisy Stanisława Kryczyńskiego*, rękopis, Dział Rękopisów, Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie, sygn. 3623–27–7.
- Mach Wilhelm, *Stanisław Kryczyński, pisarz odnaleziony*, „Nowa Kultura” 20 VII 1958, nr 29.
- Mach Wilhelm, *W sprawie Kryczyńskiego*, „Nowa Kultura”, 10 VIII 1958, nr 32.

- Miśkiewicz Ali, *Tatarzy polscy 1918–1939. Życie społeczno-kulturalne i religijne*, Warszawa: PWN, 1990.
- *Słownik historyków polskich*, pod redakcją Marii Prosińskiej-Jackl, Warszawa: Wiedza Powszechna, 1994.
- Sulimowicz Józef, *Kryczyński Stanisław*, [w:] *Polski słownik biograficzny*, tom 15, z. 3, red. nac. Emanuel Rostworowski, Wrocław: Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wydawnictwo Polskiej Akademii Nauk, 1970.
- Tyszkiewicz Jan, *Dorobek historyczny Leona i Stanisława Kryczyńskich*, [w:] *Środowiska historyczne II Rzeczypospolitej. Część 2: Materiały konferencji naukowych w Cedzynie i Białymstoku w 1986 i 1987*, pod red. Jerzego Maternickiego, Warszawa: Centralny Ośrodek Metodyczny Studiów Nauk Politycznych, 1987.
- Tyszkiewicz Jan, *Olgiard, Leon i Stanisław Kryczyńscy – działacze kulturalni i badacze przeszłości Tatarów*, „Rocznik Tatarów Polskich” 1993, tom 1.
- Tyszkiewicz Jan, *Stanisław Kryczyński i jego „Kronika wojenna Tatarów litewskich”*, [w:] Stanisław Kryczyński, *Kronika wojenna Tatarów litewskich*, oprac., wstępem i przypisami opatrzył Jan Tyszkiewicz, Gdańsk: „Rocznik Tatarów Polskich”, 1997/1998.
- Tyszkiewicz Jan, *Stanisław Zakrzewski był nie tylko mediewistą*, [w:] *Środowiska historyczne II Rzeczypospolitej. Cz. 3: Materiały konferencji naukowej w Krakowie w 1988 r.*, pod red. Jerzego Maternickiego, Warszawa: Centralny Ośrodek Metodyczny Studiów Nauk Politycznych, 1989.
- Tyszkiewicz Jan, *Tatarzy na Litwie i w Polsce. Studia z dziejów XIII–XVIII w.*, Warszawa: PWN, 1989.
- Tyszkiewicz Jan, *Zainteresowania i dorobek badawczy Stanisława Kryczyńskiego (1911–1941)*, [w:] *Słowiańszczyzna i dzieje powszechne. Studia ofiarowane Profesorowi Ludwikowi Bazylowowi w siedemdziesiątą rocznicę Jego urodzin*, Warszawa: PWN, 1985.
- Tyszkiewicz Jan, *Z historii Tatarów polskich 1794–1944*, Pułtusk: Wyższa Szkoła Humanistyczna w Pułtusku, 2002.



Wspomnienia z poszukiwań naukowych

IV Monografia powiatu mieleckiego

W roku 1928 przyjechałem do Mielca, niewielkiego miasteczka nad Wisłoką, w zachodnio-północnym kącie województwa krakowskiego. Właśnie ukończyłem byż wtedy w Skierniewicach klasę siódmą gimnazjum i przeszedłem do ósmej, ponieważ ojciec przeniesiony został na stanowisko dyrektora gimnazjum w Mielcu - trzeba było z ostatni rok nauki w gimnazjum odbyć w nowej uczelni.

Wyjeżdżałem ze Skierniewic małodawny pragnieniami twórczymi w dziedzinie literackiej i naukowej - historycznej. Nie udało mi się jeszcze znaleźć tematu dla kielkujących od dawna najbardziej interesujących historycznych, które były niewątpliwie rezultatem atmosfery domowej. W Skierniewicach, już jako uczeń IV czy V klasy, zacząłem układać "słownik numizmatyczny". Z różnych encyklopedy słowników i opracowań źródłowych wydobyłem kilka tysięcy nazw monet /złotnie z gwarowymi i szwargotowymi/ oraz nazwisk mienarzy i numizmatyków, które zamierzałem objaśnić historycznie i filologicznie. Była to robota oczywiście dość żałowa, taka jak np. kolekcjonowanie guzików z różnych epok i krajów, ale miała tę jedną dobrą stronę, że dzięki niej bardzo wesoło zapoznałem się z metodą poszukiwań źródłowych, narazie w książkach. Na wielkim ~~zawieszak~~ "Larousse"ie, którego ogromne tomy położyłem od nauczycielki francuskiego Belgijki z Brukseli pani Lombard-Twickiej, uczyłem się francuszczyzny lepiej niż ze szkolnego podręcznika i poznawałem mnóstwo niesłychanie ciekawych drobniaków, których nie poznałbym z dostępnej mi wówczas literatury. Pamiętam dokładnie, że w jednym z tomów Larousse'a byłem pogrążony w czasie przewrotu majowego w r. 1926; miałem wtedy lat 15. Lektorowi szkolnemu doktorowi Ossowskiemu zawdzięczałem wspomnienie



PISMA LITERACKIE  
STANISŁAWA KRYCZYŃSKIEGO



# I.

## Wspomnienia z poszukiwań naukowych<sup>42</sup>

### **Monografia powiatu mieleckiego**

W roku 1928 przyjechałem do Mielca, niewielkiego miasteczka nad Wisłoką, w zachodnio-północnym kącie województwa krakowskiego. Właśnie ukończyłem wtedy w Skierniewicach klasę siódmą gimnazjum i przeszedłem do ósmej. Ponieważ ojciec przeniesiony został na stanowisko dyrektora gimnazjum w Mielcu, trzeba było ostatni rok nauki w gimnazjum odbyć w nowej uczelni.

Wyjeżdżałem ze Skierniewic naładowany pragnieniami twórczymi w dziedzinie literackiej i naukowej – historycznej. Nie umiałem jeszcze znaleźć tematu dla kielkujących od dawna zainteresowań historycznych, które były niewątpliwie rezultatem atmosfery domowej. W Skierniewicach, już jako uczeń czwartej czy piątej klasy, zacząłem układać „słownik numizmatyczny”. Z różnych encyklopedii, słowników i opracowań źródłowych wydobyłem kilka tysięcy nazw monet (łącznie z gwarowymi i szwargotowymi) oraz nazwisk mincarzy i numizmatyków, które zamierzałem objaśnić historycznie i filologicznie. Była to robota, oczywiście, dość jałowa, taka jak na przykład kolekcjonowanie guzików z różnych epok i krajów, ale miała tę jedną dobrą stronę, że dzięki niej bardzo wcześniej zapoznałem się z metodą poszukiwań źródłowych, na razie

---

<sup>42</sup> Przepisy oznaczone gwiazdką (\*) pochodzą od Stanisława Kryczyńskiego.

w książkach. Na wielkim *Larousse* 'ie, którego ogromne tomy pożyczałem od nauczycielki francuskiego, Belgijki z Brukseli, pani Lombard-Iwickej, uczyłem się francuszczyzny lepiej niż ze szkolnego podręcznika i poznawałem mnóstwo niesłychanie ciekawych drobiazgów, których nie poznałbym z dostępnej mi wówczas literatury. Pamiętam dokładnie, że w jednym z tomów *Larousse* 'a byłem pogrążony w czasie przewrotu majowego w roku 1926; miałem wtedy lat piętnaście. Lekarzowi szkolnemu doktorowi Ossowskiemu, zawdzięczałem zapoznanie się z największą encyklopedią polską, niestety, doprowadzoną tylko do litery „O”, czy też początku litery „P”, a mianowicie *Wielką encyklopedią powszechną ilustrowaną*<sup>43</sup>. Niosłem te tomiska [*kartka uszkodzona*] z wypiekami na twarzy. Palila mnie równocześnie i ciekaw[ość, że coś] dla siebie w tych książkach znajdę, i wstyd, że zamiast j[ak] wszyscy chłopcy w moim wieku biegać po słońcu i kopać pi[łkę], zaszywam się w dżungłę papierowej abstrakcji. Przechodziłem więc na mniej uczęszczaną stronę ulicy i chyłkiem, nie patrząc na nikogo, ugięty pod ciężarem woluminów, pod parkanami pałacowego ogrodu przemykałem jak szczur do domu. Swój „słownik numizmatyczny”, arcydzieło twórczej inwencji skierowanej na fałszywe tory, doprowadziłem na osobnych kartkach do kilku tysięcy pozycji. Czarowały mnie wtedy osobliwe nazwy monet i ich jeszcze osobliwsze etymologie – angeloty, rosenoble, babki, bąki, berlinki, efreimity, luidory, dukaty, czeskie, piastry, maravedi, orty, talary (któż by przypuścił, że ta nazwa powstała od nazwy miejscowości Joachimsthal – Joachimsthaler münz[e?]), orlanki, szylingi, karliny, Cavaloty, batz'e, fledermausy, judenkopfgrosze, krajcary, halerze i tyle innych, których dziś już nie pamiętam!

Ostatecznie jednak słownik mi się znudził. Nie wystarczała mi praca tego typu. Obracałem się naturalnie wciąż jeszcze w kręgu kompilacji, ale horyzonty rozszerzały się i pociągały mnie już inne, znacznie poważniejsze tematy.

W klasie siódmej zająłem się najdawniejszymi dziejami Polski – legendami o Piaście, Popielu i myszach, i o Kraku. Wczytywałem się

<sup>43</sup> *Wielka encyklopedia powszechna ilustrowana* – encyklopedia wydawana w latach 1890–1914. Ukazało się 55 tomów, do hasła „Patroklos”.

w pisma Szajnochy, który pierwszy postawił teorię normańskiego początku państwa polskiego, Piekosińskiego, Wojciechowskiego Tadeusza, Brüchnera, Potkańskiego – i po raz pierwszy postawiłem stopę w gąszczu hipotez i teorii, z których każda opierała się przeciw na jakichś przesłankach, na misternych wywodach historycznych, językowych czy etnograficznych. Jeśli historia była dla mnie słońcem, to teraz przeżywałem zaćmienie słońca, pogrążony w ciemności, lękając się poruszyć. Posegregowałem wreszcie jako tako tę migotliwą kupę uczonych domysłów i napisałem referat, ale nim dotarłem do grupy podań krakowsko-tyńskich (Wisław, Krak, Walgierz), ogarnęło mnie zniechęcenie i pracę cisnąłem do szuflady – niedokończoną.

I ta ekskursja pozornie skończyła się fiaskiem. Ale wyniosłem z niej jeszcze więcej doświadczenia, niż ze zbieractwa numizmatycznego. Wpadłszy w kłębowisko syczących żmij zwanych teoriami naukowymi, musiałem się zorientować, jak łatwo jest budować teorie z kart źródłowych i jak łatwo taki domek z kart może zdmuchnąć konkurencyjny budowniczy. Odśloniło się przede mną znaczenie krytyki w badaniach historycznych. A poza tym – wszystkie te teorie normańskie czy mitologiczne nie były pozbawione romantyzmu. W którymś z dramatów Wyspiańskiego z epoki *Nocy listopadowej* uczoney Lelewel w chwili, gdy walka wre w mieście, bada pod lupą denar piastowski i zastanawia się, którego to może być Bolesława. Podobłoczne, oderwane od życia rzeczywistego stanowisko uczonych ma w sobie element nie tylko humorystyczny, jak dla ogółu, ale i romantyczny. Taki Franciszek Piekosiński<sup>44</sup> przedstawia mi się po dziś dzień jako postać donkiszotyczna. Jego książki dziś wcale prawie nie czytane, pełne kreskowych rysunków przedstawiających herby rycerstwa piastowskiego, pisane uroczystym stylem XIX wieku, zawierają w opleśniałych, omszonych załomach genealogicznych wywodów jakieś dziwnie wzruszające łyzy starczego żalu, jakieś ognie namiętności i miłości do dzieła całego życia i gniewu do współczesnych, którzy pominęli je lub wyszydźili. Ten profesor krakowskiego uniwer-

<sup>44</sup> Franciszek Piekosiński (1844–1906) – historyk i prawnik, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, członek Akademii Umiejętności, dyrektor Archiwum Krajowego Aktów Grodzkich i Ziemijskich w Krakowie, autor obalanej przez późniejszych historyków hipotezy o runicznym pochodzeniu polskich herbów.

sytetu całą niemal swoją twórczość naukową zamienił w monomanię, dowodząc wbrew wszelkim argumentom opozycji, że szlachta polska pochodzi od Normanów, czy też raczej znormanizowanych Słowian, i że znaki w jej herbach to nic innego jak skandynawskie runy. Teoria Piekosińskiego miała przez jakiś czas, na przełomie XIX i XX wieku wielki rozgłos, potem wykazano jej kruchość i nie zajmowano się nią więcej. Stary uczony (z sędziwą brodą *à la* Darwin) poznał u schyłku życia, że nikt nie traktuje poważnie jego dorobku. Z goryczą pisał o tym w którymś z tomów swego *Rycerstwa*<sup>45</sup> i z jakimś chwytającym za serce smutkiem dodawał: „[...] jestem już stary, bardzo stary, bo urodziłem się, jak to mówią, *anno* kiedy królowa Anna była jeszcze panną”.

W poszukiwaniach naukowych już wówczas odczuwałem wibrującą we mnie, obok ciekawości umysłowej, żyłkę czysto zmysłowego bibliofilstwa. Już w dzieciństwie, gdy miałem lat sześć czy siedem, sprawiała mi rozkosz *Dola i niedola Sobieskiego* Korzونا<sup>46</sup> wśród książek mego ojca. Jej treść była to dla mnie całkowicie niezrozumiała abrakadabra dźwięków i układów literowych, w których, jak zaklęcia czarodziejskie („hokus pokus dominokus”), brzmiały słowa: konfederacja, rokosz, Astrea, Sylwander, kampania, *amour*, ekspatriacja... Za to książka ta miała cudownie gładkie, poźółkłe karty i nieopisaną, dziwną woń, właściwą takim księgom. Nie umiem powiedzieć dlaczego, ale ta woń właśnie dawała mi przeczucie nieznanego mi jeszcze świata nauki, przeczucie rozkoszy umysłowej, jaka mi kiedyś przypadnie w udziale. I teraz, gdy wertowałem w książkach w szafie bibliotecznej stojącej w kancelarii mego ojca, budziły się we mnie instynkty bibliofilskie, chęć pieszczenia książki dotykiem, napawania wzroku jej graficznym układem, doborem czcionek, okładkami i grzbietem.

<sup>45</sup> Franciszek Piekosiński, *Rycerstwo polskie wieków średnich. T. 1: O dynastycznym szlachte polskiej pochodzeniu*, wyd. 2 popr., Kraków 1896; *Rycerstwo polskie wieków średnich. T. 2: Obejmuje dwanaście pierwszych pokoleń rycerstwa polskiego wieków średnich*, Kraków 1896; *Rycerstwo polskie wieków średnich. T. 3: Obejmuje rycerstwo małopolskie w dobie piastowskiej*, Kraków 1901; *Rycerstwo polskie wieków średnich. T. 3, z. dodatkowy: Rycerstwo małopolskie w dobie piastowskiej*, Kraków 1902.

<sup>46</sup> Tadeusz Korzón, *Dola i niedola Jana Sobieskiego 1629–1674*, tom 1–3, Kraków 1898.



Już jako piętnastoletni chłopiec zacząłem kupować książki naukowe. Wśród moich książek, obok Tołstoja, Dostojewskiego, Londona, Szchedrina i innych, pojawiły się takie specjalności, jak na przykład *Kult św. Floriana w Polsce* Dobrowolskiego<sup>47</sup>, czy *Historia wojskowości polskiej* Kukiela<sup>48</sup>.

W ostatnim roku pobytu w Skierniewicach zacząłem myśleć o napisaniu monografii tego miasta, ale nim zebrałem bibliografię opracowań i źródeł – trzeba było wyjeżdżać. Zresztą więcej czasu pochłaniały mi wówczas plany literackie: pisałem wiersze.

W Mielcu od samego początku powziąłem decyzję napisania monografii miasteczka, a może i powiatu – i od razu przystąpiłem do zbierania materiałów.

Początkowo, dopóki byłem uczniem, były to tylko wypisy z różnych źródeł drukowanych. W czerwcu roku 1929 zdałem maturę, a w jesieni zapisałem się na wydział prawny Uniwersytetu Lwowskiego. Zacząłem słuchać wykładów Oswalda Balzera<sup>49</sup>, Leona Pinińskiego<sup>50</sup>, Stefki<sup>51</sup>, Chłamtacza<sup>52</sup>. Utkwiła mi szczególnie w pamięci postać Balzera: sędziwy starzec, który kulejąc przepychał się przez tłum studentów w sali

<sup>47</sup> Kazimierz Dobrowolski, *Dzieje kultu św. Floriana w Polsce do połowy XVI w.*, Warszawa 1923.

<sup>48</sup> Marian Kukiel, *Historia wojskowości w Polsce*, Kraków 1929.

<sup>49</sup> Oswald Balzer (1858–1933) – historyk, specjalista w zakresie historii ustroju i prawa polskiego, profesor na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie w latach 1887–1933, w latach 1895–1896 rektor tejże uczelni, założyciel Towarzystwa Naukowego we Lwowie.

<sup>50</sup> Leon Piniński (1857–1938) – dyplomata, historyk sztuki, profesor prawa rzymskiego na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, w roku akademickim 1928/1929 rektor tejże uczelni.

<sup>51</sup> Kamil Stefko (1875–1966) – profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, specjalista w zakresie prawa procesowego cywilnego, działacz Stronnictwa Demokratycznego, odznaczony przez prezydenta Ignacego Mościckiego Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

<sup>52</sup> Marcei Chłamtacz (1865–1947) – profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, specjalista w zakresie prawa rzymskiego i cywilnego, W latach 1918–1927 pełnił funkcję wiceprezydenta Lwowa. W czasie obrony Lwowa w 1918 r. był członkiem polskiego Komitetu Obywatelskiego. W 1923 został odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Polonia Restituta. Po wojnie nie wyjechał ze Lwowa. Nie podjął też pracy na radzieckim uniwersytecie.

wykładowej w starym gmachu uniwersyteckim przerobionym z klasztoru trynitarzy. Ale prawo nie podobało mi się. Dla studenta małe tu było pole do wykazania samodzielności umysłowej. Przed feriami Bożego Narodzenia wróciłem do Mielca, zgnębiony niefortunnie obranym kierunkiem studiów. Mimo to jeszcze przez grudzień i styczeń próbowałem uczyć się w domu ze skryptów wypożyczonych z biblioteki słuchaczy prawa. Była tam historia prawa rzymskiego, pandekta, historia dawnego prawa polskiego (Balzera) i tak dalej. Kiwając się melancholijnie nad skryptami, daremnie usiłowałem zainteresować pamięć definicjami Ulpianusa czy innego jurysty lub pojęciem własności prywatnej w starożytnym Rzymie.

Myśli moje leciały wszystkie w jedną tylko stronę, jak w legendarnej powieści gwoździe z okrętu ku magnetycznej górze. Była to istotnie góra, czarodziejska góra książek spiętrzonych dość bezładnie na jednym ze stołów w moim pokoju. Książki te zostały ofiarowane bibliotece gimnazjalnej przez miejscowego notariusza. Ojciec mój kazał je wydobyć z piwnic, gdzie butwiały od czasów jego poprzednika. Czasowo, zanim miały ulec inwentaryzacji, znajdowały się w moim pokoju. Przejrzałem wszystkie od deski do deski. Przeważnie były to wydawnictwa historyczne z XIX wieku. Najstarsza w tym zbiorze była gruba księga bez karty tytułowej, drukowana na szarym papierze wołowymi czcionkami, takimi, jakich dzisiaj używa się w książkach nabożnych dla półanalfabetów. Był to beznadziejnie bzdurny, fantastyczny romans bohaterski z XVIII wieku, dedykowany, o ile pamiętam, królowi Augustowi III – typowa księga saskich czasów.

W tej górze papierowej odkryłem kopalnię wiadomości. Namiętność twórcza i zdobywca drżała we mnie coraz silniej, na skrypty już patrzeć nie mogłem. Notatki do historii Mielca i jego okolic mnożyły się z szybkością króliczą. Siła fatalna historycznych upodobań gniotła mnie tak, że wkrótce po półroczu zdecydowałem się od razu porzucić prawo, a w roku następnym przenieść się na historię do Krakowa.

Odetchnąłem z ulgą. Miałem teraz wiele wolnego czasu i mogłem swobodnie zająć się projektowaną monografią.

Nie wiem, kto mi wskazał drogę do warsztatu stolarskiego pana Franciszka Olszewskiego, piastującego godność cechmistrza Cechu

Wielkiego w miasteczku. Cechmistrz wyjął ze skrzynki trzy rękopisemne książki cechowe z dawnych wieków i statut pięknie kaligrafowany czarnym i czerwonym inkaustem. Wszystko to chętnie wypożyczył mi celem przejrzenia. Chciałem śpiewać i tańczyć z radości. Leciałem do domu jak na skrzydłach. Serce waliło w mej piersi jak młot, wypieki paliły mi twarz. W swoim pokoju zabrałem się natychmiast do odcyfrowywania zapisek i statutu. Pierwszy raz w życiu miałem przed sobą rękopisy liczące kilka wieków, sięgające najdawniejszymi kartami epoki Batorego, pierwszy raz mogłem je oglądać nie za szklaną gablotką i obracać własnymi palcami karta za kartą! Nie mając jeszcze lat dziewiętnastu, rozpocząłem samodzielne badania historycznych źródeł archiwalnych. Skromniutki to było archiwum: zapiski cechowe z lat 1583–1786 w okładce pergaminowej zszytej niedbale z dwóch kart średniowiecznego, ręcznie pisanego mszału z XV wieku, dalej podobne zapiski z lat 1782–1865, protokół spraw sądowych z lat 1798–1858 i statut cechu z roku 1613.

Było to źródło do poznania dawnych zwyczajów cechowych w miasteczku, do statystyki zajęć rzemieślniczych i do wykazu dawnych nazwisk, nieraz wielce oryginalnych, jak na przykład Solnydrąg, Rzepnydół, Lisiajama, lecz wiele dać mogło do historii wewnętrznej miasteczka. Ale dzięki temu, że w poszukiwaniu każdej ciekawszej wzmianki przeczytałem te zapiski dokładnie i literalnie wyraz za wyrazem – miałem tu najlepszą szkołę paleografii. Na tych rękopisach nauczyłem się rozróżniać z niezawodną pewnością charaktery pisarskie różnych epok: i spokojne renesansowe pismo XVI wieku, staranne, wyrobione, ale i fantazyjne arabeski XVII-wiecznego baroku, chaotyczne kulfony czasów saskich (przy okropnej ortografii) i z niemiecka gotycyzowany szryft epoki józefińskiej. W dodatku na pergaminie okładek miałem czysty gotyk, minuskuły z XV wieku. Skrót historii kultury polskiej w literach. Okładki wszelkich ksiąg rękopisemnych czy drukowanych interesowały mnie zawsze specjalnie. Wiedziałem, że żyje w Krakowie czy też w Warszawie taki uczonec, doktor Kazimierz Piekarski<sup>53</sup>, który z okładek i ligatury starych ksiąg wydobywa unikaty dzieł

<sup>53</sup> Kazimierz Piekarski (1893–1944) – bibliograf i historyk książki, twórca teorii księgoznawstwa, pracował w bibliotece Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie, w Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich i w Bibliotece Jagiellońskiej.

zupełnie dotąd nieznanych. Marzyłem, aby stać się takim odkrywcą – ale to marzenie nie spełniło się nigdy.

W krótki czas potem od nauczyciela gimnazjum, polonisty, pana Tadeusza Zawadzkiego, dowiedziałem się, że podobno w magistracie mieleckim mają znajdować się jakieś stare księgi miejskie i dokumenty. Udaliśmy się obaj do magistratu i tu powiedziano mi, że owszem, a jakże, są stare księgi... na strychu. Wdrapaliśmy się wtedy na strych magistracki. Pomiędzy belkami, pod grubą warstwą pyłu, częściowo zawilgocone i nadgryzione przez myszy, rozrzucone leżały tu istotnie dwie stare księgi, jedna z XVI wieku, druga z XVIII wieku, oraz plik papierzyk z czasów austriackich.

O, była to zdobycz znacznie poważniejsza, niż owe zapiski cechowe i emocja moja nie miała granic. Stary sekretarz magistratu pozwolił mi zabrać znalezione skarby do domu. Nie przykładano tam, w tym zatęchłym urzędzie, większej wagi do tych rupieci.

Nigdy nie opiszę, ile najdziwniejszych wzruszeń i olśnień przeżyłem dzięki owym rupociom, jakie fantastyczne podróże odbyłem, jakich poznawałem ludzi ze świata umarłych i jakie przyszło mi oglądać wydarzenia!

Z luźnych wzmianek, z inwentarzy, zeznań sądowych, testamentów, kontraktów wyłaniało się coraz wyraźniej starodawne miasteczko. Zarysowywał się kadłub drewnianego pierwotnie kościoła, wiecznie zagrożonego defluitacją rzeki. Zmartwychwstały nieistniejące już mniejsze kościołki i barokowy klasztor trynitarzy. Odślaniał swe pierwotne oblicze rynek z podcieniowymi drewnianymi domami i podcieniowym ratuszem, przed którym stał krzyż i „pręga”, czyli pręgierz. Ujawniały się dawne ulice i zaułki, dawne obwałowania, bramy miejskie, pastwiska, Boże Męki, łaźnia, szpital ubogich, szkoła parafialna... Na kwadratowym usypisku dworskiego sadu, w miejscu, gdzie około roku 1906 przy osuszaniu mokradła wykopano szkielet rycerza w zbroi i gdzie dawniej wydobywano stare monety, ogromne klucze, kajdany, łańcuchy oraz kości i czaszki ludzkie – powstawał na nowo, tym razem w sferze odtwórczej fantazji, zamek rodu Mieleckich z wieżami, lochami i moździerzami na obronnych wałach.

I pomyśleć, że ja jeden, dziewiętnastoletni chłopak, nieśmiały i lękliwy, byłem władcą wskrzeszonego świata rzeczy i ludzi dawno zagasłych,

mnie jednemu znany był szyfr otwierający jego tajemnice! Znałem nie tylko nazwiska, imiona i zajęcia dawnych mieszkańców miasta, ale także nawet sekrety ich kuchni, małżeńskiego pożycia czy temperamentu. Co raz głębiej i głębiej, świecąc sobie pochodnią odkrywczą namiętności, schodziłem w otchłań czasu, która się przede mną rozwierała w księgach wójtowsko-ławniczych. Strona za stroną, linijka za linijką, notując każdy najdrobniejszy szczegół nieobojętny dla topografii miasta, dla dawnej jego historii, obyczajowości, kultury, przeglądałem te księgi dosłownie od deski do deski i wycisnąłem z nich, śmiało rzec mogę, wszystko, cokolwiek miało jakieś znaczenie.

Innymi teraz oczyma spoglądałem na miejsce, w którym mi mieszkać przypadło. Części miasta o starych nazwach, jak Zawale (bo za wałem), Szkotnia (w staropolszczyźnie = pastwisko, od skotu – bydła) owiane były dla mnie obecnie mgłą jakiejś archaiczności. Często zaglądałem, czy to w kręte, wąziutkie uliczki Zawala zamieszkałego przez żydowskich chałciarzy, czy też pod mieszczańskie drewniane chałupki pod topolami przy zielonym błoniu zwanym Szkotnią, jak gdybym tam spodziewał się znaleźć jakieś szczątki wyrzucone na brzeg dnia terazniejszego przez ocean dawności.

Czasem w tajemnicy wychodziłem w okoliczne pola i błąkałem się po nich, jak duch geometry, żalując, że nie posiadam różdżki poszukiwaczy skarbów. Raz nawet, oglądając się co chwila, czy mnie kto nie śledzi, wylazłem na usypisko w Borku pod miastem, zwane tu „okopami szwedzkimi”, i długim prętem sondałem piaszczysty grunt. Ale ziemia zazdrośnie kryła przede mną swoje tajemnice. Odwiedzałem często miejscowy kościół parafialny, wzniesiony w drugiej połowie XVIII wieku z muru na miejsce dawnego, drewnianego, kosztem Ossolińskich. Była to świątynia barokowa z dwiema bocznymi kapliczkami, nadającymi jej formę krzyża i z wieżą uwieńczoną blaszonym hełmem. W nawie odczytywałem tablice marmurowe ku czci Mieleckich, Ossolińskich i Małachowskich, którzy ongiś byli dziedzicznymi właścicielami miasta. Zachodziłem na oba cmentarze, nowy i stary, zniszczony w kilka lat po powstaniu styczniowym wylewem Wisłoki. Odczytywałem łacińskie napisy na figurach ku czci świętych z XVIII wieku. Na wzgórzu, w obrębie obszaru dworskiego, stała figura świętego Jana Nepomucena z roku 1736

z herbem Ossolińskich Topór. Tradycja łączyła wystawienie jej z wielkim wylewem Wisłoki, mówiono też, że przedtem wznosił się tu jakiś kościółek, że we wzgórzu pod figurą są lochy ze skarbami, że z tego miejsca ciągnie się podziemny korytarz aż do Sandomierza. Jak każde stare miasto, tak i Mielec miał swoje tradycje o rzekomych korytarzach podziemnych. Nęciło mnie nieraz zbadanie, ile prawdy mieści się w tych opowieściach, ale nigdy nie spróbowałem zapuścić się z latarką w te labirynty, o ile istnienie ich nie było czystą fikcją. Zapuszczałem się za to w smrodliwe zaułki getta koło bożnicy i, przerywając zdumionym Żydom gardłowe, krzykliwe pogawędki o interesach, pytałem o daty z historii żydostwa w miasteczku, o metryki ich wyznaniowej gminy. Z chederu niosły się namiętne, żalosalne śpiewy szkolnych „bachurów”, z wnętrza synagogi buchało jakieś zgniłe powietrze, byłem nieraz w zupełnie odmiennym świecie, w którym w szabasowy wieczór przechadzały się uroczyście postacie brodatych starców z pejsami w lisich, futrzanych kapeluszach, atłasowych, czarnych kapotach i spodniach i w białych pończochach – widma karykaturalne niemieckiego renesansu z zaułków jakiegoś Frankfurtu czy Moguncji\*. Drewnianymi schodkami, ohydnyymi gankami dotarłem do mieszkania jednego ze starszych kahału. Cóż, księgi metryczne Żydów były dla mnie niedostępne. Ale siwobrody patriarcha skierował mnie do „szkolnika”. Od tego to szkolnika uzyskałem garść wiadomości okraszonych, jak zwykle u polskich Żydów, fantastycznym wywodem miejscowego Izraela od czasów Mieszka.

Do magistratu zachodziłem jeszcze kilkakrotnie, aby skopiować odpisy przywilejów miejskich (o oryginałach nic tu nie wiedziano) i wynotować ciekawsze rzeczy z kronik wydarzeń miejskich z drugiej połowy XIX wieku. Najważniejszą rzeczą było obecnie, po zbadaniu archiwaliów miejskich, dotarcie do archiwum parafialnego.

Proboszczem mieleckim był na onczas ksiądz Franciszek Pawlikowski, prałat, sędziwy starzec, nieprzystępny i opryskliwy mizantrop. Dziwne rzeczy opowiadano o jego szorstkości. Zebrałem się jednak w końcu na odwagę i poszedłem do plebanii. Był to parterowy, murowany dom

\* Wynałazca czcionki, Gutenberg, na współczesnych wizerunkach z XV wieku przedstawiany jest z brodą, pejsami i w futrzanej czapce, takiej samej, jaką nosili Żydzi galicyjscy do naszych czasów.

w ogrodzie za kościołem. Ksiądz w domowej sutannie, w ciepłym, włóczkowym, ale mocno znoszonym kaftanie, przyjął mnie w kancelarii niezbyt zachęcająco, ale nie tak groźnie, jak to sobie wyobrażałem idąc na plebanię. „Grunt nie przejmować się burczeniem tego dziwaka – myślałem – przecież się w końcu da obłaskawić”. Miałem zamiar przejrzeć metryki kościelne. Zdawałem sobie już wtedy sprawę z ich poważnego znaczenia dla historii kultury; czytałem kiedyś o tym fachowe uwagi pewnego badacza. Proboszcz wzruszył ramionami.

– Co panu przyjdzie z metryk? Na co to komu? Co pan tam może wyczytać? – sarkał. – Dam panu papiery kościelne, tam to jeszcze może pan coś wygrzebać, ale tu!...

Zacząłem więc od akt, których plik cały położył proboszcz przede mną na swoim biurku. Była to bezładna sterta odpisów przywilejów erekcyjnych kościoła, różnych papierów procesowych, listów, etc., przeważnie z XVIII i XIX wieku. Najciekawszym dokumentem była tu skarga proboszcza mieleckiego księdza Ankwicza z roku 1762 do biskupa krakowskiego na miejscowych trynitarzy, którym świeżo zafundowała w Mielcu klasztor pobożna wojewodzina Morsztynowa. Chodziło o konkurencję, jaką robili kościołowi farnemu ruchliwi mnisi, którzy ściągali do siebie lud uroczystymi procesjami, adoracjami Najświętszego Sakramentu, jakimiś „zakonnymi odpustami”, ogłaszaniem figury Pana Jezusa Nazaretańskiego w swoim kościele za cudowną, święceniem domów mieszczkańskich i figur i tak dalej.

Proboszcz zainteresował się moimi poszukiwaniami. Lód, którym tchnęła jego postać, topniał. Po paru dniach pracowałem już nie w kancelarii, ale w pokoju stołowym. Szybko mijał ranek. Zegar ścienny wybijał dwunastą. Otwierały się w tym momencie drzwi i kucharka z dymiącą wazą wkraczała do pokoju. Zmykałem do domu, aby przyjść nazajutrz.

Powoli wkradłem się, sam nie wiem jakim sposobem, w łaski kostycznego dziwaka. Zaczął gawędzić ze mną dość przychylnie i zapraszał czasem na rozmowę do mrocznego, chłodnego salonu (było to zimą, gdzieś w styczniu czy w lutym). A raz nawet, o dziwo, poczęstował mnie lampką owocowego wina. Opowiadał mi teraz o swojej młodości spędzonej gdzieś na Karpackim Pogórzu, w Krakowskiem, i o surowych obyczajach owej epoki.

– Myśmy nie latali tak za pannami, jak wy teraz – oświadczał zgryźliwie. – Teraz byle ąfąfel, gołowąs, smarkacz z drugą smarkatą spacerują sobie urządza, papierosy pali, księdzu staremu się nie ukloni!

Wróciwszy do domu kontynuowałem swoje prace, nie poprzestając na wypisach z ksiąg wójtowskich, ale układając od razu plan całej monografii i pisząc jej poszczególne rozdziały. Rozszerzyłem też podstawę swoich badań na inne miejscowości powiatu. Oprócz Mielca, były w powiecie trzy jeszcze inne miasteczka: Rzochów (dawniej Żochów), Przelcław i Radomyśl Wielki.

Ułożyłem kwestionariusz etnograficzno-archeologiczny, odbiłem na maszynie, a inspektor szkolny, pan Julian Pawłowicz, popierając moją inicjatywę, rozesłał go kierownikom wszystkich szkół powszechnych w powiecie. Dziś myślę, że niepotrzebnie obciążyłem jeszcze jednym zadaniem uginające się pod ciężarem pracy i różnych obowiązków nauczycielstwo. Z pewnością nie błogosławiło mnie ono! Pocieszam się tylko myślą, że na szczęście ankieta nie była obowiązkowa, wskutek czego na dziewięćdziesiąt szkół w powiecie zaledwie kilkoro nauczycieli i nauczycielek nadesłało mi odpowiedzi. Niektóre były staranne, inteligentne, rzeczowe, niektóre nawet bardzo bogate w treść, ale były też i dziwnie jałowe, kapitalnie naiwne. Pewien nauczyciel donosił mi, że co do zabytków, to w jego wsi znajduje się w lesie stary dół, liczący już, jak mówią, sto lat. Najbogatsze materiały folklorystyczne zawdzięczałem panu Józefowi Miłosiowi, kierownikowi szkoły w Czajkowej i panu Hodbodtowi, kierownikowi w Woli Mieleckiej. Starego pana Hodbodta, chętnego gawędziarza, odwiedziłem jeszcze przed ankietą (rozesłałem ją z końcem lutego lub w pierwszych dniach marca), w zimie – i urządziłem z nim wywiad na tematy etnograficzne. Ankiecie miałem do zawdzięczenia rzecz jeszcze cenniejszą: korespondencję z Janem Leyką.

Kim był ten niezwykle subtelny, wyrafinowany kulturalny człowiek, opowiem osobno. Tu mogę tylko stwierdzić, że ten kierownik szkoły wiejskiej w Dulczy Wielkiej, nawiąawszy ze mną na skutek ankiety korespondencję, stał się wkrótce prawdziwym współautorem monografii, a w każdym razie inspiratorem i informatorem najcenniejszym. Rysował dla monografii rekonstrukcję dawnego Mielca: rynku z ratuszem, podcieniowych domów, klasztoru trynitarzy. Odtwarzał podobizny



zabytkowych przedmiotów, kopiował stare litografie z widokami Mielca i Rzemienia, sporządzał tuszem i ołówkiem facsimilia dawnych ksiąg i pieczęci, utrwał nutami melodie zapomnianych już pieśni mieszczańskich i powstańczych, dostarczał wszelkich szczegółów historycznych i obyczajowych o swoim rodzinnym miasteczku – trudno nawet wyliczyć wszystkie te usługi, jakie oddał mi Leyko przy pisaniu monografii. Ofiarował mi też w podarunku cenny dokument: przywilej pergaminowy dla cechu krawców w Mielcu z samego początku XVI wieku.

Odwiedziliśmy jeszcze nauczycielkę. Szkoła mieściła się jednak nie w Zgórsku, ale we wsi Podborze, której przysiółkiem jest Zgórsko. Brnąc w błocie odwilży, minęliśmy folwark należący również do fundacji Ossolińskich. Przez ogrodzenie widziałem porosły zdziczałym zieliskiem dziedziniec, a w głębi dwór parterowy. Dalej, na rozstaju dróg, wdrapaliśmy się na wzgórze, na którym ongiś miał wznosić się zamek. Świadczy o tym nazwa tego miejsca, „Zamczysko”, i tradycja ludowa oraz sama konfiguracja wzgórza, wskazująca na to, że kiedyś tu były wały ziemne i fosy. Chłopi okoliczni opowiadają, że we wzgórzu są lochy i że nocami tam „straszy”.

Nauczycielka była to młoda panna. W rozmowie z nami utyskiwała, że ma dużo pracy, a teraz w dodatku jakieś лихо nasłało jej kwestionariusz etnograficzno-archeologiczny, który powinna wypełnić, a tak jej się nie chce. I po co to? Wtrąciłem możliwie najskromniej, że to ja właśnie jestem autorem jej nieszczęścia.

– Pan? – zdziwiła się. – Pan? Taki młody? Niech mi pan daruje, ale wyobrażałam sobie, że autor kwestionariusza to jakiś brodaty i łysy uczoney!...

Niestety, w przyszłości wykrzykniki tego rodzaju nieraz uprzytamniały mi, jak dalece swoimi pracami musiałem wprowadzać w błąd niewinnych ludzi (a jednak trafiali się tacy), którzy zdobyli się na odwagę przeczytania ich, z przymknięciem oka na wijące się u dołu i syczące przypisy.

Nadeszła wiosna. W maju lub czerwcu odwiedził mego ojca w kancelarii hrabia Stanisław Rey z Przeclawia, którego dzieci, chłopczyk i dziewczynka, zdawały właśnie egzamin wstępny do gimnazjum. Ojciec mój wspominał o moich poszukiwaniach naukowych. Hrabia zaprosił

mnie do siebie, obiecując pomóc mi w zbadaniu archiwaliów miasta Przeclawia. Jeszcze tego samego dnia pan Rey zawiózł mnie swym autem do zamku w Przeclawiu.

Spędziłem tam kilka dni, podejmowany bardzo życzliwie i gościnnie przez panią i pana domu, bardzo kulturalnych i sympatycznych ludzi. Pani, z domu Branicka (z Wilanowa), oprowadzała mnie po całym zamku, pokazując mi wszystko, co tylko w nim było godnego zobaczenia. Na równi z mężem interesowała się moją pracą, która miała objąć również historię starego zamczyska przeclawskiego.

Murowany zamek – biała piętrowa budowla, nakryta charakterystycznym łamanym do środka dachem i uwieńczona wysoką attyką renesansową – wznosił się tuż koło miasteczka na wyniosłym wzgórzu, którego zbocza porastał starodrzew ślicznego parku. Najstarsze części zamku pochodziły z pierwszej połowy XVI wieku. Po dwóch przebudowach w ubiegłym stuleciu zatracił on dawny wygląd i styl: gotycki w częściach dolnych, renesansowy w górnych. Wnętrze ogromnie ucierpiało na skutek rabacji 1846 roku i wojny światowej. Pokazywano mi portrety rodzinne Reyów (pochodzących z rodziny poety Mikołaja z Nagłowic), cykl obrazów Stachiewicza, biust Stanisława Ankwicza dłuta Thorvaldsena, krakowskie makaty z aplikacjami z XVII wieku, stary kredens gdański, barokową szafę z chińskiej laki, olbrzymi zamek żelazny z dawnej furty zamkowej, arcydzieło renesansowego ślusarstwa, stół bilardowy z epoki stanisławowskiej, karabele, misiurki, starą porcelanę marek saskich, wiedeńskich i berlińskich i tak dalej. W bibliotece oglądałem pierwodruki dzieł Mikołaja Reya, listy królów Augusta II i Stanisława Augusta oraz korespondencję Henrietty Ewy Ankwiczówny, znanej z życiorysu Mickiewicza.

Zamieszkałem w pokoju gościnnym, spałem na puchowym łożu pod wielbłądzą pilśnią, przeglądałem się w antycznym zwierciadle oprawnym w srebro, które to zwierciadło służyło królowej rumuńskiej Marii, gdy z królem Ferdynandem mieszkała w Łazienkach. Za oknem zieleniały korony starych kasztanów czy też lip parkowych.

Wkrótce po przyjeździe do Przeclawia hrabia zawiózł mnie swym samochodem do miasteczka. Wysiedliśmy przed magistratem. Zjawił się sekretarz gminny i, jak na skinienie geniusza, otworzyły się przed nami

szafy i półki ze starodawnymi księgami i plikami akt najrozmaitszych. Co tylko było starego w magistracie, to unieśliśmy jako łup (wypożyczony) do zamku.

Rozpocząłem pracę. Na stoliku w moim pokoju piętrzyły się księgi wójtowsko-ławnicze i radzieckie od XVI do początku XIX wieku, oprawne w pergaminy, skórę lub deseczki, niektóre w formie „dudków” (*pagina fracta*), to jest wąskich, podłużnych książeczek, oraz wiązka fascykułów z ery już austriackiej. Materiał był niesłychanie bogaty, nie posiadałem się wprost z radości. Przypuszczam, że wyglądałem wtedy jak francuski chciwiec przeliczający pieniądze i klejnoty w znalezionym skarbie. Z ogrodu przez otwarte okno szedł upajający powiew kwitnących gałęzi, ziela i traw łąkowych, poprzez listowie przedzierało się drzącymi promieniami słońce, a ja z wypiekami na twarzy (towarzyszyły mi one podczas każdej odkrywczej emocji), nie usadowiwszy się nawet dobrze na miękkim krzeselku, jak gdyby każda minuta była droga, przerzucałem niecierpliwie karty ksiąg i bez wytchnienia notowałem każdy ciekawszy szczegół... Księgi przeclawskie były to przeważnie protokoły śledztw i przewodów sądowych, pozwalały więc o wiele dokładniej wejść w tok dawnego życia i obyczaju, niż księgi mieleckie czy rzochowskie zawierające przeważnie zapisy umów prawnych i testamentów. Bujne, krewkie życie małego miasteczka w XVII wieku skrzyło się przede mną diamentowo, błyskało demonicznymi ślepiami, rozwierało usta w sowizdrzalskim uśmiechu, grało na jarmarcznych piszczałkach, tłukło się szablami, paliło z muszkietów. Bójki, kradzieże, czary, cudzołóstwa – istny rejestr siedmiu grzechów głównych prezentowały mi te „dudki”; i karania srogie – tortury, szubienicę, miecz, kazamaty, hańbę „kuny”, wyświęcenie.

Gdy proszono mnie do pokoju stołowego, wstawałem zupełnie oszłomiony, jak ze snu. Obiady i kolacje odbywały się w atmosferze wytworności. Dzieci siedziały obok guwernantki („Taisez-vous, s’il vous plaît”), wąsaty kamerdyner z serwetą czuwał stojąc, uważny na każde skinienie pani czy pana domu. Po raz pierwszy znajdowałem się w środowisku arystokratycznym. Miałem lat dziewiętnaście, świata prawie że jeszcze nie oglądałem, nic dziwnego, że czułem się skrępowany i onieśmielony, zwłaszcza że mnie, smarkacza, posadzono na honorowym miejscu.

Po obiedzie wracałem do swoich ksiąg i dokumentów. Gdy wzrok zmęczył się nadto odczytywaniem dawnego pisma, szedłem do ogrodu zamkowego, skąpanego w zieleni i słońcu. I tutaj czyhała na mnie przeszłość. W ogrodzie znajdowały się ruiny ceglanej pseudogotyckiej altany (mania epoki Puław i Arkadii) i słup kamienny, resztką starej bramy wjazdowej, a przed zamkiem od frontu leżały odwieczne działa bez lawet, zabrane z zamku w Luszowicach między Radomyślem Wielkim a Dąbrową.

Tak upływały dni w Przeclawiu. Pewnego poranka kamerdyner, jak co dzień, przytoczył do mego łóżka stoliczek na kółkach ze srebrną tacą, na której stały dzbanuszki z kawą, śmietanką, chleb, bułki, etc. Gdy wyszedł (jak kot cicho), rozespany przysunąłem stoliczek do łóżka tak niefortunnie, że taca z całą swą kawowo-śmietankową zawartością wywróciła się na pościel. Katastrofa! Brunatna ciecz wsiąkła w pilśniowy cenny koc przykrywający kołdrę, poplamiała prześcieradło. Nie zachowałem się jak arystokrata w owej chwili – nie, nie nacisnąłem dzwonka i nie przywołałem lokaja, aby wszystko to sprzątnął. Wziął we mnie górę instynkt samoobrony dzikusa: zerwałem się momentalnie z łóżka, złapałem koc, prześcieradło i zacząłem wyżywać z nich kawę do porcelanowej miednicy na umywalni. A potem – zbrodnia po ciąga prawie zawsze za sobą drugą zbrodnię – popełniłem rzecz jeszcze gorszą: włożyłem mokre prześcieradło do łóżka i sam je sobie zastałem. Lokajowi nie śmiałem odtąd spojrzeć w oczy (możliwe zresztą, że w sferach dystyngowanych nie spogląda się w oczy „służbie”). Pościel nazajutrz miałem czystą. Myślę, że kamerdyner przebaczył mi ową wilgoć – niestety, tak dwuznaczną! – ale zaścielenie sobie łóżka własnymi rękami musiało mnie zgubić w jego oczach bez ratunku. Bez słowa przyjął napiwek, który mu wcisnąłem w łapę na wyjezdny; wiało od niego zimną pogardą.

W jesieni tegoż roku 1930 zapisałem się na Uniwersytet Jagielloński, na studium historyczne. Muszę wyznać, że ten pierwszy rok studiów w zakresie historii przyniósł mi rozczarowania, może dlatego, że nie mogłem jeszcze brać udziału w ćwiczeniach seminaryjnych pod kierunkiem profesora i że nie mogłem tym samym pisać już pracy samodzielnej. Przyszedłem na to studium zbyt „usamodzielniony” naukowo, jak

na studenta pierwszego roku, który uważany jest na ogół za nieociosanego jeszcze *beana*. Systematycznie „uczyć się”, to jest po prostu wkuwać na pamięć, nie umiałem nigdy, a jednak trzeba było pewne rzeczy przyswajać sobie mechanicznie. Odczytywanie tablic paleograficznych „Monumentów” w towarzystwie całej gromady dukających pilnie kolegów i koleżanek było dla mnie nieznośną nudą po tym, co przeżywałem czytając po raz pierwszy w archiwach kościelnych pergaminy i akta ważne dla mojej własnej samodzielnej pracy. Zawsze byłem okropnie zarozumiały i ta pycha z reguły prowadziła mnie do najdzikszego próżniactwa. Widząc, jak nawet mało zdolni koledzy wzorowo zdawali egzaminy historyczne, mówiłem sobie: „Skoro to każdy osioł potrafi, nie będę się wysilał”. Logika ta była przewrotna, ale wygodna.

Zniechęciłem się początkowo. Wykłady profesorów bardzo mało dawały początkującemu studentowi. Założenie ich zresztą było mylne. Były to syntezy, gotowe obrazy, ale mistrzowie nie wskazywali tajników całej sztuki, nie uczyli, jak się szuka chemicznych składników farby, jak się cieniuje, gdzie należy rzucić światło i tym podobne. Wiedzy na uniwersytecie nabywa się z reguły nie przez słuchanie profesorskich odczytów czy przemówień, ale przez wykradanie mistrzom metody ich pracy. Uniwersytet powinien uczyć metody badań naukowych, powinien wskazywać tylko drogę, kuchenne zakamarki, a nie rzeźbić iluminowaną fasadę nauki. Przy systemie obecnym traci się na uniwersytecie bezpożytecznie niesłychanie wiele cennego czasu.

Sam Kraków tchnął dziwnie upajającą atmosferą starowiecza. Magiczny, szmaragdowy pierścień plantów otaczał miasto, w którym każdy kamień miał historię stuleci. Nieraz, jak zaczarowany, krążyłem w promieniu plantów, na których kwitły białe lub płonęły jesiennym złotem kasztany. Wchodziłem w mroczne nawy kościołów, błąkałem się w kamiennych zaułkach. Wdrapywałem się stromymi schodami wśród krzyżujących się belek i wiązałem na ostatnie piętro wyższej wieży Mariackiego Kościoła, gdzie pod hełmem bije jej miedziane serce i skąd wydobywa się urwana pieśń hejnału. Obchodziłem, jak wartownik, krążanki strzelnicze Barbakanu. Przechodziłem wielokrotnie przez archaiczny plac między szkarpami Mariackiego turnu a zastygłym w surowej średniowieczynie Ogrójcem kościółka świętej Barbary,

ongis będącego cmentarną kostnicą. Przecinałem potem rynek i zgiełkliwe hale targowe Sukiennic, nie zapominając nigdy rzucić okiem na zardzewiały nóż bratobójcy, wiszący u wejścia. Mijałem samotną wieżę ratuszową o pastelowych ścianach z cegły i białego ciosu z czarno-złotą ogromną tarczą zegara. Na wartowni żołnierz odprawiał z precyzją swój paradny marsz szyldwacha. Za wieżą wyskakiwały ostre zarysy gotyckich dachów i gradusowych szczytów starej akademii. W którąkolwiek stronę szło się plantami, zawsze, po dłuższej lub krótszej chwili, wyrastał u ich kresu Wawel, olbrzymie majestatyczne widziadło. Otwierały się przede mną sale i komnaty z arrasami renesansowymi i ze stropem milczących głów ludzkich. Schodziłem w podziemia królewskich grobów i w loch rotundy świętych Feliksa i Adaukta, romańskiej kamiennej budowli, sięgającej ery Polski pogańskiej, a ocalałej szczęśliwie w ścianach późniejszego wieku. Ta rotunda była bodaj najgłębszym moim przeżyciem na Wawelu.

Wiele kościołów widziałem w Krakowie, ale żaden nie wywarł na mnie takiego wrażenia jak kościół Świętego Krzyża. Pamiętam pewne wiosenne południe, gdy błąkałem się po placu przed tym kościołem. Stał przede mną strzelistą czerwienią ten kościół, któremu zawdzięczam najdziwniejsze przeżycie, jedno z tych, które wiodą przemożnie w uludną wiarę metapsychozy: czysta cegła zaklęta w idealnie proste, symetryczne linie, potężne szkarpy, ciemne otwory strzelniczych wzierników, w które wlatywały ptaki. Gdzież to już było?... Gdzie widziałem ten właśnie kościół ze strzelniczymi wykuszami?... Płatała się i rwała i odradzała się na nowo w fosforycznym jakimś blasku, w jaśnowidzeniu nagłym, jak mgnienie oka, opowieść o świętokradztwie, o białych hostiach rozrzuconych pod kościelnymi oknami, o śmiertelnym osaczeniu... Kiedyż to było... ach, i te gotyckie trójokienne domy z kamiennymi szkarpami w uliczce Świętego Krzyża... ale wtedy, pamiętam? Czy marzę tylko?... wtedy leżało tu błoto zmierzwione słomą, psy i świny włóczyły się w bagnistych rozkopach, pod murem na gnoju siedział dziad w łachmanach i poruszał powietrze mosiężnym dzwonkiem... I znowu jest kościół, i znowu ja tu jestem i tęsknię za tamtą straszną chwilą, co na wieki oderwała się ode mnie i zatonała w czasie, i chciałbym płakać z żalu!

W październiku 1931 roku przyjechałem wraz z całą rodziną do Lwowa i zapisałem się na uniwersytet, postanawiając kontynuować studia historyczne. Zacząłem uczęszczać na wykłady, ale chęć zachowania niezależności była we mnie tak silna, że jeszcze przez cały rok akademicki nie zapisałem się na żadne seminarium (jedynie w ciągu pierwszego trymestru uczęszczałem na proseminarium filologii romańskiej u prof. Czernego<sup>54</sup>) i chodziłem samopas, jak kiplingowski kot, co chadzał zawsze własnymi ścieżkami.

Najwięcej pociągały mnie wykłady prof. Stanisława Zakrzewskiego<sup>55</sup> z dziejów Polski i historiografii polskiej (o pierwszych rocznikach i kronikach w Polsce). Wykłady jego odbywały się w atmosferze wysokiego napięcia słuchaczy i żywej pracy myśli profesora, który mówił bez żadnych skryptów i nieraz w trakcie wykładu formułował nagle odkrywcze myśli. Mówił stylem jędrnym, ognistym, zapalnym jak proch, stale podtrzymywał kontakt myślowy ze swoim audytorium. Pamiętam jeden z pierwszych wykładów Zakrzewskiego, na którym byłem. Profesor mówił, jak to powstawały pierwsze roczniki na kanwie tablic kalendarzowych lub klasztornych „libri mortuorum”. Mówiąc o księdze umarłych, zapytał o coś którąś ze studentek, a gdy odpowiedziała, zagadnął półzartem.

– A gdybym ja umarł, to wspomniałaby pani czasem starego profesora?...

Potem znów analizował dla przykładu treść jednego z roczników polskiego wczesnego średniowiecza. „Mamy w tym roczniku na przykład zapiskę, że NN przyjął święcenia kapłańskie. A ta zapiska następuje po innych, w których są zapisane zgoni dobrodziejów klasztoru, zapisy ich na rzecz konwentu, ważniejsze wydarzenia polityczne i tak dalej.

<sup>54</sup> Zygmunt Czerny (1888–1975) – polski romanista, studiował na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, a następnie w Paryżu, Grenoble i Genewie. Wykładał na Uniwersytecie Jana Kazimierza. Po wybuchu drugiej wojny światowej był prorektorem tajnego uniwersytetu działającego we Lwowie. Po wojnie związany z uniwersytetami w Toruniu, Poznaniu i Krakowie.

<sup>55</sup> Stanisław Zakrzewski (1873–1936) – historyk średniowiecza, profesor na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, członek Polskiego Towarzystwa Historycznego, Towarzystwa Naukowego we Lwowie oraz Polskiej Akademii Umiejętności. W latach 1928–1935 był senatorem z ramienia BBWR.

Czego to dowodzi? Kto powie?” Tu profesor urwał i popatrzył na nas czekając. Odezwałem się nieśmiało:

– Dowodzi tego, że ów świeżo wyświęcony kapłan był autorem zapisek rocznika.

– Jak się pan nazywa? – rzucił szybko Zakrzewski.

Wymieniłem nazwisko.

Profesor powiódł roziskrzonym wzrokiem po sali.

– Tak. Ale nie „był”, tylko „mógł być”. To jest tylko domysł. Odpowiedź jest jednak trafna.

Umysł profesora pracował nieustannie i nas zmuszał on ciągłą kontrolą do intensywnego myślenia. Zakrzewski zasadniczo był badaczem dziejów średniowiecznych i z tego zakresu napisał swoje najważniejsze prace, na przykład o Geografii Bawarskiej, o czeskim charakterze Krakowa w świetle krytyki źródeł, o źródłach podań wiślicko-tynieckich, o Mieszku I, o Bolesławie Chrobrym, o Bolesławie Szczodrym i tak dalej. Metoda badawcza mediewisty wobec ubóstwa źródeł polegała na niezwykle ostrożnej i uważnej analizie każdego tekstu, na wykorzystaniu każdej wzmianki, każdego niemal słowa. Słowa miały w średniowieczu większą wartość niż dzisiaj. Ośła czy cielęca skóra, na której je wypisywano, była droga i dla oszczędności trzeba było wyrazy skracać całym systemem skrótów, przepisywanie zaś kosztowało wiele trudu ludzkiej ręki i oczu. Dlatego w tekście średniowiecznej kroniki właściwie słów zbędnych nie ma – każde z nich ma tu swoją wartość. Nowożytnik zaś, rozporządzając bogatym zasobem źródeł, nieraz zlekceważył to i owo wyrażenie czy nawet całe źródło, lub, badając je powierzchownie, często błędne wnioski z niego wyciągnie. Zakrzewski mawiał, że mediewista, który zabierze się do opracowania zagadnienia z historii nowożytnej, osiąga zwykle lepsze wyniki niż fachowiec-nowożytnik, właśnie dzięki nawykowi do metody badań tak dokładnej i ścisłej, jak analiza chemiczna czy anatomiczna sekcja.

Stanisław Zakrzewski\* objął katedrę lwowską po profesorze Tadeuszu Wojciechowskim, wielkim historyku, który był mistrzem

\* Był uczniem krakowskiego uniwersytetu i prof. Wincentego Zakrzewskiego, autora znanych podręczników, z którym zresztą nie łączyło go żadne pokrewieństwo.



kryminologii historycznej. Jeśli synteza dziejowa niejednokrotnie przypomina sąd nad winowajcami epoki, to analiza jest odpowiednikiem śledztwa wykrywającego winnych. Śledztwo historyczne przypomina też nieraz metody detektywów z Conan Doyle'a i w rezultacie daje często efektowne niespodzianki. Wojciechowski z genialną intuicją i precyzją ze skąpej w słowa, ostrożnej zapiski Galla Anonima zrekonstruował proces polityczny sprzed lat 900, zakończony straceniem biskupa krakowskiego Stanisława na szafocie. *Szkice historyczne jedenastego wieku* Wojciechowskiego<sup>56</sup> są niewątpliwie jednym z największych triumfów mediewistyki polskiej.

Stanisław Zakrzewski szedł w ślady swego poprzednika, z nierównanym mistrzostwem tropiąc ślady wielkiej przestępczyni – Historii. Pasja rozwiązywania zagadek często sprowadzała go ze szlaku wielkich tematów historiograficznych w kręte labirynty rodowo-osobowych poszukiwań, w alkowy i sekretne gabinety, w kuchni i laboratoria wydarzeń.

Mieliśmy na przykład jako zasadniczą kanwę ćwiczeń seminaryjnych temat taki: „Wschód i Zachód. Na marginesie wielkich bitew świata: Nikopolis, Worskla, Grunwald, bitwa nad rzeką Świętą”. Chronologicznie temat ten obejmował wprawdzie okres tylko półwieczny, od roku 1397 do 1434, dawał jednak pole do wielkich koncepcji historiograficznych. Ale już na samym wstępie oko profesora padło na grupę kilkunastu rycerzy polskich, którzy walczyli w roku 1397 z Turkami pod Nikopolis za Dunajem. Kazał więc nam zebrać wszelkie możliwe wiadomości źródłowe o tych rycerzach. Potem, ponieważ udało mi się zebrać tych wiadomości najwięcej, profesor mi powierzył dalszą kwerendę w tej sprawie. Wśród owych rycerzy najbardziej zainteresowała go postać Tomka Kalskiego, późniejszego kasztelana. Okazało się bowiem, że Kalski związany był w pewien sposób z Gniewoszem z Dalewic. Znowuż Gniewosz znany jest jako oszczerca królowej Jadwigi, który, pod ławą odszczekiwać, miał swoje zarzuty uwłaczające czci królowej... I tak dotarliśmy do dworu królowej Jadwigi. Daleko za nami pozostały piszczele nikopolitańskiego pobojuwiska, dzikie pola dorzecza Wołgi i zielone łąki

---

<sup>56</sup> Tadeusz Wojciechowski, *Szkice historyczne jedenastego wieku*, Kraków 1904.

pogranicza Prus Krzyżackich... A kiedy już poruszyliśmy sekrety dworu Jadwigi, trzeba było zasięgnąć informacji, co mógł o nich wiedzieć Długosz i co go łączyło z ludźmi, którzy żyli o całe pokolenie wcześniej.

I tak otwierały się przed nami coraz to inne korytarze labiryntu. Nie raz korytarz kończył się ślepym murem i trzeba było wracać do punktu wyjścia bez żadnego wyniku, ale każda wędrówka uczyła nas szukać, wiązać, rozróżniać i odkrywać, wprowadzała w tajniki dziejowej daktyloskopii. Wtedy sarkaliśmy na to przerzucanie się z przedmiotu na przedmiot i widzieliśmy w tym błąd naszego mistrza. Dzisiaj jednak widzę, że właśnie w ten sposób dawał nam Zakrzewski najlepszą szkołę metody badań historycznych, której nie zastąpiłyby żadne wykłady czy akademickie dyskusje teoretyczne.

Ostatni raz widziałem profesora przez uchylone drzwi jego gabinetu: odwrócony plecami, trzymając ręce w kieszeniach spodni, stał przed oknem zapatrzony gdzieś w przestrzeń, na ogród jezuicki lub Wzgórze Świętojurskie. Serce ścisnęło mi się dziwnym żalem. Może ten barczysty człowiek, liczący niewiele ponad sześćdziesiątkę, w tej jednej chwili zadumy poczuł się stary? Profesor posiadał niezmiernie silną żywotność ciała i umysłu, jakąś dziwną młodzięczość, mimo srebrzącej się już bujnej czupryny. Kiedy uczeń chciał go wyręczyć, na przykład w wydostaniu jakiejś książki z wyższych półek szafy bibliotecznej, profesor, stojąc na krześle, burczał:

– Nie jestem jeszcze stary!

I miał słuszość. Nigdy, do końca życia, nie był stary.

W kilka miesięcy później, w drugiej połowie marca, bawiłem w Wilnie. W poniedziałek 18 marca w Archiwum Akt Dawnych miasta Wilna profesor Adamus<sup>57</sup>, rozmawiając ze mną, wspominał o profesorze Zakrzewskim jako o zmarłym. Osłupiałem. Co, Zakrzewski nie żyje?!

„Myślałem, że pan wie o tym. Zmarł w piątek.” Wróciwszy do domu, w którym mieszkałem, zastałem na biurku telegram: „Profesor Zakrzewski umarł”. I data pogrzebu. Stałem długo jak porażony, patrząc

<sup>57</sup> Jan Adamus (1896–1962) – historiograf, historyk państwa i prawa, do 1933 r. związany z Uniwersytetem Jana Kazimierza, następnie kierował Archiwum w Wilnie i wykładał na wileńskim uniwersytecie. Po wojnie był profesorem Uniwersytetu Łódzkiego.

w telegram. Nie mieściło mi się w głowie, aby profesor mój mógł już nie żyć. I żał dławił mnie, że rozstałem się z nim w atmosferze goryczy. Muszę wyznać, że wieść ta wstrząsnęła mną do głębi, ale równocześnie – uczułem się wolny!

Na święta wielkanocne przyjechałem do Lwowa. Zaszedłem na uniwersytet. Idąc schodami i korytarzem ku seminarium historii Polski, odczułem znowu trwożny ucisk i serce bić mi zaczęło – jak zawsze, jak w czasach, gdy profesor żył. Drzwi jego gabinetu od sali posiedzeń były otwarte. Błękitne i siwe pasemka dymu przepływały w powietrzu i roz-wiewały się w nicość! Zdawało mi się, że za chwilę usłyszę szorstki głos profesora. Nie mogłem wyobrazić sobie, że nie ma go i że nigdy go już nie zobaczę. Musiałem użyć całej siły woli, aby uzmysłwić sobie jego śmierć: potężne ciało martwe, genialny mózg nieczynny, oczy na wieki zagasłe, a nad nimi ciężkie wieko trumny i ziemia łyżczakowskiego cmentarza. Opowiadano mi o tym, jak umarł. Przyczyną zgonu był skrzep krwi, który dostał się do serca. W wigilię śmierci profesor zasnął nagle w windzie uniwersyteckiej. Ratował go asystent. Przewieziony do domu uczuł się lepiej, żartował z rodziną. Na noc kazał sobie wstawić łóżko do swego gabinetu, będącego zarazem biblioteką. W nocy usłyszano krótki jęk. Kiedy domownicy weszli do pokoju – uczony już nie żył.

...Dym papierosowy snuł się po uniwersyteckim gabinecie profesora. Widziałem go znów, jak stoi przed oknem zadumany nad czymś. Czułem, że fluid tej potężnej postaci krąży jeszcze po pokoju, w którym tyle energii wypromieniowało z jej mózgu. I fluid ten kiedyś zniknie, rozproszy się, może wcieli się w płód nowego życia, może stanie się iskrą czyjegoś natchnienia... Ale, jeśli dusza nie ma kształtów nieśmiertelnych, to myśl genialna na pewno żyje wiecznie. I w tym sensie wierzę, że mój profesor nie umarł i nie umrze nigdy.

### **Musa Kazim**

Stanowisko lektora języka tureckiego w Instytucie Wschodnim zajmował Musa Kazim. Ten otyły, rosły mężczyzna około czterdziestki o uderzającej lewentyńskiej fizjonomii pochodził ze Stambułu. Miał lwią, śniadą twarz, zawsze starannie wygoloną i przysypaną pudrem, bystre oczy pod gęstymi, czarnymi brwiami, grube wargi i krucze, lśniące

pomadą włosy, które faliście opadały mu na kark potężny i mięsisty; na rękę bransoletki. Mówiono mi, że gdy obudziwszy się rano przystępował do zwierciadła, to twarz jego bez szminki, pudru i masażu przypominała rozklejone ciasto. Gdyby Musa owinął włosy jedwabną, pąsową chustą, a w uszy wpiął złote kolczyki, byłby zeń idealny pirat śródziemnomorski z epoki Chajreddina Barbarossy. Musa Kazim wykladał w żargonie polsko-francuskim. Głos miał dźwięczny, potężny; uczył znakomicie.

Postać lektora dziwnie mnie zajmowała. Być może w nim samym i jego życiu nie było żadnej tajemnicy. Ot, Turek wykształcony i wypolerowany po europejsku, emigrant polityczny ze swego kraju. Ale w atmosferze, którą mimowiednie niósł ze sobą, taίło się wiekowe dziedzictwo wiatrów śródziemnomorskich, greckich ogni, różanych olejków, haremów, słodczy pistacjowych i wszystkich skarbów korsarskiego imperium. Wydawało mi się, że w przeszłości lektora muszą istnieć ciemne zaułki, pnące się schodami pod niebo, drewniane kraty okienne starych domów, ponure łoża z firankami przepuszczającymi zarys kobiecego ciała, zagadkowe ucieczki przez Bosfor na greckich parowcach... A nawet, rzecz dziwna, budziło się we mnie uczucie litości i żalu. Wyobrażałem sobie jego pokój warszawski, przepojony zapewne zapachem kosmetycznych specyfików, może ciemny, posepny, z oknem na podwórze... i nostalgiczną samotność cudzoziemca, która tak często staje się udziałem natur żyjących przeważnie zmysłami. Ale były to fantazje, potrącenia uczuciowe zrodzone z mojej własnej tęsknoty za egzotyką. Z Musą Kazimem zamieniałem zwykle banalne zdanie – i nic właściwie o nim nie wiedziałem.

### **21 lutego 1939**

Koncert w konserwatorium. Wykonawcy – Niemcy z Monachium: Udo Dammert (fortepian), Elisabeth Bischoff (skrzypce) i P. Sattner (walcornia – typ niemieckiego Musikusa, rumiany, pyzaty, siwy staruszek). Program: Beethoven – „Sonata F”; L. Spohr „Duo E” (op. 112) – w tym uroczę *larghetto*; F. Schubert – dwa „Impromptus” – cudowne Impromptu B (z op. 142) oraz Impromptu F (z op. 142); Bhrams – „Trio” Es (op. 35). Dwie godziny dobrej muzyki. Dawałem się porwać muzyce (trudno, nie rozumiem muzyki, ale płynę z nią), myślałem, marzyłem o napisaniu

czegoś, co by wydobyło na jaw z barłogu słomianego dawnej Polski jej czar muzyczny, jej patos tragiczny i jej słodycz (Chopin – motywy kołęd). Przypomniałem sobie starą broszurę satyryczno-paszkwilancką z XVII wieku, w której odmalowano typ opoja z krakowskiego bruku: jak to ze snopkiem słomy lub kądzielią w ręku, niby z berłem jakim błazeńskim, włóczy się od karczmy do karczmy. Przypomniałem sobie malowidło Chełmońskiego: popas przed karczmą. I wiersze Słowackiego o rubasznym czerepie szlachcica: „Na Termopilach [...] / Bez czerwonego leży trup kontusza”. Berenta Diogenes szlachecki symbolicznie wylegujący się w barłogach, w mierzwie słomianej, po karczmach. Dla mnie zawsze jest cudem ta przemiana: owych opojów saskich, rubaszných, głupich, cuchnących dziegciem i piwem, w tragicznych ludzi nocy listopadowej, manifestacji warszawskich, ludzi grottgerowskich. Pod mierzwą musiała się ukrywać wrażliwość, przez wieki przetrwały nietknięte złoża psychiczne i umysłowe. Przyszli ludzie obcej krwi i wydobyli je na wierzch: Chopin, Grottger, Matejko – najbardziej polscy, będący niemal samą Polską – stworzyli nową Polskę (w artystycznym, wrażliwym odkryciu jej strun nie wygranych przed tym, jej obrazów przed tym nie wymalowanych), a sami byli emanacją Polski, jej psychicznej atmosfery. Weszli w zaczarowany krąg odrębności polskiej i nie wyzwolili się zeń więcej. Sens Polski nie jest i nie może być materialistyczny: wierzę głęboko, że jest to potężna treść duchowa (humanitaryzm w najlepszym znaczeniu, wolność człowieka). Straszny wstrząs Żeromskiego i wielu z nas w *Przedwiośniu*: Polska – i mundur policjanta. O Polsce można „myśleć” tylko muzyką: polonezem Ogińskiego, mazurkami Chopina. Nasze sceny historyczne są pełne patosu, ale prawie nigdy nie krwawe, nie rude od ognia, lecz zasnutę mgłą jesienną, pocięte strunami srebrnymi deszczu, tak, jak gdyby narody pozowały w obliczu Losu. Myśmy tworzyli sceny listopadowe, lubimy wielkie, puste pokoje pałacowe o zmroku i samotników zadumanych, marszczących brwi. Mieliśmy Stańczyka tragicznego. Potem odepchnięty pyszny lew samotny – margrabia Wielopolski. Samotnik Piłsudski. Grottger rysował dramatyczne wizje, a potem życie swoje do tych wizji dostroił, bo ich treść, jeśli nie zawsze wierna historycznie, duchowo była prawdziwie nasza.

Oto, dokąd dochodzi się słuchając – Schuberta.

**20 sierpnia 1939**

Ślub mój z Irką w Kolegiacie łowickiej.

**29 sierpnia 1939**

Teatr jest rozrywką pasywisty. Włosi grają i lubią oglądać grę, są zbyt leniwi, aby mogli przekładać samo życie nad teatr. Murzyni z Penegalu też samo. Polacy zawsze mieli w pogardzie aktorstwo. *Tragediante-comediante*. Lubili przepych samego życia, nie znosili gry. Dwór królewski Sobieskiego skromnością zadziwił cudzoziemców. Monarchia u nas nie jest popularna może i dlatego, że zawsze patrzemy na królów i princessy jak na figury z teatru. Zgrywanie się budzi niesmak. Przeżywamy wybuchowo, nie cierpimy przeżyć nieszczerých. Patos w stylu włoskim dobry dla Włochów (Mussolini). Nasza historia nie olśniewa taką grą ogni sztucznych, malowniczością dekoracji, różnorodnością masek, jak dzieje Europy romańskiej czy germańskiej...

**1 września 1939**

Wybuch wojny polsko-niemieckiej.

\* \* \*

Taniec jest wyzwoleniem instynktu, jest ruchem ujętym w wiązadła rytmu. Inny jest mus wewnętrzny, porządkujący, rytmu, inny przymus zewnętrzny, niszczący i dezorganizujący – gwałtu. Taniec ma zawsze mus wewnętrzny rytmu, nie znosi nacisku zewnętrznego. Taniec = instynkt wolności.

U nas w rytm tańca działa się wszystko. Nasz hymn narodowy ma rytm taneczny mazurka. Nosi też w literaturze nazwę *Mazurka Dąbrowskiego*. Nasze kolędy są to polonezy, mazurki, krakowiaki. Władysław IV tańczył poloneza na nutę kolędy *W źłobie leży*. Majestatycznym polonezem jest osiemnastowieczna kolęda *Bóg się rodzi*.

Norwid z ironią pisał w jednym ze swych listów, że nawet „to, co Polacy nazywają liryką jest zawsze mazurkiem”, że „oni by radzi lirykę Ezechiela na nutę «3 maja» podrygać w butach palonych – ram tam tam! ram tam tam!” (*Listy*, II, 103). I kilkakrotnie powtarza, że „to, co Polacy

zwą liryką, jest siekanką i mazurkiem” (*Listy*, II, 99)<sup>58</sup>. Polonezem kończy się mickiewiczowska epepeja.

Sztuką narodową, oryginalną Polaków, jest taniec, elementem dominującym w polskim życiu – ruch, którego wyrazem jest taniec, koń, wojna ruchowa, kulig, prowizorium.

Polska architektura to barok. Zobaczcie sklepienia kościoła świętego Piotra na wileńskim Antokolu, spójrzcie na to kłębowisko wzlatujących, uskrzydłonych ruchem postaci ludzkich i zwierzęcych, a zrozumiecie, dlaczego barok, sztuka gorącego południa (hiszpańskie *barroco* = rodzaj perły) tak bardzo przypadł do polskiego gustu ze swym egzotyzysem i dynamiką.

Polski teatr narodowy – to jasełka, szopkowy teatr marionetek, w którym przewijają się w nieustannym ruchu i tańcu drewniane figurynki. Gdy Słowackiemu zabłysła myśl napisania polskiego dramatu narodowego, stworzył ze wspomnień dziecinnych *Złotą Czaszkę*, nadając jej w wielu scenach rytm i styl dialogów szopkowych, bo, jak się sam przyznaje w liście do matki, źródłem pierwszych natchnień dramatycznych był dlań „wertep” (z ruska – jasełka), oglądany w dzieciństwie w Krzemieńcu. Wyspiański świadomie ujął dramat polskiej rzeczywistości w formę jasełkowego przedstawienia, zamykając go akordem tańca-czasu, tańca-śnienia, któremu przygrywa na badyłach słomiany Chochoł – potencjalny entuzjazm: „Tańczuj, tańczy szopka cała!”

Malarstwo polskie to batalistyczne wizje Matejki czy Brandta, kipiące energią w masach stłoczonych ludzi i koni; to wspaniałe rysunki koni Chełmońskiego czy Kossaka.

Strategia polska – dalekie zagony kawaleryjskie, umiłowanie wojny ruchowej, wiara w kawalerię (ataki brawurowe jazdy na czołgi).

Polskie życie publiczne – to kulig. „Oto jest kulig Polaka!” – Słowacki w wierszu patriotycznym z czasów rewolucji 1830/31 roku.

Za Samozwańców Polska szła z tańcem i maskami zapustnymi na Moskwę. Życie jej według Francuza Rulhière’a<sup>59</sup> przypominało w cza-

<sup>58</sup> Cyprian Kamil Norwid, *Listy*, cz. 1 i 2, wydał Zenon Przesmycki, Warszawa 1937.

<sup>59</sup> Claude-Carloman de Rulhière (1734–1791) – francuski poeta, dyplomata i historyk, autor *Histoire de l’anarchie de Pologne et du démembrement de cette République: suivie des anecdotes sur la révolution de Russie* (Paris 1807), dzieła poświę-

sach saskich jakiś wielki nieustanny jarmark, pełen beztroski, wesela i ruchu.

Był to ruch znamionujący życie, lecz nie wyrażający świadomości, jaki jest cel życia. Popędzały tych ludzi liche rytmy księdza Baki, barokowy lęk przed grobem, chęć wyżycia się za wszelką cenę, osobliwy polski szal bachiczny, kontuszowy *danse macabre*.

Był to ślepy dynamizm, nie przemieniony w aktywność. *Actio* = czynność, działanie. Czyn zaś to ruch, któremu nadano cel i kierunek.

Wieczna tymczasowość, wojażowanie od sąsiada do sąsiada, z jarmarku na jarmark, głód egzotyizmu, rozplodzenie się włóczykijów, cygaństwa, pielgrzymek do Jasnych Gór, Poczajowów i Rzymów, zajazdy i bałagulstwo.

Wszędzie szopy, prowizoria. Elekcje królów w szopie, zebrania w szopie, teatry po szopach i zajazdach. Mierzwa na drogach, suche źdźbła pędzone wiatrem, słomiane strzechy, słomiane barłogi po karczmach, na których rechotał rozpustnie polski diabeł w kontuszu i przy karabeli. Słomianym powróśłem owijali sobie ramiona żołnierze polscy pod Wiedniem, aby ich Niemcy nie brali za jedno z Turkami (tak podobne były stroje obu narodów) – słomianym powróśłem omotany krzak róży polnej na czas śnieżyc i burz uczynił Wyspiański demonem polskiego życia.

Szopy elekcyjne – polskie mosty, ileż wszędzie tymczasowości! (sejmiki po kościołach i klasztorach).

Poczucie wolności = poczucie swobody ruchu. W niewoli kiśnieje dynamiczny duch polski. Nie wiecznym rewolucjonistą, ale wiecznym tanecznikiem-wodzirejem jest Polak. Rewolucja – przewrót to czyn, to stwarzanie faktów nowych, nowego życia. Polak wyzwolony nie przewraca istniejącego porządku, lecz tylko przywraca formy sobie właściwe i ulubione. Ślepy dynamizm zaczął stawać się czynem, gdy wyszli ludzie z Kołłątajowskiej Kuźnicy, z Kościuszkowskiej insurekcji.

Dynamizm to ruch, aktywność to praca, dlatego Norwid wołał o pracę w twórczości polskiej. Ma Norwid rację, gdy twierdzi, że Polacy wygrywali bitwy, ale walczyć nie umieli.



Jesteśmy narodem bitewnym i bitnym, ale nie wojennym. Nasze rewolucje kończą się bezkrwawo. Wydaliśmy wielu znakomitych partyzantów i zagończyków, ale mało wielkich wodzów.

Nawet Sobieski wygrywał bitwy genialnie, ale nie umiał prowadzić zwycięskich wojen (przykład: bitwa pod Wiedniem i kampania węgiersko-wołoska roku 1683/4).

Ekspansywność niemiecka jest zorganizowana z góry i przemyśliwana, obliczona, systematyczna. Ekspansywność polska – odruchowa, popędowa, ku przestrzeniom stepowym, aby się wyhulać do woli bez kontusza, szaleć i pić na umór, dla zagłuszenia rzewnej nuty żalu, skarżącego się wieczycie w polskiej duszy (patrz Chopina „Etiuda E-Dur” i motyw kolędy *Lulajże Jezuniu* w „Scherzo H-Mol”). Niemcy zamykali się w kamiennych okręgach miast, w kwadratach porządnie zabudowanych murowanych domów. Polacy kuligami na słomą wybarłożonych saniach przy dzwoneczkowej muzyce koni i błazeńskich kapturów mknęli w stopy, popasając tu i ówdzie pod słomianymi strzechami. Prawo niemieckie wystawiło sobie pomnik w „Zwierciadle Saskim”<sup>60</sup>. Prawo polskie – w ziemiańsko-szlacheckich sejmowych konstytucjach.

W dynamizmie polskim drzemie jednak potencjalnie piorunująca moc aktywizmu. Z niedoceny tego polskiego potencjału psychicznego płynął pesymizm kierunku politycznego zwanego obozem Stańczyków (tragiczna zaduma Matejkowskiego Stańczyka-błazna nad losami Polski) i kierunku historiograficznego zwanego szkołą krakowską (Szujski, Bobrzyński, Kalinka). Kierunek ten otwiera się już gorzkimi apostrofami poetyckimi Słowackiego o duszy anielskiej uwięzionej w czerepie rubasznym szlachcica i listem Zygmunta Krasińskiego do ojca z Florencji z 26 stycznia 1836 roku, w którym pisał on: „Czyśmy mieli kiedy co polskiego na świecie prócz rubaszości? U nas było ogromne nic. Nie cnota, nie niegodziwość, ale *mezzo termino* błazeństwa. Ni sroga tragedia, ni idylla niewinna, ale *mezzo termino* farsa. I tak leżąc na kożuchu, pijąc małmazję i piwo, trefnując dziwnie krotofilnie, zesłaliśmy do grobu”.

---

<sup>60</sup> Zwierciadło Saskie – spis prawa zwyczajowego z terenu Saksonii (XIII w.).

\* \* \*

[...] z krakowiaka  
Zróbcie mi jakie posępne notturno,  
Z notturna zróbcie coś alla polacca...  
(Słowacki, *Beniowski*, Pieśń X)

\* \* \*

Norwid: „Naród się składa nie tylko z ducha, który się różni z innymi, ale i z tego, co łączy” (*Listy*, I, 480)<sup>61</sup>. „Historia nie tylko jest wiadomością, ale i siłą nawet” (*Listy*, I, 266). „Narodowość nie jest wyłączność, ale jest to siła przywłaszczania sobie tego wszystkiego, co do postępowego rozwinięcia żywiołów własnych potrzebne i konieczne jest” (przeciw purytanizmowi). „Margrabia W.[ielopolski] – pisze Norwid w jednym ze swych listów z roku 1863 – pojął Polskę jak człowiek umiejący geografię, to jest nie zakrywający sobie oczu, że my, czy zwycięzcy czy pobici, będziemy graniczyć z narodem moskiewskim” (*Listy*, I, 441).

\* \* \*

Narodowość polska miała ową siłę atrakcyjną i przyciągającą, umiała przetrwać pierwiastki obcych kultur dla rozwinięcia pierwiastków własnych. Ale Norwid słusznie podkreśla w jednym z listów swoich, że my jesteśmy narodem, ale społeczeństwem żadnym.

\* \* \*

„Ileokroć gram Chopina, doznaję wrażenia, jakobym opłakiwał grzechy, których nigdy nie popełniłem, i odczuwał mękę tragedii, których nigdy nie przeżyłem. Zdaje mi się, że muzyka zawsze tak działa” (Wilde, *Dialogi o sztuce*)<sup>62</sup>.

\* \* \*

„Od czasu, gdy rozpowszechnił się druk [...], literatura coraz więcej stara się działać na oko, a coraz mniej na słuch, gdy z punktu widzenia

---

<sup>61</sup> Cyprian Kamil Norwid, *Listy*, cz. 1 i 2, wydał Zenon Przesmycki, Warszawa 1937.

<sup>62</sup> Oskar Wilde, *Dialogi o sztuce*, przeł. Maria Feldmanowa, Warszawa 1923.

czystej sztuki, słuch jest przecież owym zmysłem, któremu ona winna się poddać i do zasad jego stosować [...]. My bowiem zrobiliśmy z pisanie pewien stały rodzaj kompozycji i uważamy je niejako za sposób opracowania pomysłu. Grecy natomiast traktowali pisanie jako rodzaj zapisków. Probierzem było dla nich zawsze słowo mówione, ze swą muzykalnością i rytmem. Głos był pośrednikiem, słuch – krytykiem” (Wilde, *Dialogi o sztuce*).

Wilde przemilcza – biorąc pod uwagę jedynie formę – że nastąpiła przemiana o wiele głębsza: z liryki i eposu muzycznego, w którym opiewało się w mile dla ucha brzmiącej formie najprymitywniejsze uczucia i wrażenia, przemieniła się literatura w twórczość przede wszystkim myślową.

Druk jest dzieckiem idei ludowej. Zrodziła go chęć propagowania Słowa Bożego wśród ludu. Powstał z potrzeb ludowych, w tej samej atmosferze, co drzeworyty Dürera, ilustrujące Biblię dla prostaczków (Biblia Pauperum).

Druk – z drzeworytu, to jest ze sztuki kramarskiej, rewolucyjnej, pogardzanej, z książek tanich, odbijanych. Druk w stosunku do książek przepisywanych ręcznie był tym, czym na przykład stała się mechanizacja tkactwa w stosunku do samodziałów ludowych.

Druk zwulgaryzował literaturę i oświecił masy. Obecnie radio wulgaryzuje muzykę, udostępniając ją wszystkim.

\* \* \*

„Historia wytworzyła nas: – marzyć o uniezależnieniu się od historii jest to marzyć o samounicestwieniu, o rozplynięciu się w eterze feerii i baśni. [...] Gdy usiłujemy wyzwolić się od historii, padamy ofiarą historii niezrozumianej.” (Stan[isław] Brzozowski, *Legenda Młodej Polski*)<sup>63</sup>.

\* \* \*

Przyszłość nasza leży w zrozumieniu roli warstwy chłopskiej w życiu i strukturze narodu. Psychicznie Polska zawsze była wiejska, niegdyś była wiejsko-szlachecka, w przyszłości będzie wiejsko-chłopska. Zło

<sup>63</sup> Stanisław Brzozowski, *Legenda Młodej Polski. Studia o strukturze duszy kulturalnej*, Lwów 1910.

współczesnej rzeczywistości tkwi w fakcie, że tamta Polska zamarła, ale siłą nawyku nie dopuszczała nowej Polski, chłopskiej, do głosu. Duch Polski chroniczny, krajobraz ten sam, wierzbowy.

Typy ze szlachty zaściankowej, mazowieckiej czy wileńskiej, psychopatyczne: chorobliwa ambicja, śmieszne pretensje, napuszone oracje, nieustanne krygowanie się przed obcym, pogarda dla „chamów”, brak życiowego realizmu. Ludzie wykolejeni. Są niby czymś (według tradycyjnych wzorów), a faktycznie są niczym. Pamiętam takich płowych wąsaczy zaściankowych, przychodzących do archiwum w sprawie akt potrzebnych do procesów o grunta, ich pełen godności i pretensjonalności sposób wyrażania się („tak się będzie lepiej numerowało” = składało, i tym podobne). Wykolejenie społeczne tej szlachty zagrodowej. Uderzające jest, że ostatni rząd Polski przedwojennej zaczął popierać ruch szlachty zagrodowej, zaczął organizować kompanie szlacheckie w wojsku, wygrywać śmieszne pretensje herbowo-szlacheckie, słowem – zaczął faworyzować zanikającą szlachetczyzną, zamiast oprzeć się na budującej się do życia, potężnej, wielomilionowej masie chłopskiej.

W epoce potęgi polskiej, przy całym systemie poddańczym, istniała jednak piechota chłopska, wybraniecka, obok szlacheckiej kawalerii, i na równi z nią wywalczała świetne zwycięstwa.

W owej epoce świat szlachecki uznawał te same autorytety, które podtrzymywały tradycyjny krąg wierzeń wśród chłopów. Nie tylko chłop, ale i szlachcic – jak zaświadczają kościelne metryki chrztów – prosił na kuma chrzestnego wędrownego dziada-żebraka. Te same zwyczaje obrzędowe, ta sama szkołka parafialna, ten sam kościół, te same kolędy i żale, ta sama muzyka wysnuta z nuty wiejskiej, ludowej. Świat szlachecki rozpadł się, gdy nastąpiła wielka przemiana ekonomiczna: uwolnienie chłopów od pańszczyzny i industrializacja. Część szlachty zamieniła się na klasę urzędniczo-miejską, część uległa pauperyzacji (szlachta zaściankowa), schodząc ekonomicznie do poziomu chłopskiego, ale zachowując stanowe przywileje, zniesione dopiero w Polsce odrodzonej. Natomiast chłopci pozostali sobą, żyjąc nadal w tym samym kręgu jak przed setkami lat. Przemiany wewnętrzne zaczęły się po uwłaszczeniu i odbywały się niesłychanie powoli. Proces odnowy psychicznej polskiego chłopstwa jeszcze nie jest ukończony.

Narodowości polskiej uderzającą cechą jest jej wiejskość. Jej kultura jest nie szlachecka, ani chłopska, ale wiejska, w przeciwstawieniu do kultury zachodniej – miejskiej. Ale w strukturze społecznej po okresie preponderancji szlacheckiej – szlacheccyzna jest luzowana przez chłopskość. Krzyżują się obecnie dwa prądy: tradycyjny, grawitujący ku „pańskości” i „szlacheckości” (przerabianie nazwisk prostych na nazwiska na „-ski”, mania tytułacyjna, na przykład dozorca, pomocnica domowa etc., zamiast nazw, które nabrały znaczenia ujemnego społecznie) i prąd drugi, demokratyczny, wyrażający się znamienne choćby w nazwiskach postaci występujących w powieściach nowoczesnych.

### 10 lipca 1937. Oboziszcze

Mieszkamy w dworze samotni jak puchacz. Dwór jest drewniany, parterowy – osiem pokoi i dwie werandy. Od tyłu w jarze ogrodowym płynie rzeczka Łostajka. Na noc pan Leon<sup>64</sup> każe zamykać zewnętrzne okiennice. Jak wiadomo, wieś, wśród innych starożytnych obrzędów, kultywuje z zamiłowaniem zwyczaj strzelania do upatrzonych osób przez oświetlone okno. Co prawda, niby nam akurat nic grozić nie mogło, ale zawsze... Trafił się taki wypadek w Dowbuciszkach, już dawno, jakieś czterdzieści lat temu. Do Lebia siedzącego w swoim pokoju strzelił ktoś w nocy przez okno i na miejscu trupem go położył.

Na truskawki chodzimy do pobliskich Rowów pani Marii Kryczyńskiej, gdzie rezyduje stary eks-pułkownik wojsk rosyjskich, pan Smolski, zdziwaczały i schłopiały (stale chodzi w samodziale). Od czasu, gdy go na froncie wybuch pocisku w powietrze wyrzucił, Smolski jak gdyby zapadł się w inny świat, złagodniał, ucichł. A kiedyś był to ponoć energiczny, ognisty żołnierz, zdobywca kobiet. Teraz hoduje szpaki i kanarki.

Jeździmy też w sąsiedztwo. Byliśmy na przykład w Gorechowszczyźnie u pana Olgierda Kryczyńskiego<sup>65</sup>, chodziliśmy też do pobliskiej

<sup>64</sup> Leon Najman-Mirza Kryczyński (1887–1939) – brat stryjeczny ojca Stanisława Kryczyńskiego, prawnik i historyk, wybitny przedstawiciel ruchu tatarsko-muzułmańskiego w II RP, wydawca „Rocznika Tatarskiego”, autor reportażu *Pod słońcem Maroka*; zamordowany przez hitlerowców.

<sup>65</sup> Olgierd Najman-Mirza Kryczyński (1884–1942) – brat Leona Kryczyńskiego, wybitny przedstawiciel ruchu tatarsko-muzułmańskiego w II RP, przewodniczą-

Osmanówki do prof. Achmatowicza<sup>66</sup> (żona jego, z domu Staniewiczówna, córka byłego rektora Uniwersytetu Wileńskiego; mają śliczne dzieci).

Pewnego razu, wracając z Rowów, spotkaliśmy w alei pochyloną bezzębną staruszkę – Tatarkę. Była to Maria Jakubowska, rodem z Rejz, zamieszkująca obecnie w Rowach. Zagadaliśmy ją i zaczęliśmy pytać o znane jej miejsca „cudowne”. Naplotła starucha, że w Sieniawce jest pochowana „święta Mieriema, matka Muhammieda Proroka”, która, podróżując po świecie, tam właśnie umarła; że mogiła świętej Mieriemy porośnięta jest jej „włosami”, to znaczy trawą-łnem; że do Sieniawki ona, Jakubowska, jeździła będąc chora i wyzdrowiała, że do Łowczyc jeżdżą chorzy na oczy i tak dalej.

– A ja, widzi Pani – powiedział pan Leon – wybieram się w podróż do Mekki...

Staruszka zachichotała niedowierczo.

– Pan? Pan nie pojedzie do Mekki, nie pojedzie...

Pan Leon zdziwił się:

– A dlaczegoż to miałbym nie pojechać?

Jakubowska patrzyła weń wyblakłymi oczyma, trzęsła ręką przecząco, a obwisłe jej wargi mamrotały:

– Nie pojedzie Pan, nie pojedzie!...

Odeszliśmy, a ona stała zgarbiona w rowie przydrożnym i trzęsła suchą, żylastą ręką uparcie, tajemniczo, groźnie...

### **15 lipca 1937. Oboziszcze-Łostaje**

Rankiem wędrujemy pieszo na Łostaje. Niebo błękitne, chmury pierzaste płyną jak białe okręty, upał. Mijamy kuźnię na rozstaju dróg, dalej, po prawej ręce, cmentarzyk prawosławny z kaplicą, i schodzimy w dół, ku rozrzuconym domom wioski. Celem dzisiejszej wyprawy jest wizyta u kowala Wiktora. Ten kowal nie tylko na Łostai, ale i w dalszym promieniu znany jest jako znachor, co było leczy, i jako poeta, który

---

cy Rady Centralnej Związku Kulturalno-Oświatowego Tatarów RP, aresztowany przez NKWD i rozstrzelany.

<sup>66</sup> Osman Achmatowicz (1899–1988) – wybitny naukowiec w dziedzinie chemii, doktor Uniwersytetu w Wilnie, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, w latach 1953–1960 wiceminister ds. szkolnictwa wyższego w PRL.

wierszami bajki i satyry na sąsiadów (między innymi na łostajskich Tatarów) składa. Ale nie mamy szczęścia. Kuźnia zamknięta, a żona kowala powiada, że leży on chory na chorobę „świętego Walentego”. Więc i ten wieszcz wiejski, jak Dostojewski, jak tylu innych ludzi genialnych, to epileptyk! „Obmiera tak – mówi kowalka – raz do roku, ale w tym roku już ma drugi atak”.

Trudno, idźmy więc dalej, do Tatarów. Wśród pól pachnących latem skręcamy na drogę wiodącą ku rzece. Coś błysnęło w koleinach drogi: podkowa, i do tego z gwoździkiem, odwieczny symbol i czynnik szczęścia. Nad Niemnem podkowę, znalezioną, tak jak ta oto – przypadkiem, przekuwają na pręt do poszukiwania skarbów zakopanych w ziemi. Znalezioną podkowę trzeba przybić na progu domu, a przyniesie nam szczęście i przed złem ochroni. Nie mam swego domu i swojego progu, więc niosę podkowę w rękę – i później obciążę mi ona moje skromne bagaże, w których więcej książek niż bielizny.

### **Malarstwo – Architektura**

Piotr Bruegel Starszy: „Triumf śmierci” (wiek XVI). Na pierwszym planie obrazu od lewej: umierającemu królowi Śmierć pokazuje klepsydrę, a drugi szkielet wybiera pieniądze z beczek. Dalej Śmierć prowadzi ślaniającego się duchownego. W pobliżu leżą zwłoki kobiety z kądzielą i dziecko, które obwąchuje pies. Jeszcze dalej Śmierć dusi kogoś. Plan drugi: chude szkapsko, na którym siedzi szkielet z latarnią, ciągnie wóz napełniony czaszkami, a Śmierć-furman przygrywa na lirze. Dalej zaskapturzone szkielety ciągną śmiertelny wózek, to jest trumnę na kółkach z umarłymi, po trupach innych. Na trzecim planie: chór szkieletów (niektóre z trąbitami), topielcy, wrzucanie umarłych do wody, kośba Śmierci, różne tortury i tak dalej.

Gotyk = ostrołuk – zebra – cienkie, kolczaste laski – motyw róży i jej kolców – kanciastość – zasada oszczędności w wykorzystaniu miejsca.

Gotyk = ludowość – karykatura i szyderstwo w ujęciu postaci ludzi, zwierząt i duchów (maszkary) – filozof Arystoteles ujeżdżany przez żonę.

Religijność ludowa = pierwiastki parodystyczne – głupi diabeł w interpretacji chłopskiej – tańcząca Śmierć – opowiadania góralskie (Sabały) o śmierci głupiej – opowiadanie o świętym Piotrze.

Prymitywizm – jego istota – „szaleństwo Boże” – obłąkanie świętością – błazen NMP – „mocny i drastyczny styl ludowy” – styl kołęd i pastorałek.

Ludowość gotyku – cezaryzm italskiego antyku i renesansu.

Antyk i renesans = cezaryzm, imiennosc twórców (Bramante, Michał Anioł).

Gotyk stworzony przez Francję, która w stosunku do rzymskiego cezaryzmu zawsze reprezentowała kierunek separatystyczno-herezyjny.

Templariusze (budowniczo wie gotyku) – niewola awiniońska papieży – jansenizm – gallikanizm – katolicyzm mauriacowski.

Na Północy germańskiej – ruch protestancko-ludowy – sztuka dla społeczeństwa: druk – obrazy flamandzkie Brouwera, Fransa Halsa i innych, karykaturujące sztukę barokowo-dworską i kościelno-katolicką.

## Prawo

U narodów zachodnich państwo oznacza byt społeczny: francuskie *État*, niemieckie *Staat*, angielskie *State*. Rząd zaś jest tam czynnikiem kierowniczym: franc. *régime*, niem. *Regierung*, łac. *Regimen* (łac. *rex*, *rector* = kierownik).

W Polsce państwo jest elementem ponad-społecznym, panującym, a nie wynikającym z bytu narodu, a rząd znaczy tyle, co „składanie” (rządzić = staropolskie i ludowe na Śląsku – mówić, to jest składać słowa, urządzić coś i tak dalej), a więc oznacza czynnik właśnie statyczny.

Prawo zwyczajowe bywa kodyfikowane na piśmie zwykle wtedy, gdy jest na wymarciu; gdy bowiem formy tego prawa żyją w społeczeństwie – nie ma potrzeby spisywania ich.

Prawo w zasadzie i intencji swej umoralniające może być destrukcyjne w skutkach pośrednich, gdy nie liczy się z warunkami życia i psychologii człowieka (teorie prof. Petrażyckiego<sup>67</sup>). Przykład: prawo o prohibicji i gangsterizm amerykański.

Prawo może oddziaływać destrukcyjnie, gdy jest pisane „na wyrost”. Przykład: polskie prawo karne, które zbyt wiele pozostawia do

<sup>67</sup> Leon Petrażycki (1867–1931) – polski filozof prawa, zajmował się również socjologią, etyką i logiką; wykładał na Uniwersytecie Petersburskim, a od 1919 r. na Uniwersytecie Warszawskim.



osobistej decyzji sędziego i nie liczy się z poziomem kulturalno-moralnym ludności.

We wszystkich tych wypadkach prawo pozostaje martwą literą.

Ideałem polskiej filozofii narodowej XVII wieku był Diogenes, anarchista, indywidualista, cynik. Jednych pociągała jego skrajna niezależność i wolność, inni zapewne mieszali go po trosze z Bachusem, gdyż atrybutem obu tych osobistości była beczka, ulubiony sprzęt szlachecki.

Na uniwersytetach polskich największym powodzeniem cieszą się studia prawnicze.

Polak jest urodzonym prawnikiem-sędzią. Cecha charakterystyczna dla rolnika: poczucie sprawiedliwości – spory o miedzę – nienawiść do geometrów, podejrzewanych z reguły o stronicze mierzenie pól. Typy chłopskich procesowiczów.

Słowacki w *Zborowskim* odnalazł drugą, obok jasełek-szopki, czysto narodową formę polskiego dramatu. *Samuel Zborowski* tak pod względem formy, jak i treści jest dramatem prawniczo-palestranckim. Słowacki, prawnik z wykształcenia, głęboko rozumiał żywotność polskich form ustrojowo-prawnych jako produktu polskiego wolnego ducha. Podnosił (w pismach z czasu towiańszczyzny) potrzebę wskrzeszenia konfederacji jako podstawowej formy polskiego ustroju. W *Zborowskim* na kanwie typowo polskiego przewodu sądowego przed kratkami trybunału niebieskiego rozgrywa się walka o zasadę prawną, która jest jednocześnie podstawowym dylematem duszy polskiej: wolność jednostki a prawo społeczeństwa.

Język polski jest prawdopodobnie najbardziej konsekwentnym filozoficznie językiem świata. W nim ładny = piękny, bo piękno jest to ład (harmonia). Grzechem jest wszelki nieład (inaczej nierząd), ale to, co jest zgodne z ładem natury, nie może być grzechem.

### **Nagana Mauriaca**

Katolicyzm Mauriaca (chrześcijaństwo zachodnie) i chrześcijaństwo wschodnie Dostojewskiego. U Mauriaca grzesznik może być pewny zbawienia, jeśli doznał Łaski (objawienia swej podłości w samym sobie i skruchy); u Dostojewskiego zbrodnia zawsze wlecze za sobą ponury cień kary doczesnej, niesie mękę duszy (por. Mauriaca *Ce qui*

*était perdu*<sup>68</sup> i Dostojewskiego *Wina i kara*<sup>69</sup> lub *Bracia Karamazow* czy *Biesy*). W Mauriacu objawia się cały katastrofalny dla psychiki zachodniej pasywizm dogmatu Łaski, tak arcykatolicki; nie ma w świetle tego dogmatu takiej zbrodni, z której skutków duszy winowajcy nie wyzwoliłaby Łaska, jeśli stanie się jej godny: nie bójcie się – zdaje się mówić ta beznadziejna filozofia – grzeszcie spokojnie; nie wiecie dnia i godziny, kiedy nawiedzi was Łaska – ona was uwolni od konsekwencji winy, uwolni od kary. Ileż zła wnosi w życie społeczne i w moralność zachodniego świata takie postawienie sprawy zła i dobra, winy i kary. I o ileż korzystniejszy dla społeczeństwa i dla pojedynczego człowieka jest niepokój Dostojewskiego, ten jego dręczący problem nieuchronności kary za każdą popełnioną winę. Mauriac usypia, Dostojewski budzi sumienie.

### **De natura rerum**

Organy są instrumentem powietrznego żywiołu. Huczy w nich i piętrzy się ogromnymi falami muzyka atmosfery, szalonymi oddechami dmie w miechy i piszczele, posłuszna każdemu drgnięciu ludzkiej ręki, jak wiatry uwięzione w worku Odyseusza.

Dzwon rozlega się swym metalicznym, nieskazitelnym brzmieniem szeroko, jak ognista lawa kruszcu. Jest to muzyka jednostronna wielkich przestrzeni i wielkich głębokości. Legendy mówią często o jeziorach i zatopionych w nich miastach, z których czasami dochodzi daleki, podwodny dźwięk dzwonów. Dzwon, przenikający swym tonem pola i lasy dalekie, słyszany już wtedy, gdy jeszcze kościoła nie widać, jest jak nieodepchnięty żadną ludzką siłą ni przecherstwem głos sumienia.

Muzyka instrumentów sporządzonych ze skóry, kości, kiszek lub włosów zwierząt zachowuje naturę zwierzęcą.

Niecierpliwy, dziki, namięty głos bębna podnieca do rytmicznego ruchu, do tupania i skoków. Warkotem swym podrywa nogi i ręce. Brzmi w nim paniczny stukot racic i kopyt rozszalałego stada.

---

<sup>68</sup> François Mauriac, *Ce qui était perdu*, Paris 1930.

<sup>69</sup> Powinno być oczywiście: *Zbrodnia i kara*.

Brzuszne, synkopowane dudnienie bębna przewodzi w skwarne czerwcowe południe procesji Bożego Ciała, gdy okrąża kolegiatę. Oczadzony kadzidłami, nieprzytomny od piskliwego i chrapliwego śpiewu tłum kobiet i mężczyzn prze hipnotycznie naprzód, następując bezładnie na siebie, niosąc swe złożone idole, dzwoniąc febrycznie dzwonekami, chwiejąc czerwonymi i brunatnymi płachtami chorągwi. Chłop w pasiastych czarno-żółtych portkach i długiej, czarnej kapocie, stary, wygolony czarownik wiejski, postępuje sakralnie za wielkim bębniem niesionym na pasach przez dwóch księżaków. Idzie z głową opuszczoną posepnie, z rękami opadłymi po bokach, jak gdyby drzemiąc wsłuchiwał się w przytłumiony ryk instynktów, obudzonych w pieczarach podświadomości. Nagle, w natchnieniu niespodzianym prostuje się, podnosi twarz drapieżną i czarną jak drewno i uderza raz jak gromem w napiętą skórę kotła; przerywa na sekundę, aby spuścić na nią raptownie i zajadle chaotyczny grad ciosów we wściekłym tempie. W rozżarzonym, spiekłym powietrzu ten werbel brutalny dudni ponuro i głucho, jak wojenny sygnał w muryńskiej puszczy.

Kościana piszczałka wydrażona w zwierzęcej piszczeli wydaje głos ostry, jędrny i kościsty.

Wierzbowa fujarka czy trzciniowa fletnia pastucha pasącego krowy ma naturę roślinną, jej łagodność, uległość i monotonię.

Ze skrzypiec, z trzewi zwierzęcego i drzewnego bytu, wydobywa się najprawdziwszy głos ustrojowego życia.

### **Saskość = galicyjskość**

Pod brukiem pryncypalnych ulic Lwowa płynie zamurowana, smrodliwa rzeczka, Pełtew. W swej wrześniowej, 1939 roku, tułaczce, dążąc pieszo do Lwowa od Krasnego, przeprowić się musiałem przez tę czarną, nieznośnie cuchnącą Pełtew w płytkiej, wywrotnej łódce.

Czasy saskie płyną zasklepionymi kanałami pod nawierzchnią polskiego życia. Wybuchają niekiedy tu i ówdzie zgniłymi fetorami, są to wielkie procesy, wielkie zbrodnie.

W roku 1869 były powstaniec Antoni Gąsiorowski doniósł władzom sądowym w Krakowie, że w klasztorze karmelitanek bosych na Stradomiu znajduje się uwięziona od lat dwudziestu jeden mniszka

Barbara Ubryk. Istotnie, znaleziono ją zamurowaną żywcem w ciemnej, nieopalonej celi, na barłogu, naga, wynędzniała, na wpół obłąkana, wśród wyziewów z przylegającej do celi kloaki. Okazało się, że zakonnica ta miała ongiś jakiś skandaliczny romans; za pokutę zamurowały ją na resztę życia inne mniszki. Historia Barbary Ubryk stała się głośna w całej Europie najmniej na ćwierć wieku. Poszły w świat liczne drukowane w obcych językach opisy tego wydarzenia. Pisano na ten temat powieści pod tytułem *Barbara Ubryk, czyli tajemnice klasztorów*<sup>70</sup>, wystawiano w tym samym guście w teatrach dramaty i melodramaty. Moja matka wielokroć słyszała nazwisko Ubrykówny w latach swego dzieciństwa. Sprawa pasjonowała ludzi w owej przez pół antyklerykalnej, a przez pół ultramontanistowskiej epoce, gdy „farmazoni” trzęśli światem, więzili papieża i wywlekali bez ceremonii na światło dzienne tajemnice „lochów Watykanu”. Atmosfera, którą z nieporównanym mistrzostwem oddał w swej powieści André Gide.

W roku 1871 w Krakowie pewien ksiądz skazany został za kradzież połączoną z nagłą śmiercią okradzonego (W. Nałkowski, *Jednostka i ogół*, Kraków 1904, s. 409).

W roku 1910 teatrem okropności w stylu Barbary Ubryk stał się klasztor paulinów w Częstochowie. Wykryto zbrodnię jednego z mnichów nazwiskiem Macoch. Zamordował on księdza, który był świadkiem jego rozpustnego życia. Śledztwo wykazało, że cały klasztor, z przeorem na czele, pogrążony był w najobszerniejszej rozpuście. Poszedł krzyk oburzenia po całej Polsce; antymonachowie święcili triumfy na równi z Rosjanami.

Wreszcie: procesy mariawitów z arcybiskupem sekty, Kowalskim, na czele. A przecież cały mariawityzm to tylko *ad absurdum* doprowadzona konsekwencja i logika maryjno-idololatrijnego kultu katolickiego!

Płynie epoka saska mętnymi fluktami w podziemiach polskiego bytu, a my stąpamy po niej, nawet nie wiedząc o tym.

Gdy przyjechałem w lecie roku 1929 do Lwowa, aby dotrzeć do pewnych akt kościoła mieleckiego, znajdujących się, jak mi mówiono, w tamtejszym archiwum państwowym, skierowałem pierwsze kroki do

<sup>70</sup> *Barbara Ubryk czyli Tajemnice klasztoru w Krakowie: Opowiadanie osnute na tle prawdziwego zdarzenia*, [b.m.] 1920. Drugie wydanie: Chrzanów 1921.

gmachu klasztoru bernardynów. Nowicjusz osiemnastoletni w sprawach naukowych sądziłem, że tak zwane archiwum bernardyńskie, do którego zajść chciałem, istotnie znajduje się pod zarządem wielebnych ojców. Zaszedłem tedy jakimś tylnym wejściem do klasztoru. W klatce schodowej natrafiłem na scenę charakterystyczną, jakby żywcem wyjętą z Krasickiego *Monachomachii*: przez szeroko rozwarte drzwi klasztornej kuchni buchały smakowite dymy, a z piwnicznego loszku wstępował z powagą kamiennymi stopniami w górę braciszek-kuchcik, piastując oburącz na łonie pękata, szklaną banię z jakimś likworem. Pociągnąwszy łakomie nosem i rzekłszy sobie z westchnieniem: *vanitas vanitatum*, poszedłem dalej, na piętro, i uzyskałem audiencję u księdza gwardiana. Wtoczyła się opasła habitowa postać o tak wielkim brzuchu, że kiedy wyciągnęła rękę na powitanie, to ledwo dłoń wyszła za jego peryferie. Uzyskawszy potrzebne informacje, opuściłem ten dziwny przybytek ludzi pobożnych i świętych. Sprawiedliwość każe mi przyznać, że widywało się w czasach mroźnych zim tłumy najuboższej ludności, którym bernardyni lwowscy rozdawali na klasztornym dziedzińcu pieczywo.

W naszym życiu zewnętrznym, świeckim, kompleks saski reprezentowany jest w lwiej części przez „Galicjan”. Galicja, a właściwiej mówiąc Małopolska południowo-zachodnia z Rusią Czerwoną i częścią Podola, odłączona od Korony już w roku 1772, nie zaznała odświeżającego ruchu kołłątajowskiej Kuźnicy i rewolucji kościuszkowskiej. Pozostała w zatęchłej atmosferze saskiej. Po jałowym i ponurym okresie germanizacyjnym, przyszła Galicja do szerokich swobód autonomicznych w roku 1867. Ale swobody te zdyskontowała momentalnie do spółki z wyższym klerem arystokracja, Tarnowscy i kompania. Zamiast wolności, dano ludowi tromtadrację. Wiadomo, kim byli galicyjscy tromtadracy, „obywatele pielęgnujący patriotyzm w długich butach i zawieszistych konfederatkach”, jak ich określił B. Prus w swoim pośmiertnym wspomnieniu o Janie Lamie\*. Arystokracja wraz z klerem i mieszczaństwem tłumiała ruchy chłopskie i robotnicze, ścięła i szczyła księdza Stojałowskiego, zamurowywała lwowską Pełtew,

---

\* Rzecz znamienna, że właśnie w Galicji do ostatnich dni c.k. monarchii zachował się kontusz i zupan jako uroczysty strój narodowy.

konserwowała w cesarsko-królewskim kraju atmosferę serwilizmu, oportunistu, ultramontanizmu i jezuityzmu. Miazmaty tej atmosfery odczuwamy jeszcze dzisiaj.

Ustrój społeczeństwa galicyjskiego zdumiewa przybyszów z „Kongresówki”. Rodziny zamknięte, każda dla siebie, rządzone patriarchalnie (dzieci mówią do rodziców „mamo” i „tato”, broń boże per „ty”, jak w Królestwie), stanowią odrębne, egoistyczne na zewnątrz, ciepłem i czułością ogrzane wewnątrz światy. Są moralne najczęściej w tym sensie, że za niemoralność uważają wywlekanie brudów na światło dzienne. Brudów się nie pierze, chowa się je pod łóżko lub pod poduszkę. W stosunku do zagadnień społecznych – filantropia w stylu świętego Wincentego à Paulo lub pań od świętej Zyty: „masz grosza (często mówią «centa», «grajcara», «szóstkę») i hulaj!”. Łącznikiem ze światem jest tak zwany garkotłuk, czyli w oficjalnej terminologii – pomocnica domowa; wynosi ona z domu wszelkie możliwe skandale i przynosi nawzajem plotki o sąsiadach. Panie galicyjskie lubią plotki; im potworniejsze, tym smakowitsze. *Exemplum* i termometr specyficznie lwowskiej zachłanności ma oglądanie tajemnic cudzego życia: proces Gorgonowej – musiano go przenieść z tej przyczyny do Krakowa. Znam panią lwowską, która usłyszawszy o jednej z dam, rzekła: „O, ja takiej ręki bym nie podała, ja nawet mówić o niej nie chcę, ja o niej słuchać nawet nie mogę. Ale niech pani/pan/państwo etc. zaczeka, to może jutro coś się o niej dowiem”.

Galicyjanie lubią obcałowywać się „z dubeltówki” przy lada okazji, nawet czując wzajemną niechęć. Są na zewnątrz serdeczni, wylewni, lubią zachęcać do jedzenia i picia; nie przeszkadza to gospodarzom obgadywać gości po miłym przyjęciu, i *vice versa*. Szwagrowie i wszyscy krewni obowiązkowo używają we wzajemnych stosunkach formy „ty” (inaczej niż w Królestwie). Bardzo przywiązani do tradycji, więcej do form niż do treści. Łatwo obrażają się z najbłahszych powodów natury towarzyskiej. Chińsko ceremonialni. Uwielbiają tytuły (zlew pierwiastków saskich z c.k. austriackimi), tak rodowe, jak urzędowe. Mówienie *per* „pan” czy „pani” komuś, kto sam lub po mężu posiada jakiegokolwiek najgłępszy i najmizerniejszy tytuł, znamionuje pochodzenie spoza Galicji. Wiele, bardzo wiele obłudy.

W ósmej klasie gimnazjum w małej mieścinie środkowej Małopolski uczeń, zapytany o coś, odpowiedział zgodnie z własnym sumieniem: „nie wiem”. Nauczyciel poszedł ze skargą do dyrektora, którego synem był ów uczeń: „Wykazuje zbyt wiele cynizmu, panie dyrektorze. Zamiast próbować jakiegoś usprawiedliwienia, odpowiada po prostu: nie wiem. To niesłychane”. Usprawiedliwienie: czytaj tu – wyklamanie się. *NB.* W krótki czas później ów nauczyciel zasiadł na ławie oskarżonych w brudnej sprawie o nadużycia pieniężne i tylko zwrot całej sumy zdefraudowanej ocalił go od kryminału. W tymże samym gimnazjum „katecheta” był ksiądz, rodem „górol” gdzieś ze Słotwiny, tępy, opasły gbur. Pytany przez uczniów klasy ósmej o zawile kwestie teologiczne, odburkiwał: „Ij, lepij się pacierza naucz!” Ten ksiądz był prefektem bursy uczniowskiej równocześnie, tęgo spijał butlami całymi piwo i wino; chodziły koło niego „siostrzyczki” zakonne. Opieka nad chłopcami była tak marna, że pewnego razu kilku z nich zachorowało po spożyciu kotletów z nieswieżego mięsa, a jeden zmarł. Uczeń ósmoklasista pokłócił się z księdzem, koledzy zaczęli go bojkotować.

O, biedni Galicjanie!

### **O stylach**

Styl jest to materializacja duchowej atmosfery.

Łaciński ten wyraz oznacza to samo, co sztylet. Tym sztyletem czas karbuje swoje wiecznie zmienne przemijanie na drzewie życia.

„Gotyk” – duch gardzący materią tak nieodporną na jad morowego powietrza, na trąd, na zgniliznę śmierci. Ulubiony temat: *danse macabre*. Architektura gotycka = umuzycznienie, uskrzydlenie szkieletu, związanie żeber (żebrowane sklepienia), ukwiecenie kamiennymi różami piszczeli (iglice). W rzeźbie snycerskiej, w malarstwie – ciała ascetycznie wychudłe, rysy wyostrzone. Pismo gotyckie: żeberkowe, kanciaste, wąskie. Strój – wykrojone ostro kabaty, sztywnie sfałdowane robry, szpiczaste kapelusze i buty.

W kształtowaniu architektury gotyckiej niewątpliwie ważną rolę odegrały warunki techniczne, między innymi – brak miejsca (stłoczenie miast średniowiecznych w ciasnych okręgach murów). W piśmie – drogość materiału (pergaminy). Pisano najoszczędniej, więc skracano umówionym systemem wyrazy, a litery ścieśniano.

Gotyk – sztuka narodowa Niemców (mimo genezy francuskiej, jeśli idzie o katedry gotyckie).

„Odrodzenie” (*renaissance*) – nawrót antycznego świata z jego swobodą i harmonią życia fizjologicznego z umysłowym. Architektura arkadowa, amfiladowa, przestrzenna. Mistrzowski rozkwit malarstwa i rzeźby. Potęga Michała Anioła, natchnienie Rafaela, koloryt Tycjana. Oczy, które nagle przejrzały, widzą całą krasę i przepych barwy i światła w naturze. Pismo i druk – łaćńskie (italiki), przejrzyste, proste. Stroje bufiaste, kapelusze rondowe z pióropuszcami strusimi. Moda naukowa: alchemia (poszukiwanie tajemnicy wyrobu złota i kamienia filozoficznego) i astrologia. Odrzucenie scholastycznej, oschłej, szkieletowej dialektyki średniowiecznej.

„Barok” – pijany sen Michała Anioła. Nieokiełznana bachiczność, namiętność; żar mistycyzmu kruszący harmonijne monolity; marmurowe kolosy, które zatęskniły za przygodą; Diogenesowa wędrówka z latarnią; zuchwałe objawienie się urody świata, rozszerzonego odkrywczymi podróżami okrętów. Architektura = wzbogacenie zdobnictwa, rozkołysanie linii. Rzeźba = dynamika, niepokój, gwałtowność. Strój zachodniej Europy – hiszpański, etykieta – hiszpańska. W Polsce ustala się egzotyczny strój turecko-czerkieski (kontusz). Pismo bujne, florystyczne, zamasyzowane. Triumfy sztuczności i mechanizmów.

Egzotyka nowego świata. Na trawnikach modne pałacowe ptaki: koralowogardły, bulgotliwy (jakoby krew gotowała się w szklanej bani) indyk z Ameryki, paw – orientalny cesarz pod wachlarzem inkrustowanym miedzią, złotem, zielenią i granatem – z wysp archipelagu malajsko-indyjskiego; afrykańska pantarka perliście upierzona, piskliwa – żar-ptak gorącego południa.

Pawie piórka za czapkę krakowskiego parobka – tyle zostało nam ze stylu odrodzenia.

I jeszcze egzotyka i papuasowe olbrzymie zwoje włosów rurkowanych misternie na głowach mężczyzn barokowego wieku, obmierzone peruczdyła salonowych bawidamków. Dzikich mężów z Nowego Świata prezentowano na dworskich baletach, maskaradach, pantomimach; zdjęli z nich wzory próżni panowie.

„Rokoko” = styl wyschlętego serca i rozpieszczonego, zmysłowego oka.



Uwydatnienie roli kobiety w życiu publicznym i prywatnym (wiek Casanovy) ogromnymi krynolinami zajmującymi tyleż miejsca na posadzkach, ile piramidalne ich fryzury pod malowanymi plafonami buduarów. Styl fałszu i obłudy. Pismo zwykle drobne, maczkowe. Ulubiony gatunek – bajki zwierzęce. Taniec: menuet.

Barok – sztuka narodowa narodów romańskich (Hiszpania, Włochy, Francja) podobnie jak jego źródło – renesans; ogromnie przypadł do gustu Polakom.

Rokoko – efemeryda motylego wdzięku; styl ten nigdzie nie wycisnął zbyt wyraźnego piętna. Egzotyzm silnych „pieprzowych” smaków indyjskich ustępuje delikatniejszej, dzwoneczkowej, porcelanowej chińszczyźnie (chińskie pokoje, chińskie lampy i chińskie zimne etykietałne dusze). Rokoko = sztuka jednego stanu: arystokracji.

„Empire” – spokój budowania wśród huk kartaczownic. Dobrze rozplanowane jednopiętrowe budynki z emblematami wojen i zwycięstw na klasycznych frontach (sztandary, dzidy, miecze, bębny, kule, lufy dział i orły). Rzymskość, cezaryzm, demokracja. Strój: *redingot gris* nadaje ton główny; szary, dobrze zapięty płaszcz, wywatowane ramiona, szary cylinder, potężna gałkowa laska w ręku. Silna ręka, czułe serce.

Historycyzm epoki, grzebanina w przeszłości, zmęczenie artystyczne, przewaga ruchów socjalnych i narodowych nad artystycznymi – oto tło bezstylowości mieszczańskiego wieku XIX. Pod koniec tego wieku bierze górę materializm i gruby realizm. Styl w architekturze: czynszowa kamienica z obłudnymi ozdóbkami koło okien i drzwi. Strój: turniura, podkreślająca samicowatość kobiety. Mężczyźni w tym samym celu zapuszczają brodę. W nauce modna biologia (Darwin!) i medycyna.

Styl nowej epoki = ujarzmienie sił natury. Architektura = żelazo i beton w dowolnych kombinacjach prostych czworogranych brył. Linia „aerodynamiczna”. Śmiałość, swoboda, ułatwienie, spłylenie, jednostajność. (Marzenia słabego, rozbitego nerwowo Nietzschego o „mocnym człowieku”; rekompensata w teorii Adlera wyraża się w prostych i potężnych budowlach naszej epoki). Jesteśmy przeważnie daltonistami, uwielbiamy dlatego szarą, bezbarwną fotografię. Malarstwo niedokrwiste. Muzyka „atonalna”. Fikcja czystej formy w plastyce, muzyce i poezji.

W zmienności stylów odbija się wyraźnie ogromna wrażliwość narodów europejskich (aryjskich) na wszelkie procesy odbywające się w ich łonie. Nie umiemy ukryć gry uczuć na twarzy. Twórczy duch pod wpływem impulsów wewnętrznych buduje, pisze, maluje, rzeźbi, gra; w każdej epoce inaczej.

Wschód nie tak szybko odmienia swoją skórę. Sztuka arabsko-mauretańska, z nieznacznymi odmianami lokalnymi i okresowymi, stanowi do dzisiaj jedyny styl świata muzułmańskiego. Sztuka chińska nie zna takich przeskoków w swojej historii, jakie my znamy w dziejach stylów europejskich (na przykład gotycki i odrodzenie): zawsze te same pagody ze smoczą łuską i dzwonekami na krawędziach dachów, zawsze te same zasadnicze elementy architektoniczne czy rzeźbiarskie.

### **O rzeźbie i malarstwie**

Sferą rzeźby jest piękno ustrojowe: człowiek i zwierzę. Za przedmiot bierze ona rytm masy jednostkowej, rytm żywego ciała.

Rzeźba jest formą samą w sobie. Posąg szerniały od słoty i słońca stoi w przestrzeni, sam rzuca cień i na nim układają się cienie i blaski.

Rzeźbę obowiązują te same prawidła naturalności, które są kanonem piękności w architekturze. I tutaj odpychająco działa wszelka pozorność, która przeczy organicznemu połączeniu kształtu z ideą.

Taką pozornością jest na przykład ruch wyrzeźbionych figur. Gdybyśmy za pomocą mechanizmu nadali ruch ręce księcia Józefa Poniatowskiego z pomnika warszawskiego lub nogom jego konia, to spiżowy ten posąg, tak piękny w swej prostocie (jeździec rzymski na koniu, ręka z mieczem wyciągnięta), arcydzieło Thorvaldsena, uczyniłby wrażenie groteski. Taką groteską właśnie są drewniane kukły w szopkowym teatryku lub figury krążące po galeryjkach starych zegarów wieżowych. Pamiętam z czasów dzieciństwa pewien pokój w zamku luksemburskim pod Wiedniem. W pokoju tym mieścił się karcer dla młodzieńskich arcyksiążąt w epoce terecjańskiej. Pod ścianą siedziała tam kamienna postać i trzęsła groźnie ręką okutą w żelazne kajdany, gdy nacisnęło się ukrytą w podłodze dźwignię. Był to widok dla nas, dzieci, straszny.

Dziś umiem sobie strach ten wytłumaczyć. Straszny jest wielki pozór życia przy jawnej i oczywistej martwocie przedmiotu (element

zaskoczenia, grożącej, od momentu pierwszego skonstatowania zjawiska, niepewności, niebezpieczeństwa). Znali te rzeczy kapłani greccy i w okresie nawet największego rozkwitu rzeźby helleńskiej fabrykowali dla swych świątyń posągi bogów, których ukryty mechanizm pozwalał wykonywać pewne gesty. Były na przykład posągi Pallas-Ateny, które potrzęsały dzidami lub Afrodyty, które puszczały wodę z oczu; prototypy późniejszych „cudownych” figur świętych chrześcijaństwa.

### **O chłopach**

Kto pił z chłopami po karczmach ten wie, jak niewiele różna jest ich natura od natury dawnej polskiej szlachty. Jak fantazyjnie hulacko potrafią pić gorzałkę, jak ostatnie grosze na nią wysuplują z kalety, jak z gardeł ich wydiera się żywiołową falą śmiech szeroki, bachiczny i piosenka skoczna, rozpustna! Nie mówcie mi o Polsce szlacheckiej! Była i jest Polska rolnicza, Polska oracka, wieśniacka, a ta Polska lubi swawolną, kuligową czy weselną jazdę saniami, lubi swą prostą pieśń pastuszą, swój taniec skoczny, zamaszty, swoją wolność – swobodę w rozwłóczeniu nieporządnym mierzwy, w niedbałym pleceniu ogrodzeń, w niemyśleniu o jutrze. Parobki biją się u nas po wsiach nożami na każdym weselu, każdej karczemnej zabawie, tak jak szablami tłukła się niegdyś szlachta.

Polska jest wiejska, jak Niemcy są miejskie. Polska muzyka wywiodła się z chłopskiej prostej nuty tanecznej i kolędowej (*Lulajże Jezuniu* w „Scherzo H-Moll” Chopina, cała jego twórczość). Niemieckiej muzyce narodowej dała początek mieszczańska twórczość kościelno-organowa dynastii Bachów i ta organowa muzyka Renu rozbrzmiewa potężnymi diapazonami, olbrzymimi skalami tonów w dziełach Wagnera. Twórczość Goethego jest w tym samym stopniu mieszczańska, jak twórczość Mickiewicza – wiejska.

Między mieszczaninem a chłopem niemieckim nie ma różnic zasadniczych, bo wieś niemiecka bliższa jest pojęciu naszego miasteczka. Między chłopem a mieszczaninem w Polsce jest antagonizm datujący się zapewne jeszcze z czasów, gdy w miastach dominował żywioł obcy. Mieszczanin pogardza chłopem jako „chamem”, a chłop rzuca mieszczaninowi wzgardliwe wyzwisko „ty kulonie!” (prawdopodobnie

z łacińskiego wyrazu *colonus* – osadnik, kolonista). W czasie krwawych zapustów 1846 roku w Galicji miasta i miasteczka stanęły przeciw chłopom. W takim Mielcu mieszczenie, oddzieleni od chłopów topniejącymi lodami rzeki, staczali na odległość homeryckie utarczki słowne, paradowali na postrach w łożach nadrzecznych z flintami i strzelbami przy odgłosie kościelnych bębnow i wymieniali strzały. Było w tej walce coś więcej, jak tylko obawa miasteczka o swoje domy i dobytki, [o] rabunkowe zamysły chłopskiego tłumu.

### **Barok polski**

Istotą psychicznej treści baroku jest perseweracja = natręctwo idei lub obrazu, opętanie jakimś motywem muzycznym, jakąś myślą, nawroty ciągle do jednego tematu. Ideą natrętną baroku jest myśl o śmierci. Stąd, jako reakcja i protest – konwulsyjna, zwierzęca dynamika życia.

Barok zagłusza tę myśl orgiastyczną gadatliwością w literaturze, fantastyczną bujnością form w architekturze, ucieczką w egzotykę i marzenia.

Opierając się na tym kryterium, wypadnie zaliczyć do poetów baroku: Malczewskiego i Słowackiego – a przeciwstawić im naturalizm zdrowy (jak neurozie – psychikę zdrową) Mickiewicza.

Malczewski napisał poemat o Śmierci i Smutku-Zgryzocie: *Maria*. Charakteryzuje się ten poemat muzyczny antropomorfizacją wszelkich idei abstrakcyjnych. W nim Zwycięstwo siedzi na oczach rycerzy, Cierpliwość się uśmiecha, Rozpacz grozi, Miłość na zbroi spoczywa, Czas kradnie w skarbie, Zgryzota zapuszcza swe kolczaste łodygi na odłogu szczęścia, Sen szczęście osłania, Pycha i Pochlebstwo śmieją się niezszyte, Gościnność kręci się, tęskna Przyjaźń w podróż ucieka, Noc zazdrosnym palcem ściera Dnia ślady, Czas płody przewraca, Odwaga załamuje ręce, Obecność tarza się w ohydzie, na pobjowisku „zapyłona Sława upięknia zniszczenie”, w śliczny welon Cnoty stroi się Obluda, Przyszłość otruta, rozczochrana idzie i tak dalej. Są to figury alegoryczne, jakie widzi się na frontach barokowych pałaców i kościołów; postać śmierci snuje się przez wszystkie strofy poematu, wciąż jawiona przed oczy, wciąż przypominana:

Jak miło [...]

Zniknąć – na zawsze zniknąć pod Śmierci objęcie!

Uroczy połysk, co krasi oczy Marii, „chyba go Śmierć zgasi”. „I ci-cho – jak na sercu Śmierć swój obraz kryśli”. Pacholęciu tajemniczemu Śmierć zostawiła czarne w piersiach blizny. W piosence Masek powtarza się wciąż zwrotka:

Ah na tym świecie Śmierć wszystko zmiecie,  
Robak się łęgnie i w bujnym kwiecie.

Oddech śmierci mgłą oczy zasłania. Na polu bitwy każdy gotów rzucić się w ciennik Śmierci, która trzusi się, zdmuchując wywrócone oczy. Po ciału Marii mruczac, kadząc, śpiewając służba Śmierci przyjdzie. W jej obrzękłej twarzy zdawał się widzieć Wacław „co tam w walkach ze Śmiercią mimo niej zmartwiało”. Śmierć jest bohaterką dramatu, a towarzyszące jej osoby to Zgryzota, Rozpacz, Smutek i Złość. Natrętna myśl nasuwa Malczewskiemu ohydne akcesorium Śmierci, takie, jakie malowano w klasztornych uprzytomnieniach plastycznych znikomości doczesnego żywota, i robactwo.

W ustach mieszka wesołość – w oczach myśl zgadnienia –  
W głębi to, w głębi serca, robak przewinienia.

W stepach ukraińskich myśl przeszłości, zanurzysz się w ziemię, znajdzie broje zardzewiałe, kości nie wiadomo czyje, popioły z ziarnem pełnym lub „robactwo rozłęgłe w świeżym jeszcze ciele”. Robaczkliwy jest rdzeń kolczastych łodyg Zgryzoty, „robak się łęgnie i w bujnym kwiecie”. Na pobojuwisku „wpośród trupów, co już robak wierci, wąsate twarze sobie wieszają ich śmierci”. Refleksja na widok trupa Marii:

[...] oh! jakże zmieniona!  
Czy już się będzie robak tulić do jej łona?

A w epilogu poematu jak robak świętojański – więc jak fosforyzujące próchno – świecą oczy złamanego nieszczęściem Miecznika.

Drugim barokowym poetą XIX wieku jest Słowacki, zwłaszcza w okresie mistycznym (mistycyzm to także jedna z cech psychiki baroku). W poematach takich jak *Dantyszek*, *Ksiądz Marek*, czy *Sen srebrny Salomei* natręctwo pewnych wyobrażeń – przy wulkanicznym, erupcyjnym, przeładowanym słowami strumieniu języka – występuje bardzo wyraźnie. Powtarzają się wciąż obrazy trumien i puszczeli, uciętych głów, lir żebraczych, rozlanej krwi, pożarów, błyskawic, piorunów, płomieni, trupów, powtarzają się kolory: czarny i czerwony, powtarza się melodyka wierszy. Śmierć, szal mistyczny, piekło – oto isticie barokowe zagadnienia poematów Słowackiego w tym okresie. Słowacki duchowo był predysponowany do manieri baroku. Umiał niesłychanie wiernie i subtelnie wczuć się w ducha kazań barokowych (kazanie księdza Marka z puszczelami i czaszkami na ambonie w *Księdzu Marku*), w ducha pieśni konfederackich i kołęd szlacheckich. Właściwie on pierwszy wy dobył na jaw ze złóż podświadomości owe skarby mistycyzmu, jakie spoczywały pod rubaszną powłoką kontuszowego szlachcica, tak jak Chopin z prostego tonu karczemnej lub pastuszej piosenki wywiódł bezmiernie piękną i bogatą muzykę narodu.

W nowszych czasach barok objawił się w polskim Szekspirze – Wyspiańskim. Jak Szekspir – poeta tak w istocie swej barokowy (dramaty, okropności, problemy śmierci i tym podobne, w *Hamlecie* makabryczno-groteskowa scena z grabarzami i czaszką błazna, jakby ilustrująca „tańce śmierci”) stworzył narodowy dramat angielski związany organicznie z genezą teatru pod Globusem – tak Wyspiański stworzył nowy, rdzenie i samorodnie polski typ dramatu-misterium, którego arcydziełem jest *Wesele*. Zauważono (K. Krobicki<sup>71</sup>), że uderzającą cechą w twórczości Wyspiańskiego jest perseweracja muzyczna, skłonność do powtarzania pewnych zdań, pewnych nut słownych i melodyjnych. Poprzez takie dzieła dramatyczne, jak *Legion*, *Wesele*, *Wyzwolenie*, *Akropolis* przewijają się jako motywy przewodnie pewne stałe refreny, przemożna, niewoląca słuch muzyka pewnych zdań i słów.

Cechy perseweracji słowno-muzycznej można zaobserwować również u Żeromskiego. Barokowość stylu tego pisarza zanalizowano już

<sup>71</sup> Stanisław Wyspiański, *Wesele: dramat w 3-ach aktach*, oprac. Kazimierz Krobicki, Kraków [po 1927].

dokładnie (Adamczewski, *Serce nienasycone*<sup>72</sup>). Nienasyconość, chłonność słuchowa i wzrokowa, pasja, miłośnictwo grymasów cierpienia i szyderstwa, jaskrawe kontrastowanie ohydy i bólu życia z jego błazeńskim, rubasznym obliczem – oto rysy, które charakteryzują Żeromskiego, każąc zaliczyć go do pisarzy barokowych XX wieku.

Skala barokowej literatury nowszych czasów jest bardzo szeroka. W jej rejestrach znajdują się dzieła typowego barokisty Kadena-Bandrowskiego, którego język, zmanierowany, gadatliwy, nie pozbawiony tu i ówdzie piękności, osłania pustą glinę. Moralizatorstwo nieznośne, ale lepsze od panegiryków na cześć Piłsudskiego lub Chopina; ten ostatni jest tylko pustosłowiem – niczym więcej. Jest tam kształt, ale nie ma duszy.

Innego rodzaju barokowość cechuje twórczość Adolfa Nowaczyńskiego, satyryka-pamflecisty.

Barok ostatnio znów zapanował w literaturze polskiej. Jednym z jego objawów są powieści autobiograficzne Zegadłowicza (?).

Barok można by nazwać stylem polskim.

### O książkach

Henryk Skirmuntt, *Żywe fotografie*, Płock 1927. Stron 19.

...Myśli broszury można by ująć szczerzej w taki na przykład dialog:

– Milcz, chamie, chłopie białoruski, ja się mowy swojej dla zachodniej kultury wyrzekłem, mitrę swoją Polsce pod nogi rzuciłem, a ty co?

– Chcę stworzyć nową własną kulturę narodową.

– Nie stworzyłeś jej dawniej, to milcz teraz!

– Chłopem pańszczyźnianym byłem!

– Tym gorzej dla ciebie, buntujesz się, wicherzycielem byłeś i jesteś, prawa nie uznajesz. A prawo moje historyczne bić ciebie po mordzie. Wzniosłeś to jaki kościół? Jezuickie kolegium? Pijarski konwikt? Dziada mego prababka, kasztelanka, dom boży wzniosła, a ty? Cóżes ty robił wtedy, chamie jeden?

– Kościoła nie wzniosłem, bo jasny pan pieniądze trzymał. W karczmie z rozpaczy piłem, kultury nie miałem, bo mi jasnie pan jej nie dał, choć sam posiadał.

<sup>72</sup> Stanisław Adamczewski, *Serce nienasycone. Książka o Żeromskim*, Poznań 1930.

– Więc uznaj zasługi moich dziadków i babek, milcz, podziwiał i słuchaj! Bo pan zawsze panem, a cham chamem na wieki wieków amen.

Do siebie mrucząc:

– A, chamy, skurczybyki, krzywdzić mnie chcą, majątek zabierać, równymi mnie, com mitrę swoją książęcą Polsce ofiarował, czynić się będą! A do chlewa, a do gnoju, a do wideł!

Broszurka Skirmuntta jest tym znamiennejsza, że według zapewnienia autora, przytoczone w niej poglądy i przekonania występujących tu postaci „są najczęściej zaczerpnięte słowo w słowo z pozostałych po nich listów”. Są to zatem poglądy nie tylko samego autora, ale i tej warstwy, do której on się zalicza.

Całą broszurkę przenika ton melancholii, zjadliwej niechęci do teźniejszości, wpatrzenie się w umarłą na zawsze przeszłość, pragnienie galwanizacji archaicznych i anachronicznych stosunków społecznych, pietyzmu dla wyłączności kastowej, samouwielbienia. Brak jakiegokolwiek jasnej myśli, cel życia określany mętną frazeologią poetycką (wyświechtaną do cna i obmierzle banalną) jako „duch”, „ofiara”, „czyn”, gdy chodzi o ordynarny interes materialny i niezdolność do poniesienia ofiary z osobistego dobrobytu na rzecz ogółu. Jeśli bohater broszury uśmiecha się, to oczywiście jest to „gorzki uśmiech”.

Niezmiernie ciekawy dokument życiowego bankructwa kasty szlachecko-ziemiańskiej, która, jak francuska arystokracja, niczego nie zapomniała i niczego się nie nauczyła. Bankructwo to, rozpoczęte w drugiej połowie XIX wieku procesem uwłaszczenia chłopów, dzisiaj znajduje się w ostatniej fazie rozwoju. Obrona straconych pozycji: rozbitkowie armii hrabiego Henryka, której słabość przeczuł i widział genialnie hrabia Zygmunt Krasieński, choć w wyciągnięciu z niej wniosków ostatecznych stchórzył. Wyrodnienie postępuje: w ostatnich latach przed zniesieniem poddaństwa chłopów szlachta miała jeszcze Krasieńskiego. Dzisiaj broni jej grafoman Skirmuntt.

„A ja mówię – pisze pan Skirmuntt – umarli mają rację, i li tylko umarli prawo mają do zabierania głosu w spawach najświętszych, najważniejszych... bo śmierć, a tym bardziej śmierć męczeńska, daje im stygmat i autorytet, którego żywi mieć nie mogą”.

Zostawmy tedy tę kastę umarłym, bo do nich już ona należy. My wolimy słuchać głosu życia.



\* \* \*

Bywa, że przejdziesz ulicą koło ciebie i spojrzysz ci w oczy – a to spojrzenie zapadnie ci w duszę na zawsze. Bywa, że ktoś minie cię obojętnie z twarzą surową, napiętnowaną stygmatem samotności – a ty już nigdy nie zapomnisz o tajemnicy, o którą się otarłeś.

Dawno temu, gdy byłem jeszcze dzieckiem, widywałem na ulicy pewnego mężczyznę w sile wieku, w kurtce wojskowego kroju. Twarz jego była szara jak ołów i usiana czarnymi punkcikami; było w niej coś nieludzkiego. Może osmałił go tak wybuch prochu. Wtedy mówiono mi, że człowiek ten został rażony piorunem i dla zadośćuczynienia starym przesądom zakopany żywcem na jakiś czas w ziemi. Dla mnie był to ktoś, kto wstał z grobu, poznawszy rzeczy ostateczne.

Kiedyś, mając lat czternaście lub piętnaście, zaszedłem do parafialnego kościoła w Skierniewicach wieczorem. Odbywały się właśnie nieszpory. W ciemnej rotundzie kościoła płonęły tylko świece, a ciżba ludzka lęklwym mručeniem odpowiadała księdzu czytającemu litanie. Gdy padło ostatnie „Kyrie elejson” i ostatnie „amen”, na kazalnicy ukazał się mnich w brudnym habicie. Nie wiem, skąd przybył i nie pamiętam dokładnie, co mówił. W pamięci mam tylko jego postać wychyloną z ambony, jego pałające oczy i głos potężny, przeniknięty dziką namiętnością i wzgardą. W mrok i przerywane kaszlami milczenie tłumu leciały jak żagwie słowa potępienia: „Na kolana, bydłota! W prochu czołgając się po tym oto klepisku, wyznawajcie grzechy! Nikczemnicy, którzy żyjecie w zwierzęcym bezwstydzie, w plugastwie rozpusty diabelskiej, wiedzcie, że nadejdzie Dzień Sądu, dzień straszny, w którym martwi powstaną z grobów i staną obok żywych, a Bóg, sędzia sprawiedliwy, wejrzy w wasze postęпки!” Ozwały się szlochły żebraczych bab. Stałem przerażony. Te proste słowa, te karczemne wyzwiska, brutalne obelgi, które świszczały w świątyni jak uderzenia bicia i postać kaznodziei-mnicha, potraçały we mnie uśpiony instynkt satanistyczny. Nieraz księża na kazalnicy byli jak umarli z przewróconymi oczyma, z woskowymi skrońmi. Ale ten wzniecał burzę, sypał wulkanicznym deszczem – żył gwałtownie i namiętnie, jak prorocy Starego Testamentu. W owej chwili uczułem, że grzech musi być straszny i pociągający jak przepaść.

A raz około tego czasu odwiedziłem razem z rodzicami mieszkanie pewnego starego pana, który posiadał stare sprzęty i obrazy. Mieszkanie jego przesiąknięte było wonią stęchlizny i kurzu. W półmroku świeciły złożone ramy, tarcze zegarów kominkowych były martwe, nie ożywiało ich stukanie ani bicie. Sprzęty różnych epok i stylów stały w bezładnym chaosie, każdy ozdobny, inkrustowany, rzeźbiony, a mimo to brzydki w swej bezcelowości. Ów pan był to suchy, niski staruszek w staromodnym surducie, w sztywnym kołnierzyku – ciało spróchniałe, serce stoczone przez kornika zbierackiego egoizmu. Już wtedy zadałem sobie pytanie, jaki jest sens tego życia – i właściwie nie życia, lecz tylko egzystencji?

Jednej nocy jechałem pociągiem ze Lwowa do Warszawy – w czasach studenckich. Ciasno i duszno było w wagonie trzeciej klasy. Światło gazowej lampy raziło oczy, a rozmowy, ziewania i monotony stukot kół wozu na szynach usypiały i nużyły ciało i duszę. Trwałem więc jakby w zawieszeniu pomiędzy jawą wysyłającą swe gazowe jasne promienie a mrukiwym i stukotliwym śnieniem, gdy pociąg zatrzymał się na jakiejś stacji, zdaje się w Żółkwi. Do wagonu wsiedli nowi pasażerowie. Spojrzawszy na intruzów z nienawiścią, przymknąłem znużone powieki. Ruszyliśmy znowu. Siedziałem wsparty plecami o ławkę i dawałem się ponosić dzikim, rozigranym gorączkowo widziadłom pół-snu. W pewnym momencie coś zmusiło mnie do otwarcia oczu. Ujrzałem przed sobą kobietę. Może uległem złudzeniom nocy, gry światła i mroku – ale twarz tej kobiety wydała mi się nieskazitelnie piękna. Sylwetka smukła w czarnym kostiumie – pod tą powłoką musiały być kształty praksytelesowe. Obok niej stał mężczyzna w jasnym raglanie, w binoklach, widocznie mąż, bo dłonią poufale oparła się na jego ramieniu. Spostrzegłem, że rzuciła na mnie spojrzenie i że odwróciwszy się, czuje mój wzrok na sobie. Przymknąłem znów senne oczy. Pociąg zaczął zwalniać i zatrzymał się. Rawa Ruska – pomyślałem i ocknąłem się. Ci dwoje wychodzili. Nagle przeszył mnie wstrząs błyskawiczny; ujrzałem nad sobą jej oczy. Była to jedna chwila, a jednak wydawała mi się nieskończenie długa. Z oczu tej kobiety wyjrzało całe jej prowincjonalne życie pani mecenasowej lub doktorowej – one mówiły wyraźnie pierwszemu lepszemu: „Nie wiem, kim jesteś, ale szukam cię, ponieważ nie jesteś moim mężem!” Tyle było bezwstydu w tym niemym wyznaniu, że uczułem, jak krew odpływa mi

z twarzy. Ale ona odwróciła się już i podążyła za mężem, który otwierał drzwi wagonu.

### Mistyk

Raz przelotnie bawił u nas w domu w Skierniewicach filozof Wincenty Lutosławski, wówczas profesor uniwersytetu w Wilnie. Było to po odczycie profesora w gimnazjum, gdzie przed nami sztubakami rozwijał on myśli o mistycyzmie mickiewiczowskich *Dziadów*, o symbolicznej liczbie „44”, o Towiańskim i tak dalej. Lutosławski, jak przystało na filozofa, był brodaty. Ubrany był w kurtkę kroju pół-wojskowego z kołnierzem zapinanym pod szyją. Pamiętam go dobrze, jak stojąc w pokoju stołowym wysypywał na stół przed moim ojcem stos książek. Były to jego własne dzieła o mistycyzmie, o Eleusis, o Mickiewiczu i towiańszczyźnie, o reinkarnacji. Ten mistyk umiał chodzić koło swoich interesów. Teraz właśnie sprzedawał swoje książki jak wędrowny kramarz, zalecając je memu ojcu do szkolnej biblioteki: *Nieśmiertelność duszy i wolność woli*<sup>73</sup>, *Eleusis*<sup>74</sup> (dzieje stowarzyszenia „poczwórnej wstrzemięźliwości” założonego w Krakowie w epoce Młodej Polski i Zielonego Balonika przez Lutosławskiego), *Jeden łatwy żywot*<sup>75</sup> (życiorys własny), *Logika*<sup>76</sup> – książeczki ciekawe, ładne, niedrogo, brać i wybierać! Filozof-mesjanista, miłośnik platońskiego ideału, odjechał zadowolony.

### Lwów. 6 kwietnia 1937

Piszę to w późną noc (niedługo chyba zaczniesz szarżyć za oknami)... Od czasu, gdy zdałem maturę, to jest od ośmiu lat, pracuję dzień w dzień. Nawet jeśli przypadkiem nic nie robię, to nie mogę z czystym sumieniem powiedzieć: „ten dzień jest mój i wolno mi nie myśleć o niczym”... Ileż godzin przesiedziałem w ciągu tych lat ośmiu w bibliotekach, archiwach, ile słonecznych dni zmarnotrawiłem, pożerany suchą gorączką

<sup>73</sup> Wincenty Lutosławski, *Nieśmiertelność duszy i wolność woli*, Warszawa 1909.

<sup>74</sup> *Eleusis. Towarzystwo poczwórnej dożywotniej wstrzemięźliwości: od alkoholu, tytoniu, kart i rozpusty*, Kraków 1903.

<sup>75</sup> Wincenty Lutosławski, *Jeden łatwy żywot*, Warszawa 1933.

<sup>76</sup> *Logika ogólna czyli Teoria poznania i logika formalna*, oprac. Wincenty Lutosławski, Londyn–Kraków 1907.

kolekcjonera myszką cuchnących wiadomości, przypadający jak szczur-księgojad do wytartych, wyślinionych kartek, do wyszarżanych grzbietów – z rozognioną twarzą, z jakąś nienasyconą chciwością! Jestem już bardzo zmęczony pracą, której nie przerywałem prawie wcale, z wyjątkiem godzin snu i jedzenia, przez przeszło dwa (a może nawet już trzy, nie chce mi się liczyć) tygodnie. I jakież mizerne wyniki!

Miałem tylko cztery dni w ciągu owych lat ośmiu, kiedy czułem się wolny od tego demona, który mi szeptem wciąż: „masz robić to, masz robić tamto, bój się Boga, popatrz, która godzina i ty jeszcze tego nie zrobiłeś! A pamiętaj, jutro rano masz pójść do biblioteki. A po południu do Instytutu. A wieczorem masz skończyć tamto. I napisz do tego lub owego, że owszem, że bardzo chętnie podejmiesz się tej roboty! Cóż ci szkodzi wziąć tę robotę? Przecież i tak żadnej naprawdę jeszcze nie skończyłeś. Robisz cztery prace równocześnie, weź i piątą!”

Te cztery dni, w których nie słyszałem głosu tego łajdaka, były w zeszłym roku, w lipcu, w Zaleszczykach. Przyjechałem z Worochty bez walizki, nawet bez teczki, niby na jeden dzień. Nawet bez koszuli na zmianę! Był straszliwy upał, a w Zaleszczykach zawsze jest takie nie-ruchome, rozżarzone do białego powietrze. Pomijam szczegóły pobytu w tym miasteczku (z którym łączą mnie wspomnienia z najodleglejszych lat dzieciństwa) i wycieczek, które stamtąd robiłem na Seret i za Dniestr.

### **Jan Leyko**

W roku 1930, zbierając materiały do monografii historyczno-etnograficznej powiatu mieleckiego, rozesłałem za pośrednictwem inspektoratu szkolnego do wszystkich kierowników szkół powszechnych w powiecie stosowny kwestionariusz. Odpowiedzi były nieliczne, ale jedna z nich była czymś więcej niż prostym wypełnieniem punktów kwestionariusza. Autor tej odpowiedzi pisał: „W uprzejmej odpowiedzi przesyłam wypełniony kwestionariusz Dulczy Wielkiej. Gdyby były potrzebne wiadomości o samym Mielcu, jak właściciele dawni Mielca, zabytki, wzmianki z herbarzy, rodziny i ludzie zamieszkali niegdyś w Mielcu, podania czy zdarzenia, jako też domysły dające impuls do poszukiwań, mógłbym nimi służyć z największą chęcią, gdyż rzeczy te interesują mnie osobiście. Czy nie organizuje się muzeum regionalne? Gdyby tak, to mógłbym się stać

użyteczny. Prosiłbym uprzejmie o wymienienie komitetu. Z wysokim poważaniem, Jan Leyko, kierownik szkoły, Dulcza Wielka, p. Zdżarzec przez Czarną. 8 marca 1930”.

Oczywiście zaraz odpisałem z prośbą o współpracę. Za pierwszym listem, jeszcze suchym i oficjalnym, poszły dalsze, w miarę zacieśniania się znajomości – coraz szersze, coraz subtelniejsze, coraz czarowniejsze. Odkryłem w tym nieznanym ogółowi nauczycielu wiejskim człowieka, który nie tylko umiał opowiedzieć mnóstwo ciekawych rzeczy o dawnych ludziach, rzeczach i tradycjach, ale też czynił to z niezwykłą subtelnością, z wdziękiem i melancholią poety i z mistycznym wizjonerstwem marzyciela-samotnika. Organizacje nasze duchowe odczuły się i pociągnęły wzajem głęboko. Zanim poznaliśmy się osobiście – zresztą nie to fizyczne spotkanie się dwóch ludzi było najważniejsze – zawiązało się w listach naszych zadziwiające porozumienie psychiczne. Dziwna istotnie była ta przyjaźń dziesiętnastoletniego chłopca z czterdziestoletnim człowiekiem żyjącym wciąż jeszcze w epoce symbolistycznej nastrojowości *fin de siecle`u* i Młodej Polski, w dodatku kryjącym w sobie bolesną tajemnicę, tragiczne pęknięcie czy skrzywienie, o którym napomykał mi nieraz ostrożnie, ale dość przejrzyście. Mimo to, skłonny do neurastenii i marzycielstwa student, uprawiający wówczas, obok samostnych poszukiwań naukowych, także poezję, umiał dostosować się do wysokiego tonu owej jedynej w swym rodzaju korespondencji, w której wiolowy głos melancholii wtórował ekstatycznemu krzykowi nadziei, a upiorna Meduza bez woli nieraz rozjaśniała usta grymasem satyry. „Koniecznie chciałbym mieć W. Pana u siebie, pokazać coś ze starzyzny i zagrać jakąś starą piosenkę, na przykład *O mój aniele* na moim «Żyrafenfiglu». Akcesoria będą tu również groteskowe. (Pojedynek na śmierć pretensji à la Madame Płachcina z codziennością współczesną)”.

Jan Leyko pochodził ze starej rodziny mieszczańskiej w Mielcu, której nazwisko spotykałem na kartach ksiąg metrykalnych tamtejszej fary już przed rokiem 1724. W czasie, gdy mieszkałem w Mielcu, jeden z Leyków był właśnie burmistrzem miasta. Zdumiewająca była wszechstronność artystyczna kierownika szkółki wiejskiej w jakiejś tam Dulczy Wielkiej. Poliglota (przysłał mi swoje przekłady poezji francuskich, znał oprócz francuskiego włoski, hiszpański, angielski, był nawet jakiś czas

nauczycielem języka francuskiego w gimnazjum w Mielcu), rysownik, muzyk, poeta (miałem odeń wiersze jego, w formie nie zawsze szczęśliwe, ale pełne prawdziwej poezji, w stylu zbliżone do wierszy Staffa), wyrafinowany bibliofil-esteta, miłośnik starych mód, kupujący za drogie pieniądze zeszlówieczne albumy mód paryskich z planszami kolorowymi strojów z epoki romantyzmu i tworzący nawet według stylu epoki nowe kreacje akwarelą na brystolu... (przysłał mi kilka takich oryginalnych kompozycji kostiumowych ściśle według stylu *Costume parisien*).

Siły, decyzji, woli w nim nie było. Człowiek przewrażliwiony, miękki, otchłannie uczuciowy, pływał na falach zaziemnych nastrojów, zamieniając pasje w marzenia niedościgłe. Jan Jakub Rousseau, któremu kazano uczyć dzieci chłopskie w Dulczy Wielkiej, mieć żonę i córkę, pisać jałowe sprawozdania do inspektoratu. Skargi na pęta obowiązku, na szarżę i pospolitość codziennego życia mieszają się w jego listach z akcentem rezygnacji i ascetycznego spokoju. Duch jego obracał się w kręgach rokokowego hedonizmu, wykwintu i żartobliwych niuansów, romantycznego sentymentu i schyłkowego symbolizmu, aby w końcu opaść w głębinę skrajnego samotnictwa i mistycyzmu.

Obdarzony znacznym talentem rysowniczym (główna pasja jego życia), rysował dla mnie rekonstrukcje dawnego podcieniowego rynku w Mielcu, barokowego klasztoru trzynarży, podcieniowych domów, odtwarzał piórkiem stroje mieszczan mieleckich, dawne talerze, *fermoir* mieszczański z epoki popowstaniowej, godła cechowe, karty tytułowe swoich starych książek, kopiował z *Okolic Galicji* Stęczyńskiego z roku 1847<sup>77</sup> widoki Mielca i zamku w Rzemieniu, przysyłał mi teksty i nuty pieśni śpiewanych niegdyś w Mielcu, wszelkie tradycje i wiadomości historyczne, szczegóły genealogiczne, dokumenty i tak dalej, a czynił to wszystko z takim zamiłowaniem tych tradycji i zabytków, z tak idealnym zrozumieniem i odczuciem przeszłości, że stawał się prawie współautorem zamierzonej przez mnie i częściowo napisanej istotnie monografii.

Grywał na fortepianie; muzyka istniała dlań właściwie jedna tylko: Chopin, ale nie słyszałem go, niestety, grającego, gdyż nie miałem

---

<sup>77</sup> Maciej Bogusz Stęczyński, *Okolice Galicji*, Lwów 1847–1848.

spodobności odwiedzić go w Dulczy Wielkiej, mimo wielokrotnych jego zaproszeń.

Osobiście spotkałem się z Leyką dwa razy tylko, raz w domu mieszczańskim jego ciotki, za drugim razem złożył wizytę w naszym domu.

### Różne myśli

Z jarmarcznych latarni magicznych, rzucających cienie na rozpostarte prześcieradła, wysnuła się idea fotografii i filmu.

Idea popularyzacji muzyki, szerzona dzisiaj przez radio, realizowana była wpieryw przez instrumenty-samograje, mechaniczne zabawki od-pustowego tłumu: katorynki, pozytywki, szafy grające, gramofony.

Z drzeworytu urodził się druk. Powstał w tej samej atmosferze i z tych samych tendencji, co drzeworyty Dürera ilustrujące Pismo Święte dla prostaczków (Biblia Pauperum). W stosunku do rękopisów druk był tym, czym mechanizacja tkactwa w stosunku do samodziałów. Druk = drzeworyt składany był sztuką rewolucyjną, demagogiczną, obliczoną na masy, tanią. Druk zwulgaryzował literaturę, oświecił masy. Niewątpliwie wielu współczesnych epoce pierwszych druków musiało gardzić tym barbarzyńskim wynalazkiem dla plebsu (stosunek miłośników teatru do kinematografii, miłośników estrady muzycznej do radia). Ale ten plebejski wynalazek zrewolucjonizował samą ideę literatury, czyniąc z niej narzędzie walki o piękniejsze oblicze świata, gdy dotąd była ona bierną obserwatorką życia.

\* \* \*

W Polsce przyszłej ma być zrealizowana sztuka narodowa w proroczym ujęciu Norwida.

Norwid podstawę tej sztuki widział w rozwijaniu ludowego pierwiastka we wszystkich działach sztuki i wiedzy – do ludzkiego. Proponował (w *Memoriale o młodej emigracji*) urządzenie konkursów na podręczniki rozwinięte z zasad myślenia ludowego. Więc na przykład „na elementarz plastyczno-postaciowy, ułatwiający rozwinięcie chłopskiego rozumu w obowiązujących go kierunkach”. Dalej: na elementarną książkę geodetyczną z rozumu chłopskiego rozwiniętą, na elementarną botanikę z tradycji ludowych, elementarną astronomię z tradycji ludowych „klimakterycznych”,

elementarną mechanikę z chłopskiego rozumu i tradycyjnej praktyczności ludu – i tak dalej. Przewidywał Norwid (w przypisku do *Promethidiona*), że „wyśmiewane ludowe kantyczki częstochowskie ważną rolę w sztuce narodowej odegrają”, i sam napisał *Częstochowskie wiersze*. Sztukę pojmował jako pracę i dlatego widział sztukę we wszelkich umiejętnościach. Przewidywał Polskę „przemienionych kołodziejów”. Najlepiej też rozumiał istotę muzyki Chopina, określając ją jako:

Podnoszenie ludowych natchnień do potęgi przenikającej i ogarniającej Ludzkość całą – podnoszenie ludowego do Ludzkości nie przez stosowania zewnętrzne i koncesje formalne (to znaczy: nie przez ludowe stylizacje – S. K.), ale przez wewnętrzny rozwój dojrzałości... [C. K. Norwid, *Promethidion. Epilog*, roz. V]

### **Malarstwo**

Dürer – malarz charakteru; w jego sztuce dominuje moment woli, typowy dla niemieckiego ducha narodowego, woli i decyzji. Dürer to niemiecki renesans, który jest renesansem gotyku. W drzeworytach i miedziorytach Dürera i innych artystów niemieckich XV i XVI wieku uderza gotyckie stłoczenie, kolczastość, drobiazgowość rysunku. Drzeworyty Dürera *Chrystus w Ogrójcu* (temat opracowywany przezeń kilkakrotnie) = moment brzemienny decyzji; *Archanioł Michał w walce ze smokiem* = moment napięcia, decyzji i woli zwycięstwa. Miedzioryt *Rycerz, Śmierć i Diabeł* = stanowczość, nieugięta wola rycerza wobec Diabła i Śmierci.

Idea równości wszystkich ludzi wobec Śmierci w sztuce niemieckiej tego okresu. *Tańce Śmierci* Holbeina, *Kobieta i Śmierć* Hansa Baldunga Griena (1517).

Michał Anioł = pierwszy twórca baroku.

Dürer = intelektualizm niemiecki.

Rubens = sensualizm flamandzki.

Narodową sztuką niemiecką jest gotyk, mimo że katedra gotycka narodziła się w Île de France. Renesans niemiecki ma charakter ewolucji sztuki gotyckiej. Niemcy po dziś dzień używają pisma i druku gotyckiego. Ostre, oszczędne litery gotyckie odpowiadają ich usposobieniu.



Narodową sztuką narodów romańskich jest sztuka klasyczna, grecko-rzymska, odrodzona jako renesans, później barok, rokoko, empire, secesja. Graficzna strona książek francuskich czy włoskich: jasność, przejrzystość, zwięzłość, dobry rozkład dużych lątyńskich czcionek.

Wśród narodów słowiańskich Polska przedstawia fenomen aliażu dwóch pierwiastków: łącińskiego z orientalnym na podłożu rodzinnym, słowiańskim, przy czym „orientalizm” wyraża tu świat kultury grecko-bizantyjskiej przesyconej silnie wpływami turecko-muzułmańskimi. Składnię swoją nawet język polski ustalił według wzoru łącińskiego. Sztukę polską dawną najwybitniej charakteryzuje barok, odpowiadający polskiej naturze psychicznej.

### **Z listu do Narzeczonej. 15 lipca 1939 ze Lwowa**

Moja Odyseja skończyła się nareszcie. Jak potępieniec tłukłem się nocami i dniami po świecie, dręcząc się niemal umyślnie i niewywcza-sem podróŜnym i niespokojnością o Ciebie! Siedząc teraz we Lwowie rozpamiętywam dwa tygodnie tej tułaczki i wszystkie jej obrazy...

...W Greckowszczyźnie bawiłem tydzień! Spędziłem czas głównie na pisaniu, niestety, a także na odwiedzinach sąsiednich dworów. Byliśmy więc w Oboziszczu u państwa Leonów, w Kątach u państwa Achmatowiczów (u których bawi obecnie pan Kama Ibrahim...), w Bohdanowie u Ruszczyców (młodych, ojciec ich, znakomity malarz, profesor Uniwersytetu Wileńskiego Ferdynand Ruszczyk, umarł w zeszłym roku), wreszcie w Rowach u pani Marii Kryczyńskiej, gdzie było przyjęcie i zabawa taneczna i gdzie traktowałem poważnie (w ogrodzie) z panem muftim de rebus Tartaricis: jako to u mułły Woronowicza<sup>78</sup> w Lachowiczach diabeł kominem wylatywał i jak to pewien „musiulmanin” modlił się, skacząc przez kłodę i mówiąc: „To Tobie,

<sup>78</sup> Ali Ismail Woronowicz (1902–1941) – urodził się w Lachowiczach, był synem Ismaila i Aminii z domu Szynkiewicz (siostry muftiego Jakuba Szynkiewicza), studiował orientalistykę na Uniwersytecie im. Jana Kazimierza we Lwowie, a następnie teologię muzułmańską na Uniwersytecie Al-Azhar w Kairze. W latach 1937–1939 był imamem w Warszawie. Po wybuchu drugiej wojny światowej przebywał w Klecku (wtedy już na terenie ZSRR), gdzie pracował jako nauczyciel w szkole białoruskiej. W 1941 roku aresztowany przez NKWD i oskarŜony o szpiegostwo. Przebywał w więzieniu w Baranowiczach. Okoliczności jego śmierci nie są znane.

Boże” i „To mnie, Boże”, a mimo to był takim świętym, że chodził po wodzie. Rozmowie przysłuchiwał się pewien lekarz, szwagier muftiego (ale chrześcijanin) i (jak to bywa z „mędrca szkiełkiem”) widział w znachorach (konkurentach!) tylko cynicznych oszustów, a w diabła nie wierzył. „Pan w to wierzy?” – rzucił złośliwie w stronę muftiego. „Proszę ja pana – odpowiedział mało elokwentny mufti – tiż my tylko tak rozpowiadajem... opowiadamy... tak cóż pan takiego...” I znowu (odwróciwszy się wyłącznie do mnie) o paproci zakłętej, o wodzie gotującej się w szklance pod wzrokiem znachora. „I pan w to wierzy?” – wciska się łajdak doktor. „Ależ proszę ja pana, toż my w innej plat-formie, płaszczyźnie znacysia, rozmawlajem... mówimy... Tak cóż pan znowu...” – broni się łagodny jak święty Mikołaj uczony mużułmański. Ale potem mogłem spokojnie „rozmawiać” z panem muftim przy stole biesiadnym, pijąc soczek zwany wiściówką ze złotego (dosłownie) kieliszka, jednego z trzech kieliszków podanych dla gości najdostojniejszych (*honni soit qui mal y pense*<sup>79</sup>).

Jedenastego bieżącego miesiąca wyjechałem przez Lidę i Łuminiec do Pińska. Pińsk bardzo ciekawy. Ogromny, trzypiętrowy gmach kolegium i kościoła jezuitów panuje nad miasteczkiem złożonym przeważnie z parterowych domków. Chłopi przywożą na targ siano, drzewo, ryby, owoce, krążki (zwoje) kory na łapcie i tak dalej, na łódkach i żaglówkach, bo całe miasto zwrócone twarzą ku rzece (Pinie i Prypeci). Był właśnie jarmark, coś w rodzaju odpustu, bo było to prawosławne święto Piotra i Pawła. Dużo nowych myśli dał mi pobyt w Pińsku. Rozmawiałem trochę z Poleszukami (wszyscy w łapciach, w brunatnych świtkach, dość dzicy), z szewcami z Dawidgródka etc.

Z Pińska – do Krzemieńca. Krzemieniec cudownie położony, śliczne stylowe domki, wspaniałe liceum (ogromny gmach w stylu jezuickiego baroku z elementami rokoko), góra Bony (z ruinami zamku), skąd przez lornetkę („lupe”, jak mówił stary Gerwazy, strażnik zameczyska, który mi

<sup>79</sup> *Honni soit qui mal y pense* (fr.) – Hańba temu, kto źle o tym myśli. Jest to dewiza Orderu Podwiązki. Według jednej z legend, zdanie to miał wypowiedzieć król angielski Edward III podczas balu w Calais, kiedy to jedna z dam zgubiła podwiązkę. Król miał zawiązać tę podwiązkę na własnej nodze, ustanawiając w ten sposób Order Podwiązki.

ją wypożyczał) oglądałem świat szeroki na pięćdziesiąt kilometrów. Między innymi widziałem zarysy sławnej Ławry Począjowskiej, do której prawosławne kruścijany idą, jak nasze do Częstochowy (idzie się kamienistą uliczką pod górę wśród płotów i ogrodów).

Oczywiście byłem i na cmentarzu tunickim, gdzie empire'owy pomnik na grobie pani Salomei, matki Słowackiego. Tam na mogiłach rosną drzewa owocowe: gruszki, jabłka, czereśnie, wiśnie, orzechy. Przypomniałem sobie pytanie Słowackiego w listach do matki: „Czy zasadziłaś już śliwkę na grobie babuni?” Ale nad grobem babuni rośnie romantyczno-sentymentalny płaczący jesion, a nie swojska gruszka czy śliwka. Czereśnie były tak kusząco czerwone i soczyste, że miałem ochotę je zerwać, ale jakiś lęk zabobonny nagle mną owładnął i nie śmiałem dotknąć ani jednego owocu.

Krzemieniec cały rozrzucony w długiej kilkukilometrowej dolinie wśród gór; domki jakby dzieciinne, jakieś szopki śmieszne z kolumnkami, z ganeczkami, po których jak (chińskie) cienie przesuwały się (nieproporcjonalnie) ogromne figury ludzi; i z dachami krytymi (popielatą) dachówką. Zmierzch zapala światło w tych domach, zegar na (wysokiej białej) wieży liceum bije późną godzinę – jest naprawdę pięknie. W jakiejś uliczce obok kościoła pofranciszkańskiego (dziś cerkwi prawosławnej), zstępującej w dół w łożysko rzeczki u stóp góry Bony, postój furmanek i dorożkarzy; szynk bucha światłem, odmęt namiętności kłębi się w ostrym zapachu koni, w pijanym ludzkim oddechu (w przekleństwach woźniców), wyziewach rysztołów. W dole pod Boną i Czerczą płynie niepokąźny wążutki potoczek Irwa (który jednak niebezpieczny się staje w czasie wiosennych roztopów). Słowacki upodobał sobie dźwięczniejszą (bardziej zwiewną) nazwę Ikwy, która (jest prawdziwą rzeką, ale płynie o kilka kilometrów za miastem).

Przenocowałem w hotelu („Bristol”!), w którym, wbrew tradycyjnym opiniom, nie było żadnych insektów, i cały dzień następny poświęciłem na zwiedzanie miasta. Byłem w liceum (tu między innymi wystawa ku czci Słowackiego, biblioteka etc.), dowiedziałem się, że jest to bardzo ciekawa organizacja harmonizująca oba stopnie nauczania: niższy i średni, w tym także zawodowy, prowadząca uniwersytety ludowe etc...

Byłbym pojechał i do Poczajowa, ale na przeszkodzie stanęły dwa fakty: 1. topnienie „forsy”, 2. burza i deszcz, który zepsuł (mi) całe popołudnie. Ostatecznie więc straszliwym kołowym pociągiem dotelepałem się do Kamienicy Wołyńskiej, a stamtąd nieco szybciej pomknąłem ku Lwowu.

Krzemieniec dał mi bardzo dużo, jeśli chodzi o mój stosunek do Słowackiego. Przede wszystkim – po prostu telegraficzne podłoże jego artystycznych zainteresowań. Pewne kontrasty. Element żydowski (getto). Szlacheckość = polskość, indywidualizm, jakże ciekawy (i jak wyraźnie odbity architektonicznie) w owych dworkach i domkach. (Oddziaływaniaskładnikówichemikówsłwiatacerkiewno-ukraińskiego. Grekokatolickie wyznanie matki Słowackiego. Obrzędy cerkiewne. Bazylianiski cmentarz z grobami rodzinnymi. Pieśni o Hryciu, o Potockim etc. „Wertep”, czyli szopka ruska, z której Słowacki, jak sam mówi, czerpał pierwsze szekspirowskie zapachy). Teatralność, dekoracyjność. Między innymi widziałem takie żydowskie zajazdy, w których ongiś (niewątpliwie) grywano sztuczki teatralne: drewniany dom z ogromną sienią w środku (lub z boku), w którą wjeżdżają pojazdy i furmanki. Moja mama opowiadała mi, że kiedy była dzieckiem, w miasteczku Próchniku pod Jarosławiem widziała przedstawienie w takim zajeździe. Para wędrownych aktorów grała sztukę *Szklanka wody*, najgłupszą w świecie, przy akompaniamencie rżących w stajniach koni. (Ławki były poczynione z prostych desek położonych na beczkach). Słowacki w jednym ze swych utworów, rozmyślając nad problemami teatralnymi, podkpiwa między innymi z takich teatrów (polskich) urządzanych w żydowskich zajazdach przez wędrowne kompanie aktorskie, gdzie indziej znów (w liście do matki) marzy, jak to będzie grywał w zajeździe krzemienieckim sztuczki dla matki napisane.

„Marzę sobie – pisze Słowacki do matki – jak to my kiedyś zamieszkamy w skromnym dworku z owocowym sadem, jak będziemy mieli co wieczór kilku miłych przyjaciół – a czasem pójdziemy do żydowskiej szopy, gdzie przy łożowych świeczkach będą włóczący się aktorowie grać komedijki umyślnie dla ciebie napisane – potem przy księżycu będziemy wracali do domu, a ty się, droga, jeszcze będziesz śmiała z jakiego Hrycia lub Hawryły.”

\* \* \*

„Polska nie zna samej siebie od strony swej mocy: posiada ona już bardzo znaczną wytrwałość w życiowej walce i bardzo małą tej wytrwałości świadomość” (Brzozowski St., *Legenda Młodej Polski*)<sup>80</sup>.

Wieki nieustannej pracy, zmyślnego budowania tam, cierpliwego czerpania wody z osuszanych zapadlisk wiatrowymi młynami i budowania dalekomorskich okrętów – wyrzeźbiły spokojną, silną duszę narodu Holendrów.

Wieki przewycięzania sił natury machiną, okrętem, koleją, wieki ćwiczenia się w zaradności i samopomocy (*Robinson Crusoe*) wykształciły charakter anglosaski.

Wieki rzemieślniczej pracowitości i organizowania życia w obrębie miejskich murów – odbiły się w duszy narodu niemieckiego.

Wieki pracowitej uprawy winnic i drzew morwowych i zbieractwa pieniędzy – w duszy narodu francuskiego.

A Polska? Wieki rycerskich zagonów, szlacheckiego próżniactwa, tańca i kuligów położyły piętno na jej charakterze.

Polska piastowska знаła jeszcze pracę. Jeszcze wyrąbywała wśród puszczy jodłowych swoje siedziby, jeszcze murowała klasztory i miasta, sadziła na stokach wzgórz klasztornych winnice, w rzekach kładła kamienne brody – mosty. Tę pracę upamiętniają nazwy pierwszych osiedli. Tyniec od „tynu” = muru, Ogrodzieniec, Grodzisko, Grójec = od ogrodzenia, Płock od płotu-palisady, Słupia od słupów. Brodnica = od brodu i tak dalej. Dalej różne Poręby, Zaręby, Trzebinie (ruski odpowiednik w Terebowli = Trembowli), Rudy.

Jeszcze rozpęd tej pracy trwał i po unii (drukarnie w różnych miastach podczas reformacji, fabryki luster, blachy i żelaza w Bodzentynie, huty, w których Batory odlewał działa na wojnę moskiewską, kopalnie soli w Wieliczce i Bochni, ołowiu i srebra w Olkuszu, marmuru w Szydłowcu), ale unia dała Polsce łatwo to, co należy zdobywać niezmierną pracą, jeśli nie ma osłabić się wola człowieka. Polska rozrosła się wszędy i wzdłuż, ale zyskawszy olbrzymie przestrzenie czarnoziemiu i pastwisk

<sup>80</sup> Stanisław Brzozowski, *Legenda Młodej Polski. Studia o strukturze duszy kulturalnej*, Lwów 1910.

Ukrainy i ogromne puszcze Litwy, zaprzestała pracy w głąb. Polak już nie pokonywał żywiołów przyrody toporem, oskardem czy młotem, ale wchodził w unię z nimi. Zostawiał im tę samą wolność, jaką dawał swoim prowincjom, a sam żył na ich marginesie. Cuda techniki rzadkie były w Polsce. Wybudowanie mostu stałego na Wiśle przez króla Zygmunta Augusta wzbudziło podziw i radosny wiersz Kochanowskiego *Na most warszawski*, a raczej na „nieujarzmioną Wisłę”. Wisła nieujarzmiona pozostała do dzisiaj.

Zaniedbano z czasem kopalnię srebra w Olkuszu – zalały ją podskórne wody. Kopalnię soli w Wieliczce, już w czasie najazdu Karola Grytiewa, przehandlowano Austriakom. Ustała praca w kuźnicach – hamerniach i ludwisarniach, czynnych za Stefana. Nieuregulowana Wisła, zasypany port Władysława IV w Puckiej Zatoce, nieopanowanie morskiego brzegu, nieosuszone błota Polesia – pozostały jako dokumenty choroby woli, toczącej naród po unii, tak jak blizny zostają po ospie.

Tradycję pracy podtrzymywały jeszcze tylko miasta. Stamtąd w XVI wieku wychodzili znakomici astronomowie (Kopernik), lekarze (Oczko), botanicy (Siennik, Marcin z Urzędowa), matematycy (Grzebski), filologowie (Parkosz). Nauki ścisłe mają warunki rozwoju tylko w środowisku miejskim. Nauczyciel miejskiej szkoły, chcąc odetchnąć powietrzem zielonych pól, wychodzi na przechadzki za mury i zbiera kwiaty i zioła, klasyfikuje je i rozbiera – powstaje botanika. Szlifierze diamentów tworzą soczewki do lunet i lup. Lieuwenhoeck, odkrywca mikrobów, był z zawodu kupcem w holenderskim mieście, z amatorsztwa zaś szlifował szkła optyczne. Nie dość podkreśla się rolę Gdańska i Torunia w rozwoju nauki polskiej. Pierwsi polscy samoistni pracownicy na polu nauki (Staszic, Śniadeccy, Surowiecki) wychodzą ze sfer wielkopolskiego mieszczaństwa. Czacki, choć rodem z Wołynia, jest potomkiem starej wielkopolskiej rodziny, i co ważniejsze, wychowuje się w Gdańsku (Chlebowski Br., *Pisma*, tom I, s. 77<sup>81</sup>).

Ale wiek XVII i czasy saskie rujną wszystko. Medycynę, która w XVI i na początku XVII wieku liczyła wielu przedstawicieli wśród

<sup>81</sup> *Pisma Bronisława Chlebowskiego*. T. 1, *Studia historyczno-krytyczne z zakresu dziejów literatury, oświaty i sztuki polskiej*, Warszawa 1912.

Polaków, opanowują obcy. Historiografię polską kontynuują Niemcy z Prus polskich (Braun, Dogiel, Lengnich, Schultz). Jeszcze w czasach stanisławowskiego oświecenia anonimowy autor broszury *Dzwon staropolski* z roku 1791 pisze: „My, Polacy, rzadko którego w tej sztuce z własnych rodaków liczymy doskonałego lekarza, ale pospolicie z zagranicy przybywający to tak ważne i delikatne sprawują u nas rzemiosło”. W trybunalskim ludnym Lublinie na pięciu lekarzy nie było wówczas ani jednego Polaka (jeden był Szkot czy też Irlandczyk, drugi – Francuz, trzeci – Włoch i dwóch Niemców) (Koźmian, *Pamiętniki*, I, 49–50<sup>82</sup>).

Praca była pojęciem nieznanym szlachcie tej epoki. „Pieniono się, sejmikowano, bawiono, hulano, jedzono, wyprawiano ucztę, wesela, imieniny, kuligi. [...] Wesołość i chęć zabaw była powszechna. O polityce nie myślano, chyba w Warszawie, stąd, gdy zapusty nadeszły, cała ludność szlachecka na prowincji ruszała się z swoich siedzib, najeżdżając się wzajemnie kolejno kuligami” (Koźmian, *Pamiętniki*, I, 129–130). A tak się działo w epoce reform, w czasach Sejmu Czteroletniego! Cóż mówić o anarchii czasów saskich, o owej pługawicy, która, jak średniowieczna „tarantella” z przemożną siłą psychozy, opanowała naród szlachecki.

Ale zaczynały się mnożyć oznaki zrozumienia, czym jest praca w życiu narodu. Świadczyły o tym fabryki Małachowskiego, Tyzenhauza, Jezierskiego, fabryki i kopalnie Staszica, kanał Ogińskiego.

\* \* \*

Gdy papież wzywał księcia krakowskiego, Leszka Białego, do udziału w krucjacie, książę odpowiedział, że trudno mu ruszyć się do Ziemi Świętej z powodu tuszy i nawyku do picia piwa, którego by mu w podróży zabraknąć musiało.

\* \* \*

Monomanie narodowe:

Francja = skąpiec, chciwość (Harpagon Molière’a, Ojciec [Goriot] Balzaca). Anglia = sportowiec, selfmademan (Robinson Crusoe).

<sup>82</sup> *Pamiętniki Kajetana Koźmiana obejmujące wspomnienia od roku 1780 do roku 1815*, Cz. 1, Warszawa 1907.

Hiszpania = fanatyk wiary (Książę Niezłomny Calderona, Don Kichot Cervantesa). Rosja = poszukiwacz absoulutu (Boga, sprawiedliwości – typy Dostojewskiego, Tołstoja). Polska = piniacz-procesownik (rejent i cześnik z *Zemsty* Fredry, szlachta z *Pana Tadeusza* – poematu o sporze prawno-majątkowym).

### 16 czerwca 1940

Pewnego dnia majowego do sklepu państwa Bukowieckich w Łowiczu przyszedł stary chłop z Kompiny i w rozmowie podniósł, że mogliśmy, Irka i ja, założyć w tej wsi sklepik spożywczo-kolonialny, że nie potrzeba do tego dużej gotówki, i że interes taki sownie się opłaca. Kiedy owego dnia powracaliśmy z Łowicza do Chęсна na piechotę, snuliśmy tę myśl dalej. Wydała się nam niezmiernie pońtna, kryła w sobie tyle nieznaných przeżyć. Myślą tą tak byliśmy oboje podnieceni, że późno w jasną miesięczną noc nie mogliśmy zasnąć. Dzisiaj projekt ten ożył na nowo. Byliśmy u nauczyciela w Chęśnie, pana Kalmana, i on wskazał nam Wyborów jako wieś, w której sklep byłby bardzo potrzebny. Wieczorem zapadła decyzja. Zakładamy sklep spożywczy w Wyborowie (wieś w pobliżu Chęсна). Co będziemy sprzedawali? Wszystko. Cukier, sól, pieczywo, papierosy i tytoń, pastę do obuwia, szkiełka do lamp, świece, łapki na myszy, lepy na muchy, bielidła, zeszyty, ołówki i tak dalej. Tysiące tęczowych rojeń: wiejski sklepik ożywiony fluidem entuzjazmu. Oczywiście na kapitał zakładowy będziemy musieli pożyczyc (bo swoich pieniędzy nie mamy prawie wcale), a potem spłacicmy. Trzeba będzie wynając pół domu z dwiema izbami: w jednej urządzi się sklep, w drugiej nasze mieszkanie.

Dziwne, cudowne losy życia! Urzędnik archiwum, pomocnik pomywaczki w kawiarni, robotnik ogrodowo-rolny, a teraz wiejski sklepikarz... I co dalej? Pamiętam, ileż to razy w okresie narzeczęństwa, wracając w nocy lub o świcie z Łowicza do Warszawy, marzyłem, ażeby przeżyć całą skalę życia, opaść na jego ciemne dno i być wyrzuconym na słoneczny brzeg wspanioną falą. Patrząc w świat zalewany ciemnościami nocy, w bukiety iskier rozsypywane przez lokomotywę myślałem, że dobrze byłoby być pastuchem krowim z obory lub dziadem-powsinogą chadzającym z torbą i kijem piaszczystymi traktami, sypiac w stodołach i budach



ogrodowych, oglądać rude, płomieniste brzaski i zachody, wsłuchiwać się w rytm wiejskiego życia mierzony paniem kogutów, skrzypotem studzien u wodopoju, powrotami stad z pastwisk i wieczornymi wołaniami pastucha. „Do do-o-o-ju! Do do-o-o-ju!” Zawsze szukałem szczęścia w samym odczuciu pulsu życia, w pojmowaniu cudowności własnego życia. Lubiłem mówić o swojej gwieździe, o posłusznych mi duchach, które w najbardziej krytycznych momentach przynosiły mi ratunek i pomoc. Chciałem być czarownikiem mocą wiary w niezwykłość własnego istnienia.

Czytałem kiedyś, może dwa lata temu, w jakiejś gazecie, w kronice policyjnej, relację o następującym wydarzeniu: szesnastoletni chłopak, uczeń gimnazjum, ucieka z domu rodzicielskiego zabierając z sobą nuty. W pozostawionej kartce oznajmia, że nade wszystko kocha muzykę, idzie więc na wieś, aby zostać organistą. Krótka, sucha notatka zawierała w sobie niezwykle silny nabój romantyzmu. Dusza tego chłopca jest pokrewna mojej: kocha Przygodę.

## 2 lipca

Wróciłem z Warszawy w niedzielę 30 czerwca z gorączką i dreszczami. Leżąc w łóżku rozmyślałem o różnych rzeczach. Niemiłe myśli spycham na dno i marzę o nowym przeżyciu, jakie nas oboje oczekuje: o naszym sklepie. Przychodzi mi na myśl sklep Mincla z *Lalki* i przypominam sobie bajkę Andersena, którą czytałem w latach dziecińczych. W tej bajce ubogi student-poeta mieszkał na poddaszu u bogatego kupca korzennego. Pewnego wieczora zszedł na dół do sklepu, aby kupić sobie miodu na kolację. Wzrok jego padł na papier, w który opakowywano mu towar: był to urywek z jakiegoś poematu. „Niech mi pan zawinie mniej miodu, a w zamian doda resztę tego rękopisu” – poprosił student kupca i z otrzymanym skarbem popieszył do swojej izdebki, aby do późnej nocy czytać przy blasku świecy. Czy tak dokładnie jest w bajce Andersena, nie przysięgnę, ale, zdaje się, podobnie. Były naprawdę takie czasy, kiedy w sklepie korzennym odkrywało się białe kruki bibliograficzne i archiwalne. W roku 1779 w sklepie kupca korzennego w Gdańsku odnaleziono rachunki mennicy bydgoskiej z czasów Zygmunta I. Staszic w *Uwagach nad życiem J. Zamoyskiego*<sup>83</sup>

<sup>83</sup> Stanisław Staszic, *Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego*, wyd. kryt. przygot.

sarkastycznie opisuje, jak to w pewnym starostwie w karczmie obok starościńskiej wódki leżały pod ławą wywoływy szlacheckich majątków i jak „brzydka żydowica” manifesty podskarbińskie i hetmańskie pod swoje szabasowe mace lepila. W czasie wojny światowej, w latach 1914 i 1915, gdy wskutek braku dozoru powtórzył się rabunek bibliotek i archiwów, znów pojawiły się w handlach opakowania ze starych ksiąg i aktów. W Chełmie kupcy żydowscy obwijali towar w karty wydarte z ksiąg liturgicznych z XVII wieku, w Strzemieszycach – w alegaty szlacheckie z heroldii Królestwa Polskiego ziemi radomskiej. Na makulaturę sklepową szły nieraz i poetyckie rękopisy, i dlatego Kochanowski, przesyłając w roku 1577 swoją *Odprawę posłów greckich* Zamoyskiemu, pisał, że już nie spodziewał się oglądania tej tragedii w druku i myślał, że zostanie ona „molom na pokarm albo na trąbki do apteki” [J. Kochanowski, *Dedykacja*, [w:] *Odprawa posłów greckich*]. Stąd też powstał nawet żartobliwy konwenans autorskiej skromności, że radzi się czytelnikowi użyć utworu w najgorszym wypadku pod placki. Już autorzy literatury sowizdrzalskiej z początku XVII stulecia podnoszą, dla zachęcenia czytelnika do kupna, że po przeczytaniu książeczki będzie miał z czego zrobić ładunki lub błony okienne czym zakleić. Klonowicz też woli oddać swe dziełka do druku, niż do kramu „na trąbki”.

## 22 lipca

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Dzień dobry państwu. Szczęść Boże państwu na nowym sklepie! Władysław Jędrzejewski się nazywam, mnie tu wszyscy dobrze znają...”

Włóczęga, wygłaszający nerwowo tę orację, stoi u wejścia sklepu i, macając kijem dookoła, gramoli się na schodki. „Panie sklepowy?...” – „Słucham?” – „Panie sklepowy... dlaczego pan nie posypie piaskiem schodków, tu się można wywrócić...” Ta zrzędząca, nudna figura ubrana jest w szare letnie palto, czarny surdut, kremową kamizelkę, szyja owinięta chustką, na głowie kapelusz, w jednej ręce omotany szmatami koszyk, w drugiej laska podkuta długim, ostrym żelazem. Twarz przekrwiona, z fioletowymi rumieńcami, nos czerwony, mętne, prawie ślepe oczy, siwa

kozia bródka. Tak by zapewne wyglądał rozpijaczony, upadły rycerz z La Manchy. Gorzałka bucha od niego jak z otwartego alembiku. Gadatliwy starzec, zakonserwowany w spirytusie jak muzealna jaszczurka, siada na podstawionym mu krześle pod drzwiami i rozpoczyna nudną pogawędkę, w której co kilka słów wtrąca ulubione swe pytania: „dobrze?”, „dobrze mówię?”, „Jędrzejewski dobrze mówi?” Co gorsza, za każdym razem trzeba mu poświadczyć, że dobrze mówi, inaczej pytałby bez końca.

Jędrzejewski do sklepu przychodzi nie po jałmużnę, ale jako klient taki dobry, jak inni. Owszem, poczęstunek przyjmie, równie jak nocleg – latem w stodole, zimą w chałupie – ale żebrakiem, broń Boże, nie jest.

[tekst urwany]

\* \* \*

... Jest we wsi kobieta brzydka, z twarzą oszpeconą czerwoną plamą (wskutek jakiejś skórnej choroby), odstręczająca. Co dzień widzimy ją wieczorem, gdy pędzi bydło do swej zagrody. Trudno uwierzyć, a jednak ta właśnie brzydula to miejscowa Circe lub raczej Messalina, niebezpieczna uwodzicielka, o którą pokłóciło się dwóch mężczyzn: ojciec z synem, i której nienawidzą gospodarskie żony. Babka Tomalina, określając drastycznie jej sposoby uwodzicielskie, mówi, że owa kobieta potrafi śpiącego chłopca po kadłubie drapać i jeszcze gorzej, ale to się nie nadaje do zapisania.

## 10 października

„Babka” Rafałowa Tomalina, matka naszego gospodarza, posiada książkę pod tytułem *Żywot Pana i Boga naszego Jezusa Chrystusa, to jest droga zbawienia prowadząca nas do nieba według historii Ewangelistów świętych opisana. Przedrukowana Roku Pańskiego 1850 w drukarni Jasnej Góry Częstochowskiej*. Jest to gruba książka, formatu ćwiartki, stron zachowanych 311 [?], tłoczona dużym drukiem na papierze szaro-żółtym, takim, jaki znamy z druków XVIII wieku, w półskórkowej oprawie.

W *Przedmowie do pobożnego czytelnika*, przedrukowanej niewątpliwie, jak styl wskazuje, z wydania jakiegoś z czasów saskich, czytamy: „Już to jedenasty raz z prassy drukarskiej Żywot Pana Jezusa Boga i Zbawiciela naszego wychodzi, a to dla wielu dusz pobożnych

Chrześcijańskich, tak duchownych jako i świeckich, którzy (sic) z pożytkiem swoim duchownym onego się czytaniem zabawiają. Cieszył się niegdyś Baltazar Opeć, sławnej Akademii Krakowskiej Doktor, że przetłumaczywszy z Bonawentury świętego Kardynała i Biskupa Albańskiego Zakonu Braci mniejszych Franciszka świętego (sic) ten żywot, ofiarował go najjaśniejszej Pannie Elżbiecie królownie Polskiej córce Zygmunta Wielkiego, która go nad wszelkie podarki bogate wdzięcznie przyjęła, i w rozmyślaniu jego przez długie godziny trwała. To zrozumiawszy, Hieronim Wiktór (sic) Drukarz sławny Krakowski, jak tylko litery drukarskie nastały, dla pożytku pospolitego, a ludzi pobożnych nabożeństwa, swoim kosztem, polszczyzną na ten czas prostą wydrukował roku pańskiego 1522. To taką w pobożnych ludziach wszelkiego stanu wzbudziło żarliwość do czytania, że w krótkim czasie nie stało Exemplarzy, musiał one w kilka lat po trzykroć drukować. Taż żarliwość wzbudzona i terażniejszych czasów do czytania i naśladowania żywota Pana Jezusowego w czytających że jedenasty raz w krótkim czasie z pracy drukarskiej wychodzi”. Po przedmowie zamieszczono apokryficzny „List Piłata Poncyusza Francuza, rodem z miasta [*puste miejsce*] Starosty Jerozolimskiego, o cudach śmierci i zmartwychwstaniu Pana Zbawiciela naszego Jezusa Chrystusa do Klaudyusza Tyberyusza Cesarza Rzymskiego pisany”, wyjątek z *Historii starych dziejów żydowskich* Józefa Żydowina (to jest Flawiusza) oraz opis postaci Chrystusa (apokryf) przez [*puste miejsce*], urzędnika króla Heroda, przesłany w liście Senatowi rzymskiemu. Wreszcie „Poczyzna się nabożnie rozmyślanie Żywota Pana naszego najmiłościwszego Jezusa Chrystusa”...

Czytając w tej książce rozdział „O narodzeniu Pana Jezusa Króla niebieskiego” pojąłem, skąd czerpali kanwę do swej kantyczkowej twórczości organści i rektorzy wiejskich szkółek, ujrzałem źródło kolęd z XVII i XVIII wieku. „Już tu oglądaj, grzeszny człowiecze, gdzie się to Syn Boży narodził, iżali w królewskim pałacu między złotogłowy? Patrzaj, iż się narodził nie w rozkoszy, ale w ubogiej, śmierdzącej stajni, na gołej i twardej ziemi między zwierzęty, zimy bardzo ostrój, że od zimna drżał, leżąc na ziemi gorzko płakał, nie mając czymby się zagrzał... Wół też i osieł Boga znając do żłobu przystąpili, jakoby zwierzęta rozumne, na kolana swoje

pokłękły, przez swe nozdrza huhając, Syna Bożego zziębniętego zagrzewały”, Opowieść przybiera rytm kolędowy: „Skoro się Najświętszy Jezus narodził, niesłychana wielkość Aniołów wesołym śpiewaniem jego miłość chwalili, a pasterzom czującym nad trzodami i stadami swojemi objawili. Ci pasterze byli od Betleem w równej mili. Anieli w niebo wstąpili, dworzanom niebieskim oznajmili, a z tego Boga chwalili, z chórów swych zstępowali, by Jezusa oglądali i żeby Matkę jego poznać” etc. „My tedy narodzenia Bożego bądźmy wdzięczni wesoło chwaląc miłego Boga z Anioły śpiewajmy”... Tu następuje kolęda zaczynająca się od słów: „Wesoły nam dzień nastał narodzenia Bożego” etc.\* Motyw kolędy *Lulajże Jezuniu*, najpiękniejszej z kolęd polskich, której Chopin dał nieśmiertelność w swoim *Scherzo h-moll* zarysowuje się w „Nabożnej rozmowie świętego Bernarda z Panem Jezusem nowo narodzonym Dzieciątkiem”: „... Czemuż leżysz tu w stajni niebieska perełko? na tak grubym łożysku czemu odpoczywasz? O maleńki, nadobny kwitku bardzo śliczny! O Dzieciątko szlachetne, do róży podobne. Gdzie są twoje poduszki i mchowe pierzynki? Wszystkiego niedostaje, przyszedłeś tak dla mnie... Pod sobąś ty słomę miał, nameś ten przykład dał, ubogim a pokornym i też wszystkim nędznym. Twoje jasłki należało powłoką okrasić i wszelkim obyczajem dostojnie ozdobić perłami różnymi, rozkosznym kwieciem i statki znamienitemi godno było uczcić. Lilią i fialki, wonnemi maściami, halcedony, bursztyny, drogiemi kamieniami. Kobierce, prześcieradła, rozkoszne pierzyny, na to łoże przystało, gdzie Dzieciątko leżało” i tak dalej. Ależ tak, tutaj właśnie, w tej pieściwej rozmowie opata z Clairvaux z Dzieciątkiem, leży źródło tych wszystkich kołysanek kolędowych, które tworzył wiek saskiej konfidencjonalnej zażyłości z bóstwem i które naśladował mistrzowsko Słowacki w krzemienieckim swoim dramacie *Złota Czaszka*.

Ten *Żywot*, sięgający swą proveniencją tekstową epoki pierwocin polskiego drukarstwa i polskiej literatury, ma swoją wymowę pod dachem chłopskiego domu. Po dziś dzień wydawnictwa religijne, obok bzdurnych senników i podręczników prorockich, stanowią niemal jedyną, poza gazetami, lekturę wiejską. Widziałem u naszych gospodarzy

\* Kilka kart dalej jest jeszcze jedna *Pieśń o obrzędzie Bożego Narodzenia*: „Z Bożego narodzenia Anieli się wesela” etc.

urywek z jakiejś broszury zawierającej proroctwa Sybilli i inne, między innymi o tym, jak nieprzyjaciel zachodni spod góry Blanck przyjdzie pod miasto Pragę i jak rozwścieczony oporem mieszkańców wyrznie ich w pień, a z miasta kamienia na kamieniu nie zostawi, lisy i kuny mieszkać w nim będą etc. Dalej proroctwa o Antychryście i tym podobne.\*

W *Żywocie* na końcu, po medytacjach o czterech rzeczach ostatecznych, w których między innymi zamieszczono proroctwo o Antychryście, znajduje się *Głos z krzyża do zakochania się w Panu Jezusie ukrzyżowanym albo nabożne objawienie samego Chrystusa Pana męki swój świętej Brygidzie, Elżbiecie i Mechtyldzie, wyjęte z ksiąg ich własnych*, oraz wierszowana *Pobudka do placzu nad grobem Pana Jezusowym*, w stylu barokowym.\*\*

Życie religijne naszej parafii charakteryzuje następujące zdarzenie: pewien bogaty gospodarz Wróbel w Różycach-Starej Wsi chciał wybudować na własnym gruncie i własnym sumptem kościół. Zaczął tedy wznosić mury, ale w sprawę wdał się proboszcz kocierzewski... (Kocierzew leży w najbliższym sąsiedztwie). Zapewne, była to przecież groźna konkurencja: nowy kościół, może nowa parafia... Wolał ksiądz pleban uszczuplić chwałę Pana Boga (który nie stoi chyba tam bardzo o jeszcze jeden kościółek więcej), niż uszczuplić dochody własne, więc zaapelował do władz diecezjalnych. Już mury kościoła w Różycach osiągnęły połowę swej wysokości, gdy nadeszło pismo z biskupiej kancelarii zabraniające budowy. Pobożny, ale niefortunny fundator jeździł w tej sprawie do Warszawy, sypał pieniędzmi, udało mu się nawet uzyskać cofnięcie zakazu, ale gdy już budowlę wyprowadził pod dach, gdy już nawet wyposażył ją w chór i trochę obrazów, znów przyszło pismo z diecezji nakazujące wstrzymanie budowy... Uparty chłop może nie byłby zrezygnował, i może były nawet z tego uporu mazurskiego założył jakąś nową sektę, a sam ogłosił się jej papieżem, ale wdał się palec Opatrzności...

\* Dopisek z 2 listopada: Kilka dni temu, wieczorem, słyszeliśmy jak nasza gospodyni czytała swoim gościom te proroctwa sybillińskie i komentowała je razem z nimi.

\*\* Dopisek z 5 lutego 1941: Dzisiaj gospodyni kupiła u wędrownego przekupnia książeczkę pt. *Genowefa. Ciekawa historia o życiu księżniczki bramanckiej* (sic) (wydanie nowoczesne).

i pyszałek ten umarł. A wymurowany przezeń kościół po dziś dzień stoi, zdezelowany w czasie wojny światowej, pozbawiony dachu, opustoszały, z oknami porośniętymi trawą, której ziarna wiatr nawiał.

Wracając do *Żywota Pana Jezusa*: księgę tę ma „babka” Tomalina po swoich teściach. Teściowa mówiła jej, że codziennie trzeba przeczytać z niej choć po pięć linijek. „Babka” miała też *Żywoty świętych*, grubą, piękną księgę, ale pożyczyła ją komuś i ten jej dotąd nie zwrócił. Te *Żywoty* otrzymał kiedyś jej stryjek w darze od samego arcybiskupa za to, że ufundował dzwony w Rybnie; stryjek jej mógł sobie na to pozwolić, bo był bezdzietny (a więc – bogaty).

### 1 maja 1941

Przeczytałem dziś znowu od lat wielu polski wybór opowieści z *Tysiąca i jednej nocy*. Rzecz dziwna, jak oszałamiająca fantazja mieści się w tych opowieściach. Mają one bogactwo pomysłów nie tyle literackich, ile filozoficznych i naukowych; zrodziły się przecież w świecie cywilizacji arabskiej IX i X stulecia. Narody, które miały utworzyć epoki w dziejach naszej cywilizacji, uosabiały walkę z żywiołem natury w legendach o żeglarzach-awanturkach. Orbitę cywilizacji helleńskiej na Morzu Śródziemnym wykreśla żeglarz grecki Odyszeusz, cywilizacji arabskiej na Oceanie Indyjskim – żeglarz Sindbad z Bagdadu, cywilizacji anglosaskiej na wszystkich oceanach świata – Robinson Crusoe. Najśmielsze idee techniczne są tak stare, jak myśl ludzka, jeśli nie są zatartym echem zaginionej zupełnie cywilizacji (mit o Atlantydzie). Etapy lotnictwa: mit grecki o Dedalu – drewniana maszyna w kształcie konia, wzbijająca się w powietrze za naciśnięciem śrubki z *Tysiąca i jednej nocy* – pomysły Leonarda da Vinci – balon braci Montgolfier – nasze samoloty. Widzenie na odległość: teleskop z *Tysiąca i jednej nocy* pokazujący najbardziej oddalone miejsca i osoby – fantazje Verne’a – telewizyjne wynalazki naszego wieku. Dzwon nurkowy pojawia się już w średniowiecznej legendzie o spuszczeniu się Aleksandra Wielkiego na dno morza w szklanej bani. *Tysiąc i jedna noc*, dzieło umysłowości arabskiej, skłonnej do nauk ścisłych, obfituje w pomysły techniczno-wynalazcze, na przykład lampa Aladyna, albo spreparowane chemicznie z ziół i minerałów jabłko usuwające wszystkie choroby.

Wydaje się, jakoby umysł ludzki musiał poruszać się zawsze po tych samych liniach wiary, pragnień, logiki, wyobrażeń estetycznych i moralnych. O podróży na księżyc marzył już w XVII wieku pisarz francuski Cyrano de Bergerac. Program odkryć ułożony jest od dawna. Norwid słusznie mówi, że istotnie są to tylko od-krycia, to jest że nie tworzy się nic nowego, tylko zdziera się zasłonę z dawno istniejących idei. Tę cechę umysłowości ludzkiej podnosi Platon, mówiąc o rzeczywistości jako odbiciu wtórnym świata idei. Dotyczy to wszelkich idei: religijnych, filozoficznych i naukowych. Program odkryć realizują coraz pośpieszniej nasze czasy. Pośpiech ten nie pozostawia już czasu na wpatrywanie się w drzemiące na dnie duszy cudowne widziadła niespełnionych jeszcze życzeń. Gdy ludzkość osiągnie wszystko, o czym śniła w wiekach dzieciństwa, o czym będzie marzyła? Wiek XIX zachwycał się Indiami Coopera i machinami Verne'a, marzył o pchaniu bryły świata na nowe tory, o odkrywaniu nowych lądów i mórz, o zwycięskim borykaniu się z żywiołami wody, powietrza i ziemi, o ratowaniu ginących. Nasza młodzież – widzę to jasno na niejednym przykładzie – nie jest zdolna ani do porywu, ani do pracy. Z tępą rezygnacją szlifuje bruki, zabija czas w kawiarniach i szynkach, ogląda ze znużeniem paznokcie, za leniwa nawet na poszukiwanie niebezpiecznych przygód miłosnych. Nie istnieje dla niej ani sport, ani nauka, ani poezja, ani kościół – wszystko określa wzgardliwie złodziejskim żargonem jako „lipę”. Nie jest ani zła, ani dobra – najstraszniejsza prognoza na narodową przyszłość. W świecie, który dotąd – do wybuchu wojny – głosił hasło „życia ułatwionego” i życie to istotnie ułatwiał (w naszych podręcznikach gimnazjalnych do historii z lat ostatnich starannie wplewiano daty i łamano ustalone konstrukcje chronologiczne, aby nie obarczać pamięci ucznia – a skutek? – kompletna jałowość umysłowa młodzieży) – musiała skruszeć wola, zwiotzczały mięśnie, spleśniał mózg, zanikał charakter i samodzielność umysłu. Odbiło się to z przerażającą dokładnością w nauce (dyletantyzm profesorów uniwersyteckich nowszej daty, ich oportunistyczny, groszorbstwo dziennikarsko-podręcznikowe i tak dalej), w sztuce (najdziki snobizm), w literaturze (rozłożenie chemiczne charakteru, zastąpienie go bezładną kupą „stanów podświadomych”, żądz, nieskoordynowanych odruchów etc.,



wyniesienie na szczyt Prousta, zdegradowanie Victora Hugo i Prusa). Świat idzie naprzód tylko siłą ludzkich charakterów. Rządzi historią wola. Kto niszczy charakter i wolę, ten niszczy przyszłość cywilizacji. Przystosowanie naukowych teorii fizycznych (Einsteina teoria względności) czy psychologicznych (Freuda teoria podświadomości) do użytku codziennego, używanie ich jako wytrychów wyłamujących wiązadła społecznej i indywidualnej dyscypliny jest głupotą i zbrodnią. Złoty wiek ludzkość przeżywała wtedy, gdy chłopcy brali baty i mimo to uciekali na okręty. Ostre zęby są przywilejem zdrowia i młodości. Może ta wojna, którą przeżywamy, będzie dla nas zbawienną, choć straszną katastrofą.

Moje dzieciństwo przypało na ostatnie lata monarchii austro-węgierskiej (1911-1918), na ostatnie lata epoki, w której Galicja stanowiła autonomny kraj cesarstwa Habsburgów. Otaczała mi atmosfera klenkaliczmu i tromtadracji, polskości godzącej kontuzje magnaten i sukmany chłopskie z czarno-złotymi barwami "trafik" i Hądnorskim hymnem w dzień urodzin "szdriwego" i dobrotliwego naszego Monarchy, Franciszka Józefa I.

Klenkaliczmu i tromtadracja galicyjska pochodzą z epoki saskiej jeroze. Galicja nie przeżyła swego wieku Oświecenia, swej epoki stanisławowskiej. W roku 1763 umarł król August III Sas, w pięć lat później wybuchła wojna szlachecko-rosyjska ~~katolicki~~ ultrakatołickiej — "konfederacja barska", w r. 1772 po upadku konfederacji: Ruś Czerwona wraz z krakowską — kampa-kim Podgórzem przesła pod panowanie austriackie. Jesuycy z saskich czasów i piłytki knykety w petriotyzm i kontuzjowych smetkach zakonserwowat się dobrze

## II. Zapiski wspomnieniowe

Moje dzieciństwo przypadło na ostatnie lata monarchii austro-węgierskiej (1911–1918), na ostatnie lata epoki, w której Galicja stanowiła autonomiczny kraj w Cesarstwie Habsburgów. Otaczała mnie atmosfera klerykalizmu i tromtadracji, polskości godzącej kontusze magnaterii i sukmany chłopskie z czarno-żółtymi barwami „trafik” i Haydnowskim hymnem w dzień urodzin „sędziwego i dobrotliwego naszego Monarchy, Franciszka Józefa I”<sup>84</sup>.

Klerykalizm i tromtadracja galicyjska pochodziły z epoki saskiej jeszcze. Galicja nie przeżyła swego wieku Oświecenia, swej epoki stanisławowskiej. W roku 1763 umarł król August III Sas, w pięć lat później wybuchła wojna szlacheckich ultrakatolickiej – „konfederacja barska”, a w roku 1772, po upadku konfederacji, Ruś Czerwona wraz z krakowsko-karpackim Pogórzem przeszła pod panowanie austriackie. Jezuityzm saskich czasów i płytki, krzykliwy patriotyzm w kontuszowych szmatkach zakonserwował się dobrze.

Mieliśmy swój własny język polski, galicyjski, i władaliśmy nim nie wiedząc, że gdzieś w Polsce mówią inaczej. Na obiad mama zrobiła kne-  
dle ze śliwkami, mamałygę, kukurudzę, z której kaczany obgryzać trzeba

---

<sup>84</sup> Chodzi o tzw. Hymn ludowy (niem. *Volkshymne*), oficjalny hymn Austro-Węgier, do którego muzykę skomponował Joseph Haydn.

było, wreszcie smakowitą sztrucel, czyli zawijaniec z cienkiego jak bibuła ciasta z jabłkami. [*nieczytelne*] Za kilka halerzy kupowało się precle. Ojciec nosił szkła zwane cwikiem. Produkty spożywcze kupowało się w konsumie. Do zabaw potrzebny był paperek (tektura). [*nieczytelne*]

\*

W pokoju, w którym mieściło się biuro sekretarki gimnazjum, stało pianino, a obok, wciśnięty w kąt, między instrumentem a masywną szafą aktową, sterczał szkielet. Był to szczątek kogoś, kto żył i kto w jakimś nieznanym nam wydarzeniu złamał nogę. Na gołeni, pośrodku, widniała gruzłowata narośl kostna. Na pianinie brat mój wygrywał co dzień posępne ćwiczenia. Czasem towarzyszył mu na skrzypcach pewien uczeń, blondyn błękitnooki, łagodny i blady. Gdy pociągał smyczkiem po strunach, nachylony ku nutom rozłożonym na pianinie, widziałem jak za nim, z głową przekrzywioną w jakiejś błazeńskiej ironii, szyderczo śmieje się kościotrup, ta straszna lalka, którą szkolny doktor obnosił po klasach, demonstrując na niej układ kostny. To było w lecie. W jesieni uczeń umarł. Na gruźlicę. W tym mieście gruźlica szalała srożej niż malaria. Przynajmniej kilka razy w roku prowadzono nas na pogrzeby kolegów z siódmej lub ósmej klasy.

Dowiedziałem się, że zmarły leży w kostnicy szpitalnej. Poszedłem tam. Szpital wznosił się tuż za gimnazjum. Kostnica był to czerwony niewielki budynek, zwykle zamknięty. Teraz drzwi były rozwarte. Słońce rzucało ostatnie krwawe blaski. Na podniesieniu wśród zapalonych świec stała trumna. Liche trumienne lakierki świeciły obmierzłym blaskiem. Twarz zmarłego miała żółtą bladość woskowych modeli fryzjerskich. Pod niedomkniętymi powiekami coś migotało szkłście. Z kącika ust płynęła wążutka krwawa strużka.

\*

Pewnego razu zeszedliśmy się z Białostockim na ganku gimnazjum. Chłopak wyjął z kieszeni kawałek sznurka, zrobił pętlę, włożył sobie na szyję i zacisnął. Twarz mu poczerwieniała, zaczął się dusić, upadł na

podłogę. Przerażony, nie wiedziałem, co robić, zawołałem woźnego, który nadbiegł i uwolnił chłopca z duszącej pętli. Białostocki prosił mnie, abym nikomu o tym nie mówił. W kilka lat brat jego popełnił samobójstwo, ojciec, ogromny, barczysty [*nieczytelne*] z sumiastym wąsem, przypominający portrety króla Sobieskiego, umarł.

Czytałem książki. *Nędznicy*, *Monte Christo*, *Szyfowe prace* – te książki wzruszyły mnie głęboko, zarazem szalone wrażenie wywarła na mnie powieść Victora Hugo. Ulubioną moją lekturą stał się też dickensowski *Klub Pickwicka*, którego czytałem po raz pierwszy mając lat piętnaście-szesnaście. Książkę tę odtąd musiałem przeczytać raz na rok przynajmniej, ale musiało to być koniecznie wydanie z ilustracjami angielskimi . . . . ., idealnie zestrojonymi z atmosferą utworu, w której znajdowałem nieprzebrane bogactwo dla umysłu i uczucia. Karczmarz Thénardier i jego żona, Cosette; Javert, święty biskup; a nade wszystko sam Jean Valjean<sup>85</sup> – wszystkie te postacie żyły we mnie i żyją dotąd. Lekturę tę przeplatałem wertowaniem encyklopedii i słowników – było to moje ulubione zajęcie. Nie było przyjemniejszej chwili, jak [roztwierać] jeden z ogromnych tomów wielkiego *Larousse'a* i wczytywać się w tysiące ciekawych wieści; na *Laroussie* nauczyłem się mnóstwo słówek francuskich i tylko dzięki niemu byłem potem w stanie zrozumieć powieści francuskie. W maju 1926 roku pogrążony byłem właśnie w którymś z tomów *Larousse'a*, gdy w Warszawie toczyły się walki.

\*

Ojciec Michasia był właścicielem podrzędnej restauracji na przedmieściu. Pospolity, brzydki, drewniany budynek. Na drzwiach blaszany szyld przedstawiający szlachcica w kontuszu, siedzącego okrakiem na beczce piwa, ze szklanicą piwa w ręku. Byłem u nich kiedyś. Siostra Michasia, starsza od niego, piętnastoletnia, obchodziła imieniny. Było kilka chłopców i dziewcząt. Matka Michasia poczęstowała nas podwieczorkiem. Nie dano chwili wytchnienia: „Ależ proszę bardzo, niech Janek je! Michasiu, pilnuj kolegi!” Gościnność gwałtowna, natarczywa. Potem

---

<sup>85</sup> Bohaterowie *Nędzników* Victora Hugo.

rzucaliśmy monetę do szafy samogrającej, a Michaś, otworzywszy jej drzwi, pokazywał chełpliwie kolczaste walce, które wydawały owe pluksliwe dźwięki starych polek.

Potem zabawiano się w gry towarzyskie. Musiałem dać fanty. Zapytano, co mam uczynić.

– Niech da pomarańcze – krzyczały dziewczęta – przez bibuły! przez bibuły!

Znaczyło to, jak się dowiedziałem, że mam pocałować siostrę Michasia rozdającą karty. Zacerwieniony, pomieszany, wzbraniałem się. W końcu musiałem pochylić się nad dziewczyną i musnąć jej wargi. Pełen niepokoju i wstydu wróciłem do domu.

\*

Po maturze nastąpiły szalone, upalne wakacje. Pierwszym czynem świeżo opatentowanych młodych osłów było sprawienie sobie lasek, grubych cętkowanych lag studenckich, co budziło podziw w nas samych [*nieczytelne*]. Żydzi, stojąc przed swymi żelaznymi i łokciowymi handlami, uśmiechali się ironicznie: „Maturzysta!” Prócz tego naturalnie – kapelusze. Wystroiłem się w miękki kapelusz z fantazyjnie ułożonym rondem, w gumowe palto, zacząłem zapuszczać wąsiki, które czerniłem w sekrecie (raz przeżyłem okropną tragedię z nimi podczas deszczu) – słowem, robiłem z siebie typowego prowincjonalnego fanfarona.

Lato roku 1929 było gorące. Mój romans trwał, coraz bardziej zmysłowy i coraz pospolitszy. Rozwijały się gdzieś nieokreślone, poetyczne nastroje, już się nie garbiłem gestem znużenia i samotności, przechodząc pod oknami kochanki – z poczwarki rozwijał się mężczyzna.

Jakież szalone popełniało się głupstwa, ile nietaktów i upokorzeń zatruło mi owe chwile! Nieopanowany, skłonny do historycznych wybuchów osiemnastoletni chłopiec wchodził w świat, o którym nie miał dotąd pojęcia, który znał tylko z opowiadań i przeczytanych powieści. Wiek dojrzewania jest to tragiczna komedia nieustannych pomyłek. Jesteś co krok od przepaści hańby i śmiertelnego wstydu i co krok grozi ci strzaskaniem lodowa góra ludzkiej obojętności.

Różne strony mojej osobowości rozpierzchały się jak lotne cienie i wiodły osobne żywoty na peryferiach tego chaosu, który nazywałem moją „duszą”. Żadnego spokoju, żadnej harmonii! Instynkty, pragnienia, pożądlivości, skłonności, wibrując wściekle w budzącym się organizmie ocierały się o siebie z piekielnym zgrzytem. Dysonans za dysonansem, nietakt za nietaktem, niesmak, smutek, żal, tęsknota za niewiadomo czym, żądza tworzenia i żądza niszczenia – wszystko to grało we mnie jakąś zwariowaną sarabandę niezaspokojonej namiętności, nieukończonych procesów fermentacji krwi.

Obcując ze Skuzą<sup>86</sup> czułem się literatem i agitatorem społecznego radykalizmu, ateistą i chłopskim demokratą.

W towarzystwie innych kolegów byłem, a właściwie starałem się być, dobrym kamratem od picia i różnych występków.

Wobec księży, z którymi wkrótce nieraz przyszło mi się zetknąć, musiałem nałożyć maskę pobożności, mimo że wszystko buntowało się we mnie przeciw tej niecnej maskaradzie.

Prawdę mówiąc, miałem zawsze na podorędziu tyle masek, ile potrzeba, aby asymilować się do atmosfery każdego środowiska.

W domu rodzinnym czułem się nieswojo. Biedna moja matka nieraz musiała płakać z mego powodu – te łzy zawsze ciążyły mi będą w duszy ciężkim kamieniem. Ojciec – despotyczny, arbitralny, konserwatywny w zapatrywaniach polit[ycznych] – budził we mnie ducha buntu. Nie mógł zrozumieć, że to posłuszne, dość pilne dziecko nagle stało się człowiekiem, który sam chce kształtować swoje życie. Byłem nieznośnym, aroganckim zarozumialcem, zdawałem sobie sprawę, że pewne rzeczy widzę jaśniej i że lepiej potrafię je opisać, niż ktoś z mego otoczenia. Ojciec, chociaż – dzisiaj wiem to z całą pewnością – nie był naturą religijną, uważał się jednak za dobrego katolika. Nie widziałem nigdy, co prawda, aby się modlił, spowiadał czy przyjmował komunię;

<sup>86</sup> Wojciech Skuza (1908–1942) – poeta, pisarz, publicysta, absolwent polonistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim, działacz Polskiej Akademii Młodzieży Ludowej i współredaktor czasopisma „Znicz”. Po wybuchu drugiej wojny światowej pozostał we Lwowie, gdzie był jednym z sygnariuszy oświadczenia części pisarzy polskich popierających przyłączenie południowo-wschodnich województw II RP do radzieckiej Ukrainy. Zesłany w głąb ZSRR, ewakuowany do Iranu, gdzie wkrótce zmarł.

praktyki religijne zastępował lojalnością wobec kleru (pamiętam jeden tylko wypadek lokalnego i personalnego nieporozumienia z księdzem) i przyjaźnią z niektórymi księżmi. Ale znam wielu takich katolików wśród inteligencji; chodzą do kościoła, aby zrobić przyjemność księdzu, u którego zjadają dobre kolacje z winem i z którym grają w karty, albo – ponieważ „tak wypada”. Poza tym, ojciec mój miał konserwatywne zapatrywania polityczne: przez całe życie z dumą mówił o sobie, że jest „endekiem”. Kompleks endecki w naszej zbiorowej duchowości zaczął mi wtedy być specjalnie nienawistny. Już przed maturą dochodziło do ostrych scysji słownych między ojcem moim a mną; teraz wybuchły one ze zdwojoną siłą. Kończyły się zwykle tym, że trzaskając ordynarnie drzwiami, wybiegałem z domu i obiecywałem nigdy już nie powrócić. Oczywiście – wracałem zawsze.

W tych awanturach chodziło także o mój romans, chociaż rodzice nie zdawali sobie sprawy, jak daleko sprawy te zaszły. Ojciec, uwiadomiony o nim przez profesorów, chciał mi wybić miłość z głowy słownym zakazem i łajaniem. Nie była to metoda skuteczna. Miałem wówczas psychologię Don Kichota i uważałem za swój obowiązek kruszyć kopię w obronie swej damy serca.

Kiedy \*..... miała wyjechać na Podole, postanowiłem jej towarzyszyć. W Poznaniu odbywała się wówczas Powszechna Wystawa Krajowa<sup>87</sup>, ale mnie w ówczesnym usposobieniu bardziej nęciła podróż we dwoje z kobietą, w której się kochałem. Brat mój pojechał do Poznania, a ja – do Lwowa.

We Lwowie na dworcu rozstaliśmy się wśród gorących czułości.

Zamieszkałem u swego wuja przy ulicy Zielonej. Duże miasto olśniło prowincjonalistę. Zacząłem starać się o posadę – wszak miałem się żenić... Kołatałem do redakcji „Kurieru Lwowskiego”, do Zakładu Ubezpieczeń – naturalnie bez skutku. Miałem zamiar studiować prawo, a równocześnie pracować na jakiejś urzędniczej posadzie.

Profesor Grabski Stanisław<sup>88</sup>, do którego zwracałem się za pośred-

<sup>87</sup> Powszechna Wystawa Krajowa w Poznaniu – impreza wystawiennicza zorganizowana z okazji dziesięciolecia odzyskania niepodległości, która trwała od 16 maja do 30 września 1929 r.

<sup>88</sup> Stanisław Grabski (1871–1949) – polityk i ekonomista, poseł na Sejm w II RP, star-



nictwem innego wuja, dał mi radę, abym do dziennikarstwa w zbyt młodym wieku się nie brał, ponieważ zawód ten „łamię charakter”.

Do \*..... pisywałem bardzo często. Napisała, proponując przyjazd do Tarnopola, gdzie wówczas mieszkała. Odwiedziłem ją w Tarnopolu, a wracając po jednodniowym pobycie wstąpiłem do Złoczowa, aby odwiedzić swego stryja Władysława. Pamiętam, że największą moją troską w tym czasie były chroniczne dziury w skarpetkach, które cerowałem w sposób bardzo prymitywny. W duszy miałem dziwną czczość, uczucie głodu wrażeń, a żadnej myśli głębszej, żadnego sformułowanego celu życia. Stryj, łagodny, uczony starzec, z wykształcenia filolog klasyczny, oprowadzał mnie po Złoczowie i prowadził ze mną poważne rozmowy, najwięcej na temat zamku w Podhorcach, którego architektura, przeszłość, urządzenie były pasją całego jego życia. Schorowany, nieco ułomny pedagog ujął mnie serdecznie. Był wówczas jeszcze dyrektorem gimnazjum i przyjechawszy do Złoczowa odwiedziłem go w jego gabinecie kancelaryjnym. Dom stryjostwa był chłodny, mało przytulny, po pokojach chodził ogromny dog z krwawo świeącymi ślepiami; jedno miał zielone, drugie brązowe. Stryjenka była to starsza rozmowna kobieta; okazywała mi dużo życzliwości. Złoczów podobał mi się – kilka kościołów zabytkowych, cerkwie, zamek, piękne plantacje spacerowe na miejscu dawnych wałów miejskich, porządne kamienice, drukarnia i księgarnia wydawnicza Zucherkandla znana w całej „Galicji” – wszystko to budziło uczucie zdumienia, że jednak w Polsce jest dużo więcej prowincjonalnych ośrodków kultury, niżby można z rzutu oka na mapę przypuszczać.

W Złoczowie zabawiłem kilka dni. Po powrocie do Lwowa zacząłem z niepokojem myśleć o powrocie do Mielca, gdy w jakiś upalny dzień sierpniowy natknąłem się na ulicy na zażywnego pana z brodą. Był to mój stryj Leon, brat stryjeczny mego ojca. Z miejsca zaprosił mnie do siebie na wieś. Miał niewielki folwark Zaworocie pod Niemirowem w powiecie rawsko-ruskim. Przyjąłem zaproszenie z radością. We Lwowie bruk już palił mi się pod stopami. Nie miałem tu nic do roboty: starania o posadę w porze kanikuły nie przedstawiały żadnych

---

szy brat Władysława Grabskiego – premiera i reformatora polskiej waluty.

widoków, wuj, u którego mieszkałem, przeżywał właśnie moment finansowego kryzysu, moja kieszeń zaś była również pusta. Żydowskim autobusem przez Janów nad stawem, przez Jaworów i Magierów dojechałem do Zaworocia. Okolicę znałem już – przed sześciu laty bawiliśmy z całą rodziną w pobliskim Szczercu, gdzie stryj mój był administratorem majątku Krusenszterna, tytułowanego, nie wiem czy słusznie, baronem.

Na Zaworociu pędziłem przez jakieś dwa-trzy tygodnie leniwe, puste życie. Dom drewniany, ledwo urządzony, stał w bezdrzewnej płaszczyźnie, w ogrodzie nie było cienia – dominowały różowe malwy, dziwnie jałowe, bezosobowe kwiaty. Stryj, człowiek niesłychanej pracowitości, niezmordowany ciułacz dobytku, obchodzący swoje pola przed świtem, gorszył się moim nieróbstwem, wyczuwałem to z niektórych jego aluzji. Miał trzy córki, z których najmłodsza, młodsza ode mnie o kilka lat, podobała mi się bardzo, i syna, wyrostka. Stryjenka Milcia była z pochodzenia Czeszką. Rodzice jej mieszkali w niedalekim Szczercu w majątku Krusenszterna; o ile pamiętam, stary pan Nejtek, brodaty, sędziwy patriarcha, na wpół sparaliżowany, był zarządcą gorzelni dworskiej. Stryjenka była piękną kobietą o greckich rysach, nie wymawiała wcale głoski „l”, zastępując ją z czeska miękkiem „l”, na przykład „mily chłopiec”. W domu grała rolę drugoplanową; łagodna, dobra, zgodna, ustępowała pierwsze miejsce mężowi. Stryj, gwałtownik jak wszyscy Kryczyńscy, trząsał całym domem i prowadził wszystkie rachunki. Dzieci uwielbiały go, do matki zaś odnosiły się chłodniej.

Monotonię wywczasów ożywiały wycieczki do Niemirowa-Zdroju do starej „cioci Olewińskiej” i do Szczerca do państwa Nejtków. (Stary pan Nejtek opowiadał mi między innymi przygodę z bandytami z czasów, gdy bawił na Węgrzech: ocalała go od napaści pełnia księżyca, którą oślepienie konie poniosły wyrwijając się z rąk napastników). Czasem zjeżdżali na Zaworocie goście, krewni i znajomi. Między innymi zabawił tu krótko młody jakiś Czech, daleki kuzyn, z którym trudno było się porozumieć!

Pewnej niedzieli wybraliśmy się na nabożeństwo do najbliższej cerkwi unickiej. W czasie nabożeństwa staliśmy blisko ołtarza. W pewnym momencie ksiądz przystąpił do nas i mnie pierwszemu, jako stojącemu

z brzegu, podsunął księgę Ewangelii. Widząc, że nie wiem, co mam uczynić, szepnął:

– Pociłujcie, pociłujcie!

Słów tych nie rozumiałem, ale po chwili wahania, zorientowawszy się w sytuacji, nachyliłem się i ucałowałem iluminowaną kartę księgi drukowanej ozdobną cyrylicą. Epizod ten jednak speszył zarówno mnie, jak „parocha”.

Czułem się nieszczęśliwy w tym okresie. Żarła mnie trudna do określenia i wytłumaczenia tęsknota, umysł był pusty jak dziurawy worek. Próbowałem pisać wiersze, ale nic nie czułem prócz głuchej jakiejś rozpacz, niczym na serio nie umiałem się przejąć! Idee moje jeszcze się nie skryształizowały. Czułem obrzydzenie do siebie. Do domu pisywałem nawet dość często, ale tylko do matki, podkreślając z umyślną przesadą, o ile lepiej mi jest wszędzie w świecie, niż na łonie rodziny. Głupia, zła, dziecinna gorycz! Ileż sadystycznej perwersji drzemało w logice moich uczuć dla matki: ponieważ ją kocham, trzeba, aby płakała z bólu.

Wewnętrzne moje życie było przerażająco ubogie. Patrzyłem ustawicznie w siebie, a nie w ludzi i w naturę [*zdanie urwane*].

\*

Zamieszkałem przy ulicy Salinarnej w pustym mieszkaniu, którego właścicielką była pewna Żydówka. Właścicielka jednak zjawiała się tylko raz na miesiąc, pokój był stale zamknięty na klucz, a ja mieszkalem w kuchni, obskurnej, zimnej, wilgotnej, na parterze. Na ścianie nad żelaznym łóżkiem wisiał jakiś upstrzony przez muchy landszaft i zegar bez wskazówek. Szpary w ścianach pozaklejane były gazetami. Na futrynie drzwi wiodących do pokoju wisiała wąska, podłużna puszczyca z żydowskimi modlitwami. Połowę kuchni przedzielała brudna [*nieczytelne*] kotara na sznurku. Piec kuchenny grzał tylko w momencie, gdy służąca od sąsiadów rozpalala ogień; ogień wkrótce zagasał i znów zaczynałem chuchać w ręce jak drwał w lesie, a oddech gęstymi kłęбами pary wychodził z moich ust. Gdy budziłem się, czułem, że nos mój skostniał na lód. A zaraz mleczarka zaczynała łomotać w drzwi, abym jej otworzył. Trzeba było wyskakiwać boso i, kłapiąc zębami, otwierać. Wieczór

szybko zapadał, zapalałem lampkę naftową i próbowałem się uczyć, ale nogi szybko marzły i nie pomagało przebieranie nimi jak w tańcu. Za zamarzniętymi szybami paliły się nocne gazowe latarnie, a od czasu do czasu przejeżdżał ze zgrzytem tramwaj. Całe umeblowanie składało się z łóżka, stołu i szafy.

Na ferie B.[ożego] N.[arodzenia] pojechałem do domu i po powrocie zamieszkałem w tym samym domu u emerytowanego kolejarza, który miał zapracowaną żonę, chudą [*nieczytelne*] córkę i syna – boksera. Stary, brodaty konduktor siedział całymi dniami w fotelu i pykał fajeczkę; nocami kaszlał astmatycznie. O Królestwie nie mówił inaczej jak „Rosja”, a „Rosjan”, czyli Polaków z lewego brzegu Wisły, nie cierpiał.

\*

Uniwersytet Jagielloński w Krakowie

I rok historii (1930/1).

Wykłady: prof. Wacław Sobieski<sup>89</sup> omawiał dzieje Anglii, prof. Wład.[ysław] Konopczyński<sup>90</sup> głosem tubalnym, stylem patetycznym przedstawiał historię Polski w drugiej połowie XVII wieku, prof. Wład.[ysław] Semkowicz<sup>91</sup> mówił o naukach pomocniczych historii, doc. Feldman<sup>92</sup> prowadził ćwiczenia z historyki, doc. Piwarski<sup>93</sup> – z metody badań

<sup>89</sup> Wacław Sobieski (1872–1935) – historyk, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, jeden z twórców tzw. nowej krakowskiej szkoły historycznej, członek Polskiej Akademii Umiejętności, autor prac naukowych z historii Polski, szczególnie z XVI–XVII w.

<sup>90</sup> Władysław Konopczyński (1880–1952) – historyk, profesor UJ, członek Towarzystwa Naukowego Warszawskiego i PAU, współtwórca i pierwszy redaktor naczelny Polskiego Słownika Biograficznego, poseł na Sejm I kadencji w II RP.

<sup>91</sup> Władysław Semkowicz (1878–1949) – historyk, profesor UJ, członek PAU, badacz średniowiecza, zajmował się naukami pomocniczymi historii (paleografia, genealogia, heraldyka).

<sup>92</sup> Józef Feldman (1899–1946) – historyk, profesor UJ, jeden z inicjatorów Międzynarodowego Instytutu Historii Rewolucji Francuskiej w Paryżu. Wykładał historię powszechną i historię dyplomacji XIX i XX wieku, autor monumentalnej pracy *Bismarck a Polska*.

<sup>93</sup> Kazimierz Piwarski (1903–1968) – historyk, podczas okupacji zaangażowany w tajne nauczanie, po wojnie profesor historii nowożytnej polskiej i powszechnej.

(?), dr Kozłowska-Budkowa<sup>94</sup> z paleografii. Prof. St.[anisław] Kot<sup>95</sup> mówił – pamiętam – o uniwersytetach włoskich, o Padwie i Bolonii i studiach Polaków za granicą.

Więcej niż praca naukowa pochłaniało mnie życie studenckie: praca w Pol.[skiej] Akade.[mii] Młodzieży Ludowej (prezes Józef Dąbrowski, koledzy: Skuza W., Marcinkowski, M...., Ściborowska i inni), w Kole Akadem.[ickim] TSL<sup>96</sup> (Krasnowolski, Muszyńska, Det....., Franciszek Jelonkiewicz, Skuza, [Wiesoliński]), udział w zebraniach Bratniej Pomocy i pijatyki po różnych lokalach: pod Ratuszem, u ..... [*nieczytelne*] na Szpitalnej, pod Krzyżykiem na Kazimierzu, w Jamie Michalikowej na Floriańskiej, u Hawerki etc.

Uczyłem się wtedy źle; nie umiałem [przysiąc] fałdów; zwłaszcza było to trudne w maju i czerwcu, gdy się bruk szlifowało w ciągu jesieni i zimy. Mieszkałem na Podgórze, na Salinarnej, chodziłem ze skryptem nauk pomocniczych Semkowicza i historyką Handlsmanna na Krzemionki i próbowałem coś sobie przypomnieć, ale było to nudne i suche. Marzyłem więcej o miłości; jakiś ból przenikał moje serce.

\*

– Dzisiaj wybory w Bratniaku – powiedział pewnego dnia Rózga – uważajcie koledzy, co wam mówię: brać, co kto może. Lasek nie puszczać, to niech każdy łapie coś cięższego: klucz, kamień albo co – do kieszeni i jazda.

Wziąłem z sobą ciężki klucz: z powodzeniem zastępuje kastet.

<sup>94</sup> Zofia Kozłowska-Budkowa (1893–1986) – historyk, profesor UJ, specjalistka w dziedzinie nauk pomocniczych historii (dyplomatyka i paleografia). Po aresztowaniu prof. Semkowicza przejęła jego seminarium z nauk pomocniczych historii i jako pierwsza kobieta zaangażowała się w tajne nauczanie na Uniwersytecie, ocalała także zbiory Seminarium Nauk Pomocniczych Historii (dokumenty z czasów średniowiecza).

<sup>95</sup> Stanisław Kot (1885–1975) – historyk, profesor UJ, w latach 1920–1934 kierownik Katedry Historii Kultury. W czasie II wojny światowej minister w Rządzie RP na Obczyźnie, później minister spraw wewnętrznych, ambasador RP w Związku Radzieckim i we Włoszech.

<sup>96</sup> Koło Akademickie Towarzystwa Szkoły Ludowej.

W dużej sali, w ławach schodzących tarasami w dół, zasiada gromada: studentki i studenci. Na górze nasza partia – ludowcy. Obok – socjaliści. Niżej, bliżej katedry, korporanci<sup>97</sup>, endecy (nieliczni) i piłsudczycy. Duszno i mgliście jak w chińskiej palarni opium; w sinych dymach płoną rude światła lamp.

\*

Przed uniwersytetem zebrała się gromada studentów. Mówcy wyskakiwali na schody, wyciągając szyje i gestykulując gwałtownie:

– Koledzy! Protestujemy przeciw haniebnym metodom stosowanym przez klikę rządzącą! Precz z oprawcami brzeskimi! Hańba im!

Tłum roił się, krzyczał. Na uboczu stała grupka młodych piłsudczyków: liżobrazki, tacy owacy!

Nad tłumem wyrosła wielka kukła na drągu: zamiast głowy – kostka do gry, za pasem nóż i rewolwer, w ręku zbójcecka maczuga. Poznano. Rozległy się oklaski, buchnęły okrzyki.

– Precz z Kostkiem-Biernackim!<sup>98</sup>

Stałem z nimi, trzymałem drążek z jakimś transparentem. Nagle ktoś przyskoczył do mnie i wyrwał mi transparent z ręki, podarł i podeptał. Rozległy się brawa w grupie piłsudczyków. Nie zdążyłem ochłonąć ze wstydu, gdy jak z podziemia wyrosły wśród nas granatowe mundury policji, sprawnie wyławiając i kukłę Kostka, i co gorętszych krzykaczy.

Reszta runęła pośpiesznie Gołębią na rynek pod Mickiewicza. Ktoś tam wylazł na postument i krzyczy ochryple. Zaczynam ryczeć: „O, cześć, wam panowie”, aż tu krańce idą w rozsypkę. Policja wdziera się w tłum. Dalej, nim tu przyjdą. Karetki policyjne stoją. Posterunkowi wpychają w nie demonstrantów. Jazda w boczną ulicę!

\*

Ojczyzna był to frazes niemodny, wstydlivy. Zanedto dużo słyszało

<sup>97</sup> Korporant – członek korporacji akademickiej.

<sup>98</sup> Wacław Kostek-Biernacki (1884–1957) – pułkownik wojska polskiego, działacz sanacyjny, komendant twierdzy brzeskiej, wojewoda nowogródzki i poleski.

się o nim na wszystkich uroczystościach oficjalnych. Sponiewierano ten święty wyraz, zmieszano z błotem, kupiono zań kwaterkę wódki w karczmie dla partyjnego agitatora, kupiono zań tłuste posady, rentowne medale.

Nie umieli cieszyć się życiem. Życie to znaczyło pójść do obscurnego szynku i tam pić do upadłego; odurzać się wódką i dawać się ponieść mętным falom pijackiego liryzmu w takt dancingowej orkiestry, w takt cynicznej piosenki:

*Nasza jest noc i oprócz niej nie mamy nic.*

Istotnie mieliśmy noc, ją tylko.

Ci młodzi ludzie pozowali na bohaterów Remarque'a, a właściwie byli nimi: zgorzkniali, cyniczni, posługujący się swobodnie brutalnymi określeniami.

Ulepiński był to młodzieniec z nalaną, śniadą twarzą, z mysimi włosami *à la Titus*; ręce w kieszeniach, w ustach papieros, marynarka zapięta na jeden guzik (inne guziki oberwane) – chodził niedbałym krokiem; wyrażał się z reguły ordynarnie. Kiedyś w dyskusji, dziewiętnastoletni entuzjasta, wykrzyknąłem coś o ojczyźnie.

– Mam w dupie ojczyznę – odpowiedział wzgardliwie Ulepiński.

Zmieszałem się.

\*

Kiedyś pod piekarnią stanął chłopski wózek. Różga powiedział do mnie:

– Jedź ze mną na wieś!

Wsiadłem na wóz. Zapadał już zmierzch. Leżąc na wiązkach słomy snuliśmy leniwe marzenia, wpatrzeni w gwieździste niebo.

– Kiedyś – mruczał Różga – spotkałem ją nad rzeką... w wiklinach... plażowała się... dopiero widzę, jaka to ci ładna bestyjka... położyłem się koło niej... gorąco, rozbiera człeka... pocałowałem ją, nie bronila się... Oddała mi się... Sielna dziewczka.

Minęliśmy niemiecką kolonię z białymi murowanymi domami – wreszcie wieś Skrochowa, karczma. Zebrała się tam gromada wyrostków i dziewczyn.

\*

Archiwum Główne<sup>99</sup>

Dr Kazimierz Marian Morawski<sup>100</sup>, autor *Źródła rozbiórów Polski*, zaprzysiężony wróg i demaskator masonerii, olbrzym o wzroku krótkim – widziałem go raz tylko.

Prof. Rafacz<sup>101</sup>, który wcześniej rano przychodził i wertował szybko książki ziemskie.

Prof. Skałkowski<sup>102</sup> – rozmawiałem z nim o materiałach źródłowych do historii Legionów Dąbrowskiego, które odnalazłem przypadkiem w Archiwum, ożywił się, gdy wspomniałem o znalezionym przeze mnie inwentarzu spadkowym po gen. Madalińskim<sup>103</sup>.

– Mnie to specjalnie interesuje – powiedział – i z tego względu, że moja żona pochodzi po kądzieli z tej rodziny. Był to szpakowaty, skromny pan.

Przychodzili do Archiwum ci, co pisali prace z zakresu historii politycznej, gospodarczej, kulturalnej i wojskowej, z dziejów szkolnictwa, szpitalnictwa, medycyny (jedna lekarka szukała materiałów do historii trądu w Polsce), teatru, zgłaszali się chłopci i zaściankowi szlachcice po akta i plany gruntów, o które się procesowali, zgłaszały się różne osoby poszukujące swych przodków. Raz przyszła trzęsąca się staruszka, na wpół głucha, zdziecinniała, która pytała o metryki swej rodziny z parafii leżących kędyś w Ukrainie. Potrzebne to było jej szwagrowi, jakiemuś baronowi austriackiemu, do stwierdzenia w Wiedniu aryjskiego pochodzenia. Przychodził młody powieściopisarz, jasnowłosego syna chłopca, Mortosza, który w aktach kryminalnych – bodajże skalmierskich – z początku XIX wieku odgrzebywał materiały do swej powieści z tej epoki.

<sup>99</sup> Archiwum Główne Akt Dawnych w Warszawie.

<sup>100</sup> Kazimierz Marian Morawski (1884–1944) – historyk, działacz i teoretyk konserwatyzmu, autor książki *Źródło rozbiórów Polski. Studia i szkice z ery Sasów i Stanisławów* (Poznań 1935).

<sup>101</sup> Józef Rafacz (1890–1944) – profesor prawa na Uniwersytecie Warszawskim, dziekan Wydziału Prawa tajnego UW i tajnego Uniwersytetu Ziemi Zachodnich.

<sup>102</sup> Adam Skałkowski (1877–1951) – profesor historii na Uniwersytecie Poznańskim.

<sup>103</sup> Antoni Józef Madaliński (1739–1804) – dowódca kawalerii, jeden z dowódców w insurekcji kościuszkowskiej 1794 r.



\*

Wyszliśmy z Warszawy nocą z 5 na 6 września; dorożka podwiozła nas [*nieczytelne*] do Miłosnej. Stamtąd powędrowaliśmy piechotą; na rozstaju dróg zatrzymaliśmy się: jedna wiodła na wschód ku Siedlcom i Brześciowi nad Bugiem, druga na Garwolin i Lublin. Była noc księżycowa z chmurami. Chłopi stojący przed chałupami pytali nas: „A dokąd to panowie?”. „Do Lublina”. „A Skąd?”. „Z Warszawy”. „Z Warszawy...? Panowie uciekają z Warszawy?!”. Brzmiała w tym jakaś posępna pogarda. Poszliśmy dalej. W lesie sosnowym posterunek. Podchorąży na warcie; pyta chciwie o wiadomości. Niestety, nic pewnego nie wiemy. Rankiem szóstego znaleźliśmy się w Wiązownej; nogi odmawiają posłuszeństwa, szukamy jakiegoś środka lokomocji. Daremnie wzywaliśmy sunące szosą auta ciężarowe i autobusy, żaden nie chciał się zatrzymać. Szosą jadą wozy, auta, autobusy, samochody straży ogniowej naładowane strażakami i ich rodzinami. W karczmie dostajemy herbatę i bułki. Przy stołach obok nas piją oficerowie kolumny pancernej. Jeden pijany zupełnie z jakimś łkającym histerycznym patosem wypowiada [*nieczytelne*] poplątaną orację i kończy ordynarnym przekleństwem.

Wraz z panem Stebelskim idę na poszukiwanie jakiejś furmanki. Po bezskutecznych poszukiwaniach wracamy i widzimy, że całe nasze towarzystwo stoi przy jakimś autobusie i nagli nas rękami do wsiadania. Doskonale. Wsiadamy do autobusu i jedziemy. Autobus po drodze utyka: brak benzyny, jedzie na mieszance spirytusowo-benzynowej, ale tej wkrótce braknie. Dobrnęliśmy do Garwolina. Postój około dwóch godzin. Wreszcie ruszamy dalej. Znów utykamy. Znalazła się wreszcie jakaś benzyna dzięki oficerom, którzy jadą z nami (stacja benzynowa dla wojska). Jakaś prywatna limuzyna chce, aby ją holować. Dobrze – czepiamy ją na lince. Ale szofer niezadowolony. Sami ledwo jedziemy. W pewnym więc momencie odczepiamy się. O dziwo! – limuzyna, rzekomo niezdolna do drogi, pędzi za nami i owi państwo gorzko wyrzucają nam nasz postępek, żądają zwrotu linki. Chytrzy ludzie, oszczędni!

Wreszcie stop! Dalej już nie pojedziemy. Przejeżdża jakaś furmanka. Pan Stebelski godzi się z woźnicą i jedziemy dalej końmi. W Maruszowie nocleg u jakiegoś gospodarza. Meldujemy się w pobliskim

miasteczku Kurowie. Zjawia się policja. Stać! W sposób bardzo ostry legitymują nas. Opowiadają, że tu gdzieś w okolicy złapano desant spadochroniarski.

Na drugi dzień, siódmego rano, dostajemy się do Lublina. Tu rozstajemy się; Zieliński i ja postanawiamy zameldować się do wojska. Idziemy koło koszar w śródmieściu. Koło muru kręci się duży jak cielę, łaciaty dog. „Czekaj – mówię do [*nieczytelne*] – to na pewno pies Krudowskich”. Oni tu gdzieś muszą być. „Lord! Lord!” Pies ani drgnął. „Musiałem się omylić”... ale to dziwne, dałbym głowę, że to Lord. Idziemy dalej. Krakowskie Przedmieście huczy od tłumów przewalających się chodnikiem. Zdawałoby się, że cała Warszawa zwała się do Lublina. Wchodzimy do kawiarni, pijemy kawę. Mignęła sylwetka Jaracza. Wychodzę na Krakowskie Przedmieście. Boże! Idzie Irka z matką i Kubusiem! Co za radość!

### III.

## Myśli o literaturze

Historię literatury powinno pisać się zawsze z pytaniem: czy i jaki wpływ miało dzieło na społeczeństwo?

Skarga był znany, ale który Skarga? Nie autor *Kazań sejmowych*, lecz autor *Żywotów świętych*.

Potocki Wacław co ogłosił drukiem? Tylko *Poczet herbów*. Wartościowe prace leżały w rękopisach.

\*

Uważam za błędny stosowany do dzisiaj podział literatury pięknej na poezję (rymy), powieść (prozę) i dramat. Jest to podział wybitnie formalny i to dotyczący się tylko strony dźwiękowej utworu: kadencji, rytmiki, muzycznej zwartości osiągananej za pomocą rymów (które w średniowieczu się urodziły i zwane były „bulgotaniem” barbarzyńskim przez pisarzy zapatrzonych we wzory nie rymowanych, lecz bardzo ważnych utworów poetów greckich i łacińskich) przeciwstawia się rozlewność prozy i na tej podstawie rozdziela się dzisiaj pisarzy literatury pięknej na dwie zasadnicze grupy: poetów i prozaików („powieściopisarzy”, „nowelistów”).

Tymczasem nietrudno wykazać, że na przykład taka „powieść szlachecka w 12 księgach wierszem”, jaką jest rymowany *Pan Tadeusz*

Mickiewicza ma mniej z tego, co nazywa się fantazją poetycką, niż na przykład prozaiczna *Duma o hetmanie* Żeromskiego.

Podział musi być oparty na kryteriach nie zewnętrznych, formalnych, ale wewnętrznych, merytorycznych. Poezją, poematem będzie się w takim podziale nazywał taki utwór, w którym pierwiastek fantastyczny, abstrakcyjny, liryczny i subiektywny bierze górę nad narracyjnym wątkiem. Poetą *par excellence* jest Słowacki, jest nim też Wyspiański.

Opowieścią czy powieścią, mniejsza o to: rymowaną czy prozaiczną\*, jest utwór, w którym pierwiastek obiektywny, epiczny, rzeczowy i realistyczny przesłania osobę autora<sup>104</sup>. *Pana Tadeusza* przetłumaczył Paul Cazin na francuski<sup>105</sup> – prozą i okazało się, jak klasycznie „powieściowy” (w przyjętym znaczeniu tego wyrazu) charakter ma ta epopeja heroiczno-romantyczna. (Zarzucano panu Cazinowi coś w rodzaju profanacji tego arcydzieła: nie popieram tych zarzutów).

Poetę unoszą gorączkowe widziadła wyobraźni w sferę niedorzeczności = nierealności (nie do rzeczy); brzmienie, muzyka słów potraça o pokłady podświadomości, wydobywa niespodziewane asocjacje, słowo zwykle panuje czarodziejsko nad poetą, który ujarzmił rymy, ale poddaje się kaprysom wyobraźni (stąd częsta na przykład u Słowackiego czy Wyspiańskiego perseweracja).

Powieściopisarz panuje nad przedmiotem: ma wytkniętą ideę lub wątek, ku któremu obraca wszystkie obrazy i akcje utworu.

Poeta jest samotnikiem niezrozumianym przez ogół (*odi profanum vulgus*). Powieściopisarz tworzy zwykle w żywym kontakcie ze środowiskiem. Mickiewicz pisał swego *Pana Tadeusza* w gronie przyjaciół.

\* Nie zgadzam się z twierdzeniem St. Baczyńskiego, jakoby głównym, zewnętrznym warunkiem powieści literackiej była prócz fabuły proza i jakoby *Pan Tadeusz* nie mógł być zaliczany do romansu.

<sup>104</sup> Stanisław Baczyński (1890–1939) – krytyk i historyk literatury, żołnierz Legionów Polskich, ojciec Krzysztofa Kamila Baczyńskiego; wydał m.in.: *Adam Mickiewicz: człowiek i poeta* (Warszawa 1918); *Juliusz Słowacki* (Warszawa 1918); *Literatura piękna Polski porozbiorowej (1794–1863)* (Lwów 1924); *Nasi powieściopisarze: charakterystyki literackie* (Warszawa 1928).

<sup>105</sup> Adam Mickiewicz, *Pan Tadeusz (Messire Thaddée)*, traduction, introduction et notes par Paul Cazin, Paris 1936.

Powieściopisarstwo wywodzi się z eposu ludowego. Powieścią taką jest starogrecka *Iliada* i *Odyseja* (pierwszy romans awanturyczny), powieściami są średniowieczne bajdy o Meluzynach i Magielonach, powieścią jest zarówno epiczna pieśń ludowa, dziadowska o oblężeniu Kamieńca Podolskiego, jak Sienkiewicza *Potop*, zarówno *Pan Tadeusz* Mickiewicza, jak *Wojna i pokój* Tolstoja. Główna różnica, jaka zachodzi między tymi utworami, znajduje się nie w ich charakterze formalnym (rym czy proza), ale w skali artystycznego wyrazu.

Poezja = marzenie samotnika, powieść = gawęda, opowiadanie dla grona.

\*

W *Panu Tadeuszu* posługuje się Mickiewicz metodą „soczewkową”: skupia serie zdarzeń lub wspomnień w jednym przedmiocie, w jednej płaszczyźnie plastycznej lub kompozycji muzycznej.

W portretach – historię insurekcji kościuszkowskiej; w tabakierce bernardyna – „Przemysłny Robak widząc, że się tak rozpryska / Rozmowa, jął ją znowu zbierać do ogniska, / Do swojej tabakierki” – sława zwycięstw Napoleona; w koncercie Wojskiego na rogu – „łowów historia krótka”, w konstelacjach gwiazdnych, w które weszła kometa – wróżby wojenne i przypomnienia zdarzeń związanych z pojawieniem się komet; w serwisie – historia szlacheckiego sejmiku, w koncercie cymbałowym Jankiela – dzieje Polski od Konstytucji 3 maja do Napoleona.

\*

Klęska, jaką ponosi po roku 63. poezja (czyli słowo rymowane, wiązane i wybitne), w epoce poromantycznej, pozytywnej – supremacja prozy (powieść) jest przejawem faktu, że poniósł klęskę indywidualizm poetycki, liryzm społeczny, metafizyka, a zwyciężać poczęła forma najbardziej dostępna szerokim rzeszom, najbardziej związana z ich życiem, wreszcie genetycznie z nizin ludowych pochodząca, a mianowicie powieść prozaiczna.\*

\* Por. trafne uwagi St. Baczyńskiego, s. 45–46.

Koniec epoki romantycznej kładzie się zwykle na rok 1863. Ale oznaki dążności pozytywnych haseł pracy organicznej pojawiają się już przed tą datą. Wyrazicielem ich jest na przykład w roku 1861–1862 „Tygodnik Ilustrowany”, a zwłaszcza jego kronikarz Wacław Szymanowski, który w swych kronikach tygodniowych porusza szereg zagadnień pracy organicznej.

Jest to epoka Wielopolskiego, epoka ścierania się dwóch prądów: zwolenników ewolucji (autonomii) i rewolucji (niepodległości).

W poezji brak już największych poetów romantyzmu (Słowacki umiera w roku 1849, Mickiewicz w 1855, Krasiński w 1859). Wśród czytających występuje wyraźny przesyt poezją romantyczną (zob. „Tygodnik Ilustrowany” 1862, tom 2, nr 239). W ziemiach zabranych zwrot ku realizmowi nastąpił na skutek reformy włościańskiej przeprowadzonej w tym czasie. Szlachta musiała zaznajomić się lepiej z ekonomiką. Ustało charakterystyczne dla Ukrainy bałagulstwo złotej młodzieży, kontraktowe karciarstwo, próżniackie życie oparte na wyzysku pracy poddańczego chłopca.

\*

*Wesele* miało swój akt IV – na widowni krakowskiego teatru dnia 16 marca 1901 roku. Czar muzyki Chochola owładnął duszami widzów. „Cała publiczność – czytamy we wspomnieniu dyrektora teatru – oszłomiona napięciem teatralnego wrażenia, siedziała z tchem zapartym, jakby do miejsc przykuta”. A potem – entuzjazm szalony, gorączkowy, zasypywanie poety podczas przedstawień kwiatami z łóż, krzeseł, balkonów i galerii. A przecież, jak słusznie zauważa A. Grzymała-Siedlecki<sup>106</sup>, dramat powinien był wywołać albo nienawiść do twórcy – jeśli oskarżenie było niesłuszne, albo przygnębienie – jeśli naród ujrzał swoje prawdziwe oblicze w tym zwierciadle. Tymczasem – była tylko „kapitulacja duszy zbiorowej”. Nie nerw instynktu społecznego, ale nerw artystycznej wrażliwości poruszyło to wstrząsające dzieło.

<sup>106</sup> Adam Grzymała-Siedlecki (1876–1967) – krytyk literacki i teatralny, działacz kulturalny, współredaktor „Tygodnika Ilustrowanego”; publikował ponadto m.in. w „Rzeczpospolitej” i „Kurierze Warszawskim”.

Pamiętamy obraz Matejki: „Skarga” głoszący sejmowe kazanie przed królem, dworem, magnatami i szlachtą. Siedzą lub stoją bez ruchu, wsłuchani w echo swych sumień. Po wyjściu z kościoła – wszystko potoczy się dawnym trybem: samowola, egoizm, prywata, bezmyślność! Takimi słuchaczami byli i ci, co zapelniali w roku 1901 widownię krakowskiego teatru.

*Wesele* miało być satyryczną komedią\*, pamfletem na współczesnych – stało się dramatem – dlatego, że sam Wyspiański należał do tego pokolenia, którego niemoc poznał. On sam jest w straszliwym somnambulicznym kole taneczników weselnych, jego samego urzeka muzyką szyderczo-żałosną ów krzew róży omotany w słomę. On sam snami się pieści i snami ucieka z życia, w nim samym dawność walczy, on sam nie zna drogi, zapomniał zaklęcia zdolnego odczarować zamknięte, bezwyjściowe koło narodowego losu. Na pewno inaczej zakończyłby *Wesele* Wyspiański, gdyby miał wolę realizacji czynu, gdyby był człowiekiem czynu. I dlatego *Wesele* spotkało się z entuzjastycznym przyjęciem narodu, że ono, będąc oskarżeniem narodu, było spowiedzią twórcy, więc spowiedzią pokolenia.

Pokolenie roku 1901 uznało w Wyspiańskim wieszczka, dlatego że rzucił mu w twarz straszne oskarżenie ubrane w cudownie piękną, artystycznie rewelacyjną formę.

Pokolenie roku 1849 nie uznało wieszczem Słowackiego, który także ciskać umiał (w *Grobie Agamemnona*) klątwy na naród swój w cudownie pięknych, muzycznych strofach.

I to najdobitniej obrazuje, jak różne były orbity odczuwać tych dwóch epok. Epoka tak zwana romantyczna mierzyła jeszcze poezję, nawet bezwiednie, probierzem własnych procesów biologicznych. Szukała w niej źródeł życia, instrumentu walki o byt narodowy. Jeden tylko Mickiewicz, który w czynie szukał realizacji swego słowa, był dla tej epoki wieszczem. Nie mógł nim być artysta „złapany w potrzask epoki” (określenie Z. Wasilewskiego), choćby artysta tak wielkiej miary jak Słowacki.

---

\* Por. uwagi A. Grzymały-Siedleckiego, *Wyspiański. Cechy i elementy jego twórczości*, Kraków–Warszawa 1909, s. 82–83.

Epoka Młodej Polski kreowała na wieszczą twórcę *Wesela*, który także był złapany w potrzask epoki i wplątany w czarowne koło bezmyślników, tromtadratów, sennych marzycieli, narcyzów i makabrystów.

Ta sama epoka nie widziała nic upokarzającego w *Rocie Konopnickiej*.

Nową epokę otworzyła dopiero butna, dumna, roześmiana, drastyczna, bezkompromisowa pieśń ludzi czynu – legionistów.



## IV.

# Wiersze, proza poetycka i narracyjna

### Proza poetycka i narracyjna

#### **Rozdział I. (1)**

Reina, chuda, smągła pasterka i Kuba, chłopiec gospodarski, brzydki wyrostek o szczurzym pyszczku, szli pod las dębowy, gnając krótkimi pręcikami czerwone krowy i kilka baranów. Na polu przy drodze rozmięklej i połyskującej w marcowym słońcu taflami kałuż, pasł się samotny jabłkowity koń, szczypiąc nędzną jeszcze, ledwie wykluwającą się z ziemi trawę.

Przechodząc przez wzgórek, nazywany przez wszystkich, nie wiadomo dlaczego, mogiłą – przystanęli, jak co dzień, i tupiąc nogami w ziemię, nasłuchiwali pilnie.

– Reina – rzekł Kuba – słuchaj jeno jako to tu grzmi na tym miejscu. I wczoraj grzmiało i wtedy, jak łaciata wlaźła w owies.

– Nie pleć – udawała niewiarę.

– Dalibóg!

Cupli w dziwnym miejscu i jęli pięściami bić w ziemię. Odpowiedział dźwięk głuchy, pusty. Kuba zerwał się, ułamał pręt z dębiny, wystrugał kij i począł nim gmerać niecierpliwie w miękkiej ziemi.

Dzieci, co wy tu robicie?

## Rozdział I. (2)

Studnia chlipała srebrzyście, gdy ziewające dziewczki, zagrzane czerwonym ogniem piekarni, czerpały drewnianymi konewkami rozchlustaną wodę. Z rozwartych drzwi domostwa ciekło płaskie, różowe światło w popielatą mgłę przedświt. Koguty, otrząsnąwszy się z czarnych zmor nocy, energicznym gestem nastroszonych skrzydeł, krzyczały chrapliwie. Wśród zabudowań płaśały ogniki latarń, dojarki szły z cebrzykami do obór, dyszących ciepłą parą gnoju i mleka.

Gospodarz stękając, dźwigał się z ciepłych odmětów łoża i naciągał juchtowe buty. Plugawe mary snu, wspomnienia dnia poprzedniego, słowa modlitwy, gotowe rozkazy i połajanki dla czeladzi latały po zamroczonej głowie jak szare, ślepe myszy.

Zatrzymał się nagle, zastygł z ręką na cholewie. W zwyczajne odgłosy poranne, w ekstazy piania kogutów, skrzypot i plusk studni, w rozziwy i westchnienia przenikające cały dom, wmieszał się dźwięk niezwykły. Krzyk radości i płacz stłumiony, szepty skupione w jednym punkcie, narady, pochlipywania.

Wstał, narzucił szybko kabat, nawinał czapkę i wyszedł do sieni. Dwie kobiety objęte uściskiem, wtulone głowami w ramiona, płakały gwałtownie a cicho. Dziewki i parobcy, porozwierawszy usta, stali w milczeniu z cebrzykami dymiącymi mlekiem. Pasterz Kuba, smągły wyrostek o szczerzym pyszczku, smarkał głośno w palce i wytrzeszczał oczy bezmyślnie.

Ujrzawszy gospodarza, czeladź rozpierzchnęła się jak kawki po strzale z rusznicy. I one go spostrzegły: matka i córka.

Stał przed nimi, olbrzymi starzec, prosty, siwy, rumiany, wargami gryzł i przeżuwał niewypowiedziane słowa, ręce mu drżały.

Rozwarł usta i przymknął, aż wybiegło z nich z trudem, głucho i strasznie:

– A... wróciłaś! Ty...

Rzuciła mu się do nóg, rycząc gwałtownie. Twarzą czerwoną, spuchniętą od łez i wstydu, zamiatała proch u jego stopy, pięścią tłukła o klepisko, wyła o miłosierdzie. Matka odwrócona, oparta o framugę drzwi, pochlipywała cicho z twarzą ukrytą w fartuch.

Czerwony ogień świtu przedzierał się coraz silniej przez szarość

wrześniowego poranka. Na czole i szyi starca nabrzmiewały niebiesko straszliwe żyły.

– Wróciłaś – charczał – i co teraz, może i bękarta przyniosłaś?! Pocięz ojca, uraduj, szubienicznico!

Gniew rósł w nim, dławiał gardło niby kawał złego, niedogotowanego mięsa:

– Teraz płaczesz, teraz czołgasz się, jak ta suka, ale wtedy litości nie miałaś, gdyś... A idźcie do niego, do gacha, pod ciepłą pierzynę... Mnie sromoty nowej nie dodawaj... bo na Boga żywego, psami cię wyszczuć każę!

Umilkła i leżała wstrząsana łkaniem.

Spojrzał na nią, straszny, z bruzdami na czole, podobny do Sędziego Sądu Ostatecznego.

Oto była jego córka. Jego ukochana Reina... oto leżała przed nim, wzdęta rozpaczą, wstydem, zniekształcona, w łachmanach żebrackich. Te śliczne oczy obrzękłe były i czerwone, policzki dawniej delikatne i białe, teraz były zmięte i żółte. Nagle wezbrała w nim litość, a choć gniewne zmarszczki zostały, głos złagodniał.

– Precz! do piekarni! – krzyknął i prędko wyszedł na podwórze. Podniosła się i pobiegła za nim, chcąc go ucałować w twardą, żylastą rękę. Odepchnął ją szorstko, ale już nic nie powiedział. Powłokła się więc do piekarni.

Dniało coraz szybciej. Wstawał dzień biało-mglisty, kruki wrzeszczały na kępie grabów wdzierających się w niebo, w mieście rozpoczął się ruch.

Pasterz Kuba i pasterka Zośka pognali na pastwisko czerwone i czarno-białe krowy, dzwoniące dzwonkami.

– Widziałaś? – odezwał się Kuba – stary mało krwią się nie zalał... Już myślałem, że po cyrulika pobiec każę!

– A ona, biedna! – powiedziała rezolutnie Zośka.

– Ihi – zaśmiał się szyderczo pasterz – biedna, a z chłopakami kto latał, kto po przełazach wstążki gubił, kto do karczmy na tańce... Ihihi, biedna! Już ona się nakochała, nie bój się!

– Ale biedna, tak płakała – upierała się dziewczyna.

\* \* \*

Urszula – oczy pałające, nieprzytomne prawie. Ręce gorące, czerwone. Skąpa chorobliwie, morzy głodem swych domowników, kęs chleba za wiele przelknięty przez gościa przyprawia ją o szaleństwo. Nienawidzi swej córki – dlaczego? Pobożna i okrutna.

Paweł – chory na nerki, zgryźliwy, chodzi nieco pochylony, bokiem, chudy, drobny, siwawy.

Regina – zmysłowa, łakoma na świecidla, uczuciowa, sangwiniczna, litościwa, dobra, zbudowana pięknie, oczy ładnie skrojone, ciemne i jarzące się jak gwiazdy o zmierzchu, włosy ciemne. Diabeł z winoroślą w ręku, mocny i dorodny, kusi ją nieodparcie, grzech ma dla niej smak słodczy. W jej życiu są tylko blaski i ciemności czarne, pośrednich stanów nie ma. Od śmiechu do łez, od żarliwej modlitwy do wyuzdanej rozkoszy z kochankiem. Czy jest temu winna? Jest samym ciałem i materią, jak ziemia, drzewa, owoce, jest częścią natury i jej prawom najochotniej się poddaje. Moralność jej jest narzucona. Ona w gruncie rzeczy jej nie zna w sprawach życia, jak nie zna jej ani zwierzę, ani drzewo, ani kwiat.

Marcjanna – nerwowa, nieznośna, małostkowa, obłudna, w gruncie rzeczy egoistka, kocha tylko swoje dzieci, cudzych nie cierpi.

Piotr – niepoprawny marzyciel, [nierealny] aż do śmieszności, zagłębiany w swych wątplych i jednostajnych myślach. Wpatrzony w nie dość bezmyślnie, niby rybak w mętny nurt rzeki.

### Zbójnicy

Na przedzie szedł harnaś w czerwonym kołpaku z pawim piórem, hardo a bystro spojierając żbiczymi oczami w głąb borów. Na szyję upadały krucze, lśniące od tłuszczu włosy, w uszach brzęczały cichutko złote kolczyki, w ręku błyszcziała żelazna siekierka. Za nim chłopcy walili gromadą dziką, tanecznym, chełpliwym krokiem, dźwięcząc toporkami, obuchami i rusznicami i poprawiając zuchwało kapelusze z bukietami, które im dziewczuchy uwiły z piórek, świecideł i smreczyny.

Szumiały lasy mijane, bukowina czerwona i złota, pieniały się i wiły między stopami rwące potoki, opadłe liście leciały w przestrzeń ciemną ognistym dymem, a za nim gonił dźwięczny falset pieśni.

Jedzie furmon dolinom,  
 A zbójnicy brzezinom,  
 Postój, furmon, pocekoj,  
 Siwe kónie nom oddej!

### **Impromptu**

Kamienistą dróżką wśród wapiennych załomów wracają z miasta chłopci. Niezgrabni, o twarzach czarnych i jak gdyby rzeźbionych w drewnie. W szklanych kulach oczu skaczą nieustannie drewniane konie karuzeli. Głowy chropowate, szpiczaste, ospowate, obrzękłe, przekrwione, zmarszczkami pokryte.

Pod jarzębiną, skroploną krwawym potem, zbłąkane dziecko tłumii bezsilny szloch we wklęsłych usteczkach, nieruchome i wzdęte w żalu, jak barokowy aniołek z trumien. Na murawie rozłożył się brodaty włóczęga. Płaskie, stare stopy przesłaniają ludziom w wąwozie jego śniadą, obrośniętą twarz.

Przechodzą śpiesznie pod ceglany murem cementarza. Straszą ich cienie krzyżów, odbite na białych ścianach kostnicy. Metaliczny stuk rydła, drążącego grób świeży, przeszywa ciszę wieczoru.

Przyśpieszają kroku i milczącą gromadą schodzą w dół ku rzecznej przeprawie, gdzie błyszczą czerwona latarnia.

I rzeka płynie bezgłośnie, lśniąca i ciemna, niosąc w zwierciadłach fal odbicia drzew, ludzi i zwierząt.

– Hej, przewóz!

Czekają, milcząc, jak tłum cieni. Zgrzyta stalowa lina promu. Olbrzymi przewoźnik stoi z żerdzią w rękę, nieruchomy jak posąg. Przybił do brzegu i ludzie tłoczą się na pokładzie krypy.

Rzeka płynie leniwie, tocząc z sobą plugawe uśmieшки utopionych.

Przeprawiają się na drugi, tajemniczy brzeg.

– Oto Królestwo Umarłych!

### **Zmierzch na wsi**

Kuźnia jęczy rytmicznym łoskotem. Pryska żelazo spod kującego miarowo młota. Stary kowal bije i bije nieustannie w oś, na której obracać się będzie koło srybnej karyty jasnego grafu za szklanego burku.

A kowalka, żwawa, rozpustna gamratka, gzi się z czeladnikiem gachem. W sadzie karłowatych jabłoni se leżą na zielonej trawce. Czerwone jabłka gryzą w pożądlivych gębach i całują się i pieszczą.

Stary kowal bije i bije nieustannie w oś, wpatrzony bystrymi źrenicami w rozżarzoną do białości prawdę żelaznego trudu.

– Kowalu, podkuj mi konia!

Gdy w palenisku rozczzerwienia się podkowa, Jakub, zagubiony w ogromnej kuli światła, spogląda na wieś wieczorną. Zmierch kwitnie bladą lilią na srebrnym stawie. Bydło truchtem biegnie z pastwisk do obór, gdzie czeka je senne błogosławieństwo żucia na ciepłym gnoju jaśliska. Metaliczny chrzęst składowych sierpnic płacze się z wrzaskiem studziennych żurawi. W chałupach warzą żur i pieką bochny chleba. Duża domu wylatuje przez komin błękitnym dymem gorącego mleka.

\* \* \*

Ów pan miał jedną nogę drewnianą, na głowie perukę z warkoczykiem zwierzanym wstążeczką i kij w ręce. Nachylił się nade mną i wtedy poczułem zapach tabaki i lawendy. W kieszonce jego kamizelki zadzwoniło coś jedenaście razy. Był to srebrny zegarek, którego dziś się już nie używa.

### Szarańcza

Jakoś wiosną przyszła szarańcza. Do Skały przyleciał pewnego ranka parobek na koniu pianą okrytym, zarył w piasku przed kuźnią i zeskoczył, krzyząc ochryple:

– Szarańcza, szarańcza!.. Idzie!.. Jest na polach świętomichalskich!..

Ludzie powybiegali z domów i ledwo zdołali się dorozumieć, o czym ów tak wielkim głosem woła, gdy wtem od wschodu przyciemniło się niebo popielatą, ogromną chmurą owadów.

Zmartwieli nagle, jakby im nogi w kamień się obróciły. Wtem zaczęły bić dzwony na kościele. To dzwonnik Szymon ujrzał na niebie ten widomy znak straszliwej pomsty Boga za grzechy nasze. Wtedy tłum zaczął biec ku zielonym polom, porywając, co kto mógł, dla odstraszenia skrzydlatego wojska. Brząkali kosami i łańcuchami, strzelali z rusznic, kołatali, dzwonili krowimi dzwonkami, czeladnicy cechowi bili w bębny,

a niektórzy po prostu, przyłożywszy do ust dłonie, krzyczeli co sił. Ale już szarańcza, niby ślepa i głuchą siłą pchnięta, runęła gęstą masą na młodą, zieloną ruń, okrywającą pola.

Tak, było już za późno! Wy opoje, po karczmach to umiecie tłuc się i kopać i pracować po pyskach, ale jak co, to stoicie jak te krowy głupie, a robaki nam zboże pojedzą! Ej, nie krzycz jeno, nie wiesz, co mówisz! Prawdziwy to gniew Pański, woli jego się nie sprzeciwiaj, bo to nie na twój rozum... Ech, dzieci, dzieci, co będziecie jadły?

### **Karczma**

Izba szeroka, niska i ciemna. Pod okopconymi belkami stropu, wśród sosnowych stołów bulgoce i tłucze się zgiekliwie ciżba. Załomotał tupot butów, beknęły dudy, rozlał się pisk skrzypiec, prysnęły drzazgi z podłogi. Żołnierz pijany zawirował, przystanął, otarł rękawem pot zalewający oczy i wrzasnął:

*Na Czarnieckiej ulicy  
Przygrywali muzycy  
Moja Kasiu, puść mnie ta,  
Zapomniałem muszkieta!*

### **Bitka**

W gospodzie skwierczały świece.

Gospodarz Krupa, ksiądz Maciej, bakałarz Stanisław Cidrowski. Dzwonnik Wojciech i dwóch młynarczyków siedzieli przy stole i pili piwo. Krupa wypiwszy dwa garnce, poczuł się źle i poszedł spać do swojej izdebki.

Pili też przy drugim stole chłopcy z Jodłówki. Wśród nich łysy Cielecki o oku jednym bielmem zaszytym, ponury, z rękami na stole. Syn jego wyrostek, chodząc po izbie z kijem w rękę, szukał okazji do zwady. Najpierw młynarczykom kijem groził i potrząsał, potem przyszedł do stołu, przy którym szkolni siedzieli i siadł przy nich.

– Czyjeś ty, dziecię? – pogłaskał chłopca po głowie bakałarz – Czego tu chcesz?

Nalał mu szklanę piwa i częstował.

– Czyżby? – odfuknęło dziecię – Cóż ci na tym?! Pański jestem!

Karczmarka podeszła do starego Cieleckiego, aby syna upomniał, bo jeśli będzie przyczynę ludziom dawał, to go, mówi, pobiją.

– Pani! – błysnął zdrowym okiem stary – niech mi go nikt nie bije, bo by tego żałował, kto by go bił! Słyszysz, chłopczyku? Ej, siedź!

A potem potrząsając rękawem u sukni swojej:

– Widzisz pani, co mi to szabelkowie porobili? (Pokazując na szkolnych).

– Ale pamiętajcie, szabelkowie, że się to wam nie przepieczę!

A chłopiec Cieleckiego chodzi przecie po izbie i kijem po tarcicach uderza.

Ogromny Andrzej Tarka stał zaraz za szkolnymi, podparty na nasieku, z oczyma roziskrzonymi, gotowy do bitki. Inni chłopci chodzili nie dbale po izbie mało pijąc i mało gadając, tylko siekierkami postukując. Wyrostek stanął przed ślusarczykiem Franciszkiem i mówi:

– Słyszysz ty szabelka, coś mój ojciec był winien, coś na nim suknię temu trzy niedziele poszarpał?!

– Ej, idź precz ode mnie – zbywa go pięknie ślusarczyk – bom ci nie winien, ani z tobą nijakiej sprawy nie mam, a jeśli masz co do mnie, masz na mnie urząd!

On jednak nie ustępował i od matki złorzeczył.

Franciszek porwawszy konewkę ze stołu, chciał prasnąć zuchwalca, ale dzwonnik chwycił za konewkę:

– Dajcież spokój! – mitygował go.

Ale już z rumorem obkoczyli ich chłopci, potracając siekierkami, a stary Cielecki lupnął ślusarczyka, aż pod stół się zwałił, a towarzysze, porwawszy go, uciekli do sąsiedniej komnaty, zawarłszy za sobą drzwi.

Karczmarka wpadła do izdebki męża i trzęsąc śpiącym wrzeszczała:

– Wstań, dla Boga! Bakałarza chcą zabić!

Krupa, wyskoczywszy z łóżka w bieliźnie tylko, chciał biec do izby, ale ledwo wyszedł z izdebki, aż go pisarzowa w nos poraniła, gdy ją, podpierając drzwi wyłamywane, chłopci odepchnęli drzwiami.

Chłopci wdzierali się do komnaty zaciekle, nie dbając o gniewne krzyki i połajanki gospodarza. Wtedy bakałarz, zdeterminowany,



widząc że na niego dybią, wypadł do izby z siekierką i począł się z chłopami uganiać po izbie, a oni go kijami i siekierkami sięgali, uderzywszy hurmą na niego. Któryś go grzmotnął obuchem. Bakałarz załapał się krwią i padł, lecz po chwili dźwignął się ciężko, chwiejąc się na uginających się nogach, i znowu chłopom się oganiał. Tymczasem chłopci świece pogasili naumyślnie, tylko jedną porwała dziewczka służebna i uciekła z nią za piec i tę Tarchała chciał zgasić, aż mu dziewczka konewką w łeb dała.

Drżący gospodarz z komnaty wyjść nie śmiał. Bakałarz bronił się coraz słabiej, aż powtórnie ogłuszony ciosem obucha zwałił się na podłogę, a w koło głowy jego rozlała się czerwona plama krwi.

Chłopi stanęli nad nim, jak kruki i nagle rozpierzchli się, przeskakując powalone stoły i konwie i dopadając koni, czekających przed karczmą.

Bakałarz leżał nieprzytomny, a z krwią uchodziła zeń dusza.

### 8 IV 1935

Pierwszy dzień wiosny. Błękit, biały, olbrzymi obłok przemija poza zieloną górą. Na drzewach pąki dziewicze. Powietrze ciepłe. Kruki i słowiki gnieźdzące się na drzewach ogrodu Ossolineum ogromną chmurą roją się nad nim wrzeszcząc wesoło. Na murawach są już żółte kwiatuszki – mlecze?

### Dzwony

Dzwony były. Spiżowe usta aniołów wzdęły się pieśnią walącą się głucho, monotownie, ociężałe w wzburzoną ciemność, w żałobne wichry, w świat rozbluzgotany burzą. Dzwony były, następowały miedzią po miedzi, potopem jęku wypełniały popielate niebo, aniołowie nieulekłe dęli w straszliwe trąby Boga, nad ziemią mosiężną wstęgą ciągnęła chmura dzwonów. Żłobiły spiżowe koryta w lichym świetle, huczały, huczały potężnie.

\* \* \*

Wisła płynęła wolno, szarym ołowiem, ciężkim, nieprzenikliwym, marszcząc się w sztywne, twarde fałdy. Łodzie i tratwy, co przeżywały ciemną masę wody, świeciły purpurowymi ogniami, oplątywały niebo

– nisko opadłe wzdętymi chmurami – masztami i sznurami żagli. Wieczór parował i dyszał upałem, w ciszy rozpostartej szeroko dochodziły odgłosy spóźnionych gdzieś młotów, bijących w żelazne sztaby, i rżenia koni, prowadzonych do wody.

Nad wieżami i dachami miasta rozświetlała jeszcze ciemne chmury zorza zachodu, w oknach zapalały się światła. Zamek królewski promieniał blaskiem świec, bijącym z wszystkich okien.

## **Kozacy**

### **(Wspomnienie Reiny omdlewającej w budzie u jabłoni)**

Piki ich lśniły srebrne w żółtym słońcu marcowym. Zwinne ich koniki prychały białymi kłębami pary, z głośnym łoskotem leciały po grobli i dudniły na mostkach.

Nagle zapłonęły drewniane chałupki na przedmieściach. W mieście zajęczał krótko przerażony dzwon, rozległy się przeraźliwe wrzaski. Ludzie zatrzaskiwali drzwi, czeladnicy z muszkietami lecieli, ślizgając się w śnieżnej odwilży, do bram, lecz już stłoczone konie Kozaków, przewaliwszy ich i zostawiwszy w kałużach krwi, gnały w głąb ulic.

Rymarka ukryta za przymurkiem widziała, jak wywlekli siwobrodęgo Bąka i drewnianymi witkami głowę mu ściskali, coś do niego wrzeszcząc, a on z oczyma w słup obróconymi charczał i ryczał na przemian jakimś niehumanym kwikiem. Kilku Kozaków rzuciło się do kościoła, drzwi żelazne wyważyli i zaraz potem rozległ się brzęk i łomot. Niebawem wybiegli z ornatami srebrno-złotymi i antepediami, które migotały ogniście szychem. Inni znikali we wnętrzach domostw, szukali [*nieczytelne*] lochów, stukali, kłęli, macali, gdzieś tam dziewczyna przychwycona wrzeszczała. Droga, stłoczona w czarne błoto pod kopytami koni, zabieliła się chmurą podartych ksiąg miejskich i dokumentów, papiery fruwały w powietrzu niby spłoszone gołębie. Kozacy wynosili na ramionach wszystko, czego nie zdołali ukryć mieszczanie. Olbrzymi Kozak niósł na ramieniu kilka czerwonych koletów, suknię księżą futrzaną i strzelbę. Inny trzymał w ręku snadź księżowskie rzeczy: srebrnego aniołka odlewane, krzyżyk złoty i czamlotową sutannę.

### **Jabłoń**

Drzewo trzeszczało szarpane wichrem, ostatnie zeschnięte listki wirowały, opadając. Reina drżała, wiatr lodowaty ciał ją w twarz i ręce, żelazo na szyi i w pasie dźwięczało.

Pies przybiegał do niej, lizał ją po ręce i skowyczał, a ona głaskała go, łzy toczyły się po policzkach, ale głosu z siebie nie wydawała. Zrobiła się brzydka, twarz pomarszczyła się, nabrała jakiejś zgniłej szarej barwy, sinej od zimna. Buda sklecona z desek chwiała się za lada porywem wiatru.

### **Sad**

Eteryczna woń jabłek rozwiała się błękitnym dymem. Księżyc wtoczył srebrną pełnię w rozczapierzone gałęzie. Przez trzepot serca, przez bezradny gest rąk kochanków, wśród ciszy, zapłonionej żarem utajonego ognia – wiła się [*zdanie urwane*].

### **Plan**

Bogaty kupiec win z miasteczka N.N. ma córkę Reinę, pełną temperamentu. Reinę ponosi krew i na śmierć zakochawszy się w studencie Mikołaju, ucieka z nim. Gdy jednak Mikołaj, skradłszy coś dla niej, uciekł do rozbójników, powróciła do domu, srogo przyjęta przez ojca. W miasteczku zjawia się od czasu do czasu postać tajemnicza – miotlarz: jest to chodzący wyrzut sumienia. Reina próbuje uciec z domu i odgraża się, że spali dom ojca. Ojciec przykuwa ją do jabłoni w sadzie. Uwalnia ją w noc deszczową krawiec Sylwester, który się w niej kocha. Uciekają oboje w mgłę i szarość.

\* \* \*

Ogień syczał, buzował, wybiegał w niebo coraz wyższym płomieniem, trawił szybko drewniane więzadła czerwonego dachu. Stopiła się miedź, runął w kłębowisko ognia stary Atlas ze swym światem, rozkruszyły się gipsowe figury bachantek, sylenów i nimf.

### **Szkoła**

Nudnie bzykają godziny niby muchy nad zmierzwioną strzechą

włosów bakałarza. W izbie ciemno, czuć kapustę, którą kucharka nauczyła kisi w sieni. Bakałarz, zażywając tabakę, siąkając rozepchanym nosem, czyta z malcami nuty lub każe pisać: „*Sanctuo – święty, malelictus – przeklęty*”. Hyka obrzydliwie, odbija mu się piwo, kwaśny smród miesza się z wyziewem brudnych nóg uczniów.

– Piszcie – drapiąc się w głowę, w której tkwią piórka pierza i słomki siana, mówi bakałarz – *Homo sine litteris – speculum impositum*.

Kucharka bakałarzowa z wrzaskiem ugania się po sieni za wieprzkiem, który hasając wesoło, przewrócił cebrzyk z moczającą się w niej brzezina na różgi.

### **Miasto przed oblężeniem**

Chłopi z mularzami robili przez tydzień około muru, potem kamienie łamali i ołów na kule rąbali, powroźnicy robili lonty, ślusarze przerabiali stare śpiżowe działka, kowale kuli zielone blachy dla opancerzenia bram miejskich. Wreszcie, gdy prace zostały zakończone, ksiądz oficjał w asyście duchowieństwa i rajców błogosławił prochy, kule i strzelbę po basztach i murach złożone.

### **Ratusz krakowski, rok 1660**

Jan stanął jak wryty. W powietrzu przejrzystym zapląsał misterny dźwięk niby srebrna kula u błazeńskiej czapki. Dzwoniąca melodia owinęła się wokół czarno-żółtej tarczy. Przez galeryjkę poczęła sunąć procesja: natchnione postacie z rozwichrzonymi brodami w fałdzistych szatach, dwanaście figur świętych apostołów; wynurzali się z drzwi, płynęli chwiejnie pod tarczą i znikali w czeluści. Miotlarz długo stał z otwartymi ustami, wsłuchany w przebrzmiałe już dźwięki i z żalem spoglądając na pustą już galeryjkę.

\* \* \*

Stajnia był to ogromny budynek drewniany na podmurowaniu. Przez otwarte wrota widać było drewniane przegrody, w których kare konie potrzasały łbami, dźwięczały łańcuchami i uderzały głucho w gliniane klepisko. Stajnię rozświetlało blade, żółtawe światło, przenikające przez okienka, drzwi i szpary w ścianach.

### **Lirnik**

W rudym jesiennym lesie przy drodze nad rowem, zasypanym czerwonym listowiem, siedział rudobrody dziad z ruskich krajów i niby trzmiel brzęczał na lirze.

### **Odpust**

W klasztorze dzisiaj odpust. Górę klasztorną pokrywa ruchliwe mrowie ludzi, koni i baranów, bo każdy chłop przyjeżdżający do klasztoru, przyprowadzał mnichom tłustego barana.

### **Po łacinie**

Na ławie siedział organista z siodlarzem, a między nimi panna. Siodlarz całował ręce Szczygłówny, po czym wstawszy, krzyknął:

– Muzyka, a teraz grajcie po łacinie.

Instrumenty zagrały, a przy ich wtórze siodlarz, łypiąc błękitnymi oczyma w stronę panny i pusząc się jak kogut, śpiewał pieśń łacińską.

### **Po bójce**

Stolarczyk wyglądał okropnie: głowa potłuczona, na czole guzy jakby włoski orzech, oczy przekrwione i napuchłe, szyja opuchła od dławienia, jak konewka.

\* \* \*

Oto pyszniły się przedziwnym urokiem i powabem ciał, a teraz leżą po grobach wzdęte zgniłym powietrzem, toczone przez robactwo, glisty wżerają się w te źrenice, które lśniły błękitem nieba i zielenią trawy, spopieliły się bogate haftowane suknie. Leżą obok mniszek w brunatnych habitach. Te, które przed zwierciadłami malowały sobie usta i rysowały łuki brwi, obok tych, które łańcuchami opasywały biodra i w włosiennicach leżały na zimnej jak lód posadzce kościołów. Dzieci, które umarły w godzinę po narodzeniu się obok starców, którzy poznali zło i boleść świata.

– Oto pociecha życia! Wartoż było, dziewczyno, suknie tak długo przed lustrem-klamcą przymierzać, wartoż było, mniszko, krzyżem w głuche noce zimowe i w jasne słowicze noce maja i czerwca

leżeć i pościć i drętwieć? Szukałaś Boga? Czy znalazłaś go, gdy leżysz w mogile?

### **W łodzi**

Zaniósł ją na rękach do łodzi, wskoczył, zachybotła się na wodzie. Noc była ciemna, dżdżysta, ołowiana; szumiała głośniejsz niż zwykle. Pchnął wiosłem, odbił się od śliskiego brzegu, łódź zakręciła się i popłynęła z nurtem. Płynęli w deszczową mgłę, w głuchą czeluść rzeki, w noc. Szumiał deszcz, szumiała przestrzeń.

\* \* \*

Czeszki – harfiarki stoją w podwórku, mężczyzna w czerwonej kamizelce śpiewa.

\* \* \*

Zimowe południe, skrzypiący śnieg, rozświstane metalowe ćwierkanie wróbli, chmurą siedzących na krzakach i drzewach.

### **Napad**

Huk, świst i dym wychynął spod mostku. Konie zachrapały i rzuciły się w bok, przerażone widmami, które obskoczyły wóz. Kupiec sięgnął po pistolety, ale osunął się nagle, zamroczony ciosem obucha. Twardy uchwyt ściągnął go z kozła. Ocknął się w chwilę potem, gdyż wyprostowawszy się, ujrzał konie, gnające z wozem w oślepiający krąg księżycy; biegli za nimi z wrzaskiem gniewu napastnicy.

### **Lato**

Nadeszło parne lato, żółte, aż do białości rozpalone, omdlałe zmysłowe ciało świata, oszołomione same sobą, rozłożone na polach wśród zbóż i stojących nieruchomo sadów, snujące w południowej godzinie gorączkowe widziadła. W rzece kąpią się kobiety wśród trzciny, podglądane przez chłopców. Po drogach wściekle bąki tną konie, konie trzęsą łbami. Nocami w rzece świstał i rechotał głupi, rozpustny diabeł.

### Miotlarz

Zegar na wieży kościoła wydzwonił sześć razy. Miotlarz stał na zielonym cmentarzu wśród starych, na pół zaklętych grobów i patrzył w żółtawą światłość nieba, rozwarłszy usta i oczy z twarzą natchnioną i promienną. Mogiły pachniały majem, jak gdyby ciała dzieciątek i starców, mężczyzn i kobiet owiły się koronkami i łądygami, uwieńczyły kwieciami.

\* \* \*

Zaczął chodzić do szkoły.

Pod kościołem tuż przy cmentarnym murze stała chałupa kryta zbudowaną słomą. Mieszkał w niej bakałarz w jednej izbie, a w drugiej części mieściła się szkoła.

Izba szkolna pełna była wrzaskliwej hałastry. Czytało to, mrucało, sylabizowało. Nauczyciel w kapeluszu na głowie wyglądał jak stary łopian. Trzymał na kolanach jakiegoś pędraka i odmierzał mu różgą w goły tyłek jakieś łacińskie metrum. Za drewnianą przegrodą słychać było rzenie koni.

W promieniu słońca wirował pył.

Nauczyciel, młody jeszcze człowiek, nosił włosy *à la* Titus, twarz miał wygoloną niedbale, nos pałkowaty, jedno oko podpuchnięte, ukończywszy egzekucję, zaczął stukać palcatem, uderzając szkolnych.

Ujrzawszy Kubę, popychanego przez ojca, rzekł:

– A... witajcie, Wawrzonie... no... Cóż tam, z Kubą przyśliasta?

Kuba wrył oczy w zmiętoszoną fizys bakałarza. Bał się okropnie.

– A to, panie bakałarzu – rzekł Wawrzon – niech ta mój chłopoczek coś się tam poduczy z elementarza...

Bakałarz uśmiechnął się cynicznie:

– Na księdza?..

Wawrzon zawstydził się.

– Iij... cheba... żeby tak prawdę rzec... ano, właśnie na księdza... chłopoczek je zmyślny... może to co z niego będzie?..

### Zima

Dzień słoneczny i mroźny. Na śniegu głębokie niebieskie cienie, przestrzeń pól olśniewa bielą. Na drzewach w poplątanej sieci gałązek

siedzą czarne długodziobe kruki, wlatują ciężko, łopocząc skrzydłiskami i kołują nad miastem. Żółte słońce okrąża niebo i szybko zapada w fioletowo-szary zmrok. Kosmate koniki biegają przy brzęczących dzwoneczkami saniach.

### **Kruki**

W kępie grabów, sterczących samotnie, wdzierających się w niebo drapieżnymi ramionami gałęzi, siadywało stado kruków. Kruki lubią martwy smutek samotności, szare, leniwe godziny jesieni, przepelnione goryczą i cierpkością. Ich trzeszczące, zardzewiałe głosy wmieszane w szum jesiennego wiatru, nie żalują ani łkają, ale przeklinają i noc i jesień i chłód.

### **Wróble**

Szare, zwinne, beztroskie, fruwiąją lekko, czarne oczka latają, główki wyciągają nieufnie i kręcą nimi na wszystkie strony, wścibska hołota.

### **Duet**

– Kocham Cię!

– Mów, jest tak ciemno, twój głos płynie przez te drzewa, kwiaty i trawy wraz z śpiewem słowika.

– Kocham Cię, przechyl się ku mnie i spójrz mi w oczy twymi oczyma, co jak gwiazdy błyszczą wśród nocy. Pozwól mi ważyć w rękach ciężar swego ciała pełnego i jędrnego niby miąższ owocu.

Przywarli do ściany. Deszcz huczał i szumiał, światła gromów rozjaśniały co chwila tę szarą masę wody, jaka zalewała świat.

– Ledwem się wymknęła – dyszała ciężko – ojciec coś się obracał na łóżku i stękał, a matka śpi tak lekko!

– Jesteś, jesteś – czuła żar jego ust przy swej twarzy – moja ty!

Ręce jego obejmowały ją mocno, szukały, pełzały niecierpliwie. Przenikał ją gorący dreszcz pragnienia. Strugi ulewy, zalewające im twarze, wyzwały w nich utajone żądze i rzucały ośleptych od błyskawic na pastwę losu i przypadku.

– Nie, nie – broniła się słabo, ale zaraz potem zwarła swe usta z jego wargami i pozwoliła mu czynić z sobą według jego woli. Rozkosz bezmierna przeniknęła jej istotę. Nigdy grzech nie wydał się jej bardziej



godnym pożądaną, nigdy nie roztoczył tyle swych niewysłowionych nieodpartych pokus i powabów, jak w tej dziwnej chwili, gdy czuła na sobie ciało Adama, gdy zapoznała się z ciepłem jego skóry pulsującej krwią i poczuła jego wargi na swojej odsłoniętej piersi.

### **Dziewczyna**

Dziewczyna przeginała się w tańcu ciężko. Rozchylone usta wśród rumianych policzków zwabiłyby motyla. Zgrabne nogi w nicianych pończochach, piersi uwypuklone okrągło.

### **Studnia**

Święty ogląda wieczność skamieniałymi oczyma. Studnia pluszcze i chlipie srebrzyście ściekiem wody, gdy ziewające dziewczki, jeszcze zagrzone czerwonym ogniem piekarni, czerpią wodę drewnianymi kownkami. Wśród domów płasają latarki gospodarzy, dojarki idą do krów, koguty, otrząsnąwszy się ze snu energicznym podrygiem nastroszonych skrzydeł, krzyczą chrapliwie.

### **Krawiec gra na harfie**

Krawiec Zaleski siedzi przy oknie i gra na harfie. Szarpie struny ręką natchnioną, za oknem słońce topi się w rudym grzędawisku zmierzchu, melodia niby grad i deszcz nieukojonny skacze, uderza i łzami się skrapla. Zalewa pokoje roztopem żalu, chwije się po ścianach fantastycznym cieniem, jak pijany anioł.

\* \* \*

Taki strach ogarnął ludzi przed okrutnymi Węgry i Kozakami, że niejednemu chciało się jak szczerowi skryć i zaszyć w loch najgłębszy, a jeszcze lepiej gdzieś pod niebem, gdyby można było się ukryć.

W dzień sobotni przed kwietną niedzielą, jakoś pod wieczór, Orłowska posłała kucharkę do rymarki z zawiadomieniem, że już loszek odkryty. Rymarka zaś rzekła do dziewczek:

– Dziewki, nagotujcie sobie łoktusze, pójdziemy do pani Orłowskiej.

Dziewki powiązały rzeczy w brzemiona i przy świecach chowały je w loszku.

Tymczasem rymarka siedziała w izbie u Orłowskiego przy stole. Oboje karpia jedli.

W niedzielę kwietną po wielkiej mszy Orłowska szła z rymarką z kościoła i wstąpiła do jej sieni, a rymarka wyniosła kieliszek gorzałki z komory.

Akacje utraciły już kwiecie i łuszczyły się teraz żółtymi strączkami.

\* \* \*

Roziskrzzone w słońcu żółte źdźbła słomy, rozmierzwione strzechy chałup, szeleszczące w upale strączki akacji, w chłodny mrok kościoła wdziera się suchy powiew ziela, słomy, piasku, perz okrywa cynowe figury brodatych rycerzy, leżących pod ścianami z rękami wspartymi na łokciach. Przez okno nad ołtarzem błyszczy niebo, ptaki nawet nie świergocą jak zwykle, zdławione upałem.

\* \* \*

Czerwony winogrodz okrywa szczyty domów, klony, kasztany i buki. Stoją w pasie, odrywają się od nich lekko szkarłatne i żółte plamy liści i ściekają bezszelestnie w rowy i przydroża.

\* \* \*

Roziskrzzone słońcem źdźbła słomy, lśniące końskie zady, rozmierzwione strzechy chałup, szeleszczące strączki akacji. W wilgotny chłód i mrok nawy wdziera się suchy powiew ziela, potu, zeschniętego błota i nawozu. Białe perz pada na cynowych rycerzy, leżących pod ścianą z rękami wspartymi na łokciach. W konfesjonałach omdlewają młodzieńcy klerycy i wikariusze, w chłopcu serce bije głośno niby kamień, a w mózgu płonie czerwone piekło. Oto tam, na tym złotym ołtarzu wśród świec ogromnych i kwiecistych, gdzie pali się i migoce szkarłatne światełko jest coś, co przejmuję lękiem, załamuje kolana, trzęsie zimnem. Tam są – w tym cyborium srebrnym – wrota do niebios, których chwała rozwiera się jeno przed metalowymi oczyma świętych i aniołów, przed oczodołami szkieletów pod posadzką zebranych. Niebiosia strasznie wzdęte wspaniałością i uwielbieniem, białe i błękitne ni to pustynia śnieżna.

A tam poza nim śmieje się i krzyczy radośnie on, goni po zaroślach i wiklinach nadrzecznych kąpiące się dziewczęta, przeciąga się, aż stawy trzeszczą, rechocze rozpustnie, obwieszony strąkami winorośli niby wieńcem, z kolczykami czereśni na uszach gwizdże w dwa palce. Jest piękny, dorodny, kosmaty. Jego wzrok niby wzrok węża czaruje i urzeka niewiasty. Śnią o nim nocami i wzdychając, przewalają się ciężko na swych łózkach. A później, nie mogąc ukoić swej żądz, smarują się mascią i w śnie straszliwym lecą na Łysą Górę na schadzkę z nim.

### **Koń na grobli**

W noc, bluzgającą ciemnością, wichurą i deszczem, w przestrzeń pociętą strugami srebrnymi ulewy i obrzeżoną jeno na skrawku horyzontu nikłym światłem pożaru, gnał po grobli kamiennej oszalały koń. Nozdrza kurzyły dymem, pierś i zad lśniły czarną sierścią, okute kopyta wyłuskiwały grzmiąco ziarnisty żwir drogi.

Na stawach woda bełkotała mrocznie, trzciny i szuwary trzaskały pod naporem wichru, płaskie łodzie, pełne wody, kołysały się na popękanych wielekroć zwierciadłach rozlewiska.

### **Koń na trawniku**

Brzoza białopienna wieje w poźółkłe niebo zielonymi włosami. Polne różyczki, zatajone cichutko po miedzach, zamknęły znużone sennością powieki. Zmierzch przenika świat, płynna i przejrzysta szarość, tlejąca jeszcze tam poza falistą linią gór różowym żarem wśród włóknistych rozstrzepionych obłoków.

Na soczystej, zaiste szmaragdowej zieleni trawnika stary koń o siwej wyleniającej sierści, zagłębiony w siebie bez żalu, z oczyma szeroko rozwartymi i lśniącymi, w których czasem poprzez odbicie białopiennej brzozy i szarzejącego nieba ujrzeć można coś, co wstrząsa do głębi – skacze ciężko i niechętnie. Nogi ma u pęcín związane sznurem, wrzynającym się w kości. Pochyliwszy łeb, chrupie twarde łodygi ostu i chwastów.

### **Baby w kapeluszach**

Pewnego dnia do leśnego Wojciecha Bocianka przyszły dwie baby po prośbie, spać nie tutejsze, bo w kapeluszach były. Bociankowa dała im

jałmużnę, a wtedy jedna z nich, pomarszczona niby zgniłe jabłko, spytała:

– A co u was słyhać?

– Nie wiem ni o czym – odpowie gospodyni – nie słyhać tu u nas nic z łaski Bożej.

– A to myśmy słyślały – sepleniała stara – o jakiejś białogłowie w tej wiosce, że jakoby ją jejże własny ojciec miał utopić.

– Pan Bóg to wie, my ni o czym nie wiemy.

– A to ostańcie z Bogiem!

Leśny golił chłopów ze wsi.

### **Zasadzka na złodzieja**

Uczciwy Wojciech Dudek, [przedmieszczanin] koziołkowski, postanowił wyśledzić złodzieja, który mu części wozu kradł. Pewnej nocy czerwcowej położył się więc przy wozie i leżał w przyczółku w stodole. Wtem zaczęło w sadzie sąsiednim coś szeleścić. Sądząc, że to wilk, Dudek porwał się z leżyska z siekierką w rękę, i czeka, co dalej będzie. Aż tu z sadu wychodzi chłop i idzie ku stodole. Było ciemno, jakoś ku północy, więc nie mógł go zrazu rozpoznać. Ale chwyciwszy go znienacka i pasując się z nim na boisku, poznał, że to [Szy...]. Poznany złodziej rzecze:

– Miły Wojciesze, o tom chciał u ciebie koło pożyczyć! Wóz mój na drodze stoi niedaleko.

– A gdzież on? Pójdź ze mną.

Ale w drodze złodziej wyrwał się i uciekł w łąki nadbrzeżne, śmiejąc się i przedrzeźniając Dudka.

\* \* \*

Starzec siwy, lecz rumiany i czerstwy, zawsze wesoły, ze śpiewką na ustach, miał lat około siedemdziesiąt. Pamiętał dawne czasy, gdy jeszcze królowie w zamku krakowskim mieszkali:

### **Starość**

Zapałł się w głąb siebie. Całymi godzinami siedział w izbie, wpatrzony w ogień w kominie, śledząc wyblakłymi oczyma coś, co było jego dawnym życiem, co już dawno zgasło. Mruczał niewyraźnie słowa,

czasem łyzy ciekły mu z oczu, a on siedział nieruchomy, zatopiony cały w toni przeszłych czasów. Życie jego nie szło już naprzód, lecz cofało się w głąb i kurczyło w mrok dzieciństwa, zamieniało się w żółty mlecz i biały kwiat rumianku, zrywany ręką dziecka, aby w końcu rozpląnąć się w bezbarwnej nicości, z której wypłynęło niegdyś. Świat, w którym ciałem trwał, stał mu się niezrozumiały, obcy, nawet wrogi. Słyszał, że coś tam mówią, chichoczą za jego plecami, że coś się dzieje i przewala koło niego, lecz nie silił się już nawet zrozumieć. Czy to jego dzieci, ci ludzie wąsaci, szorstcy, gestykulujący, czasem skaczący sobie do oczu z gniewem marszczącym czoła i ciskającym iskry ze źrenic? Umierając, głosem żalnym dziecka wołał matki i płakał nad całym swoim życiem, w którym nie ziściło się to, co było snem młodości.

### **Koń**

Na trawniku siwy, stary koń chrupie twarde łądygi ostu i chwastów. Niebem szarym płyną zbrukane obłoki, przedzierając się przez przetłały żółty, nikłym światłem popiół zmierzchu.

Nocami, w pachnącej sianem i nawozem stajni, gdy przez okienko wlatuje księżyc, srebrny nietoperz, a w przegrodach źrebce i klacze tłuką łbami o żłób z żelaznym chrzęstem łańcuchów, marzy mu się coś strasznego, jakiegoś ośleple, niewyraźne przeczucie samotnego pola, pełnego kruków i ścierwa.

### **Pożegnanie**

Szli nieprzytomnie w ciemną i chłodną głąb lasu. Już odtajały z lodu cieniutkie strumyki, wśród płatów obmierzłego śniegu wynurzały białe główki bukiety pierwiosnków. Od mokrej ziemi wiało wonią zgnitych szpilek świerkowych, pomieszaną z aromatem świeżej żywicy.

– No, Reino, ostań już z Bogiem! – rzekł z rozpaczą.

– Nie chcę, nie chcę! – wyła z głową opartą na jego piersi.

Stał bezradny, przetykając łyzy dławiące go w gardle. Jej łyzy uderzały w jego serce jak kule w pierś żołnierza skazanego na śmierć.

### **Strumyk**

Chłód i czar cienistego parowu w głębi świerkowych lasów. W dole o kamienie ostre kaleczy szklane stopy roześmiany chochlik strumyka.

## Dzieci

Przez rynek szedł triumfalnie tłusty dobosz zamkowy, niosąc od ślusarza naprawione kotły, a za nim biegła piskliwa kupa dzieci, wrzeszcząc za nim, podskakując, aby z bliska kotłom się przypatrzeć i uderzyć piąstką w ich skórę napiętą. Buum! Grzmiały kotły niby straszliwy głos z piekielnej czeluści.

Mały Bartek biegł z innymi dziećmi, dziwiąc się wszystkiemu. Usłyszawszy głos ojczyma, zatrzymał się.

– Pójdź no, synku – wołał ojczym przez okno gospody. Poszedł niechętnie, oglądając się za doboszem, który szedł drogą do zamku.

W gospodzie ojczym siedział przy stole z chudą, drapieźną panią Orłowską. Ze sztucznym uśmiechem dała chłopcu grzanek z piwa i rzekła:

– Jedz, miły dziedzicu, a rośnij prędko, żebyś mi dług oddał, który mi tu twój ojciec nieboszczyk – łysnęła okiem ku ojczymowi – zaciągnął.

– Jakież to dług, moja pani Orłowska? – zapytał ojczym.

– A tom, panie, nieboszczykowi sto talarów pożyczyla, za które mi w zastaw dał browar, nie wiecie?

– Diabłoć tam, dawnoście już go sobie odebrali z browaru – sapnął gniewnie ojczym.

## Zwierciadło

Za panowania króla Augusta II żyła na Podgórzu w miasteczku Skale mała, chuda pasterka krów, Reina. Ta Reina była, jak mówili ludzie, dość dziwną dziewczyną. Nie śpiewała, jak inne bosonogie jej towarzyski, gdy szła z bydłem w pole, dźgając zieloną witką z brzeziny w boki krów, ani nie siadywała nieruchomo na wzgórku, aby patrzeć całymi godzinami w zieleń łąki. Nie, ona doprawdy była szalona. Szła nad strumień, co wił się wśród łąk srebrzystym wężem, tam usiadywała i cesała długo swe czarne włosy, patrząc w zwierciadło wody jak urzeczona.

– Czekajcie ludzie, mówił w chwilach ożywienia stary Bartek owczarz, co mieszkał latem i zimą w drewnianym lichym szałasie pod bukowym lasem. – Czekajcie, będzie z niej czarowniczka!

Sam był czarownikiem, umiał uroki odżegnywać od krów, a starą Florianową wyleczył nawet z róży, jaka się jej na twarzy zrobiła, to może i wiedział, jak to tam jest z takimi dziewczynami, co nie takie jak inne.

Reina milczała, można by nawet pomyśleć, że nie rozumiała, gdy do niej mówiono i dalej patrzyła w strumień pluszczący cicho po kamieniach, w zwierciadło, co się łamało i tukało nieustannie. Odbicie jej oczu, nosa i ust krzywiło się nieustannie, szydziło z niej zmiennymi wciąż grymasami, wymykało się, igrało z nią okrutnie. Nieraz chłostała wodę gniewnie swą brzezinową witką, lecz strumień śmiał się chępliwie i zachłystywał się radośnie.

Lecz raz Reina zdradziła swój strumień i więcej już nie usiadła na jego brzegu. W bukowym lesie na drodze znalazła metalowe zwierciadło z rączką. Skąd się tam wzięło? Nie wiadomo. Wprawdzie stary owczarz mówił, że właśnie niedawno przejeżdżała tamtędy karetą i kłął się, że widział przez szklaną jej szybę piękną panią i przypuszczał, że z tej karety przez niedomknięte drzwi to zwierciadło wymknęło się na drogę. Reina jednak wołała wierzyć, że przyniosła je tu jakaś cudowna czarodziejska siła i teraz wierzyła mocno, że kiedyś znajdzie skarb, o którym śniła nocami.

Inne pasterki zbiegły się do niej, gdy nie bez dumy okazała im swoje cudowne zwierciadło, lecz gdy chciały przejrzeć się w nim jak ona, zmarszczyła brwi i odepchnęła je, krzycząc:

– Idźcie, nie wolno wam patrzeć w to zwierciadło.

– Widzicie ją, głupia! – zawołała smagła Zośka – Coś ty duszę swoją w nie zakłęła, czarownico?

Ona popatrzyła na nie spokojnie, a potem roześmiała się, podskoczyła na jednej nodze i zaśpiewała jakąś dziką góralską piosenkę.

Było to niezwykle! Coś się tej Reinie stało, nikt jeszcze nie słyszał jej śpiewu, a teraz!

### **Cyganie**

Płynie kulisty, miedziany dźwięk kotłów śniadych ludzi z Egiptu. Wiatr dmie i rozwiewa ich tłuste, krucze warkocze, brzęcące srebrem obręczy. Prowadzi na koniu cygański książę w czerwonym kubraku i żółtym brudnym zawoju. Wozy skrzypią, w betach cyganki mruczą monotonna. Ostry smród koni powiewa ponad królewską [karetą] niby rozwiana na wietrze dumna chorągiew wolności. Drzewa, żółte listopady, sieją płomieniami liści, które chwieją się we mgle niepewnie, jak

umierające motyle. Pod jabłonkami-karlicami gniją miedziane ulęgałki. Wyżłobione koleiny drogi nikną w szkarłatnej zawiei. Metal wieczornych dzwonów drga coraz ciężej. Wiatr tnie senne powieki jak ogromna, szumiąca skrzydliskami pszczoła.

\* \* \*

Szumiała szara masa wody, deszcz szalał, chłostał szklanymi prętami, falował, bił zaciekle w ulękle drzewa. Wyławiałem jej dech gorący, wcałowywałem się w jej usta, oplecieni przejrzystymi warkoczami deszczu, zatapialiśmy się bez pamięci w sobie. Deszcz wyzwał w nas najtajniejsze rządze i rzucał, oślepył od żaru rozkoszy, nagich, na ich pastwę.

\* \* \*

Patrzmy martwo kamiennymi oczyma za siebie. Wypaliło się w nas wszystko, popiół mamy na wargach. Życie minęło – kiedy? Sami nie wiemy. Czekaliśmy nań, a ono przeszło chyłkiem obok nas, a kiedy zdawało się nam, że trzymamy je mocno w objęciach, okazało się cieniem.

\* \* \*

Oto ogromna chmura zielonego listowia chwieje się cicho ponad ciekącą wodą.

\* \* \*

Gdy idę ulicą, z niepokojem i żalem patrzę w ośleple, oszalowane deskami okna starych domostw. W każdym z nich czyjeś życie biegło, rodziło się, gasło; oto święte miejsca dziecięcych zabaw, o których nikt może już nie wie. Tam muszą jeszcze czaić się po kątach te niezliczone sny, dręczące dzieci w gorączce, dławiące niegdyś piersi małżonków. Właściciele już poumierali, groby ich zakłęsły.

Spójrzmy tylko na cały świat. Miliony mieszkań, miliony ludzi. Jedni śpią, inni pracują, inni przechadzają się, bawią się. Ileż światów! Co za potworna ilość kosmosów płonących w tych niepozornych istotkach, z których każda wyobraża sobie, że jest ośrodkiem świata – i – co dziwniejsze – tak jest istotnie!



## Poranek

Studnia pluszcze i chlipie srebrzyście, gdy ziewające dziewczki, zarżane czerwonym ogniem piekarni, czerpnią rozchlustaną wodę drewnianymi konewkami. Jest jeszcze ciemno, listopadowy przedświt mglisty i bury. Wśród ciemnych domów płasają, niby błędne ogniki, latarnie gospodarzy, dojarki idą z cebrzykami do obór, dyszących ciepłą parą gnoju i mleka. Koguty, otrząsnąwszy się energicznym gestem nastroszonych skrzydeł z ciemnych zmor nocy, krzyczą chrapliwie i długo. Westchnienia i ziewania, świat przeciąga się ospale z chrzęstem ramion.

– A cóżeś ty, Reino, – pyta głos świergotliwy u studni – cóżeś tak długo w noc u gospodarza siedziała?

Tamta wzrusza niechętnie ramionami, ledwo jej dźwigają się ołowiane powieki z oczu sennych.

– Widziałam cię sama – dodaje świergot.

– To i co? – burknięcie końcem warg. Ręce białe napinają się mięśniami i ciągną łańcuchem żelaznym rozkołysane wiadro. W srebrzystym zwierciadelku wody odbija się twarz Reiny, zapuchłe oczy, zgrabne usta i cera bladuróżowa.

– A to – papla świergot – gospodyni zła chodzi jak diabeł!

– Iii! – wzgardliwe skrzywienie ust.

Idą, dźwigając wiadra, woda chlusta im na bosc stopy.

\* \* \*

Rzeka słała się srebrzystą szeroką wstęgą wśród piachów i wiklin. Most turkotał nieustannie pod kołami wozów chłopskich, ciągnących sznurem ku miastu. Z młyna omączony młynarczyk z czerwoną śmiejącą się gębą, w lichym kaftanie rozpiętym na piersiach, wiózł napęczniałe wory, snadź ciężkie bardzo, bo konie stękały i wspierały się silnie nożyskami w sękowate dyle mostu.

– [Pomagabóg], Jędrzeju – zawołał młynarczyk do chłopca jadącego z drewnem.

Drwał obejrzał się ponuro.

– Bóg to zapłać – mruknął.

– Dużoście, widzę, drewna nacięli dzisiaj – plótl parobek – sprzedawać będziecie, na opał czy jak?

Drwał milczał chwilę.

– Ano wiozę – wystękał wreszcie – ano, na opa! wiozę, Kuba!

Konie parsknęły nagle i odskoczyły w bok.

– Prr! stójta, psiekruwie – krzyknął Kuba – gdzie to wam?! Prr! Dziury w moście się przelękły! Pewnie, jak w taką dziurę popatrzysz, to i tobie, człeczce, w głowie się zamąci. Woda bieży i bieży, a most wysoko! Hej, jakby tak człek spadł w one głębokości, chybaby kostka jedna nie została!

### **Matka**

Mikołaj wszedł w podwórze, furtka zajęczała przeciągle. Przez rozwarte wrota obory ujrzał matkę, jak przybrana w brudny czepek i fartuch, przykucnięta na stołku, doiła krowę. Siwa staruszka o twarzy pomarszczonej i rumianej, żwawa i uśmiechnięta, spostrzegłszy syna, krzyknęła radośnie i za chwilę, wytarłszy ręce w fartuch, przybiegła go uściskać.

Czarne jej ręce świadczyły o trudzie wielu lat, o świtach i zmierzchach, graniczących ciężkie dni pracy. Pogodna i szczerza, wierzyła gorąco w Boga i diabła, pościła w środy, piątki i soboty, była uparta i wytrwała. Gdy stary dom drewniany, po ojcu odziedziczony, spłonął podczas najazdu szwedzkiego, a nowy stawiali cieśle, spała wówczas w oborze, a przez dziurawy dach śnieg sypał na jej pierzyny.

– Boże cudowny – mówiła, śmiejąc się szczęśliwie teraz – dobrze, iżem nie zamarzyła w te czasy.

### **Aptekarz**

Aptekarz Modecki, człowieczyna niski, o wielkiej głowie z oczyma schowanymi w pomarszczonych workach, był człowiekiem uczonym. W izbie jego na stołach i półkach tłoczyły się grube księgi, oprawne w skórę. Była tam i *Nauka leczenia*, i *Thesaurus pharmaceuticus*, i *De secretis mulierum* z obrazkami, i *Institutionum pharmaceuticarum libri*, i wiele innych. Między książkami sterczały mózdzierze, żelazne nożyce, sitka, alembik z pokrywką, rurniczka. W sklepie miał szafę z szufladami, puszek kilkadziesiąt.

\* \* \*

Był to mizerny człeczyna o wielkiej siwej głowie. W pomarszczonych workach kryły się ostre, zjadliwe oczy lisa. W izbie jego śmierdziało

kurzem i osobliwym zapachem grubych ksiąg, które – oprawne w skórę – stały na półkach, leżały na podłodze i stole. Była tam i *Nauka leczenia*, i *Thesaurus pharmaceuticus*, i *Institutionum pharmaceuticarum libri*, i *De secretis mulierum* z rycinami nagich kobiet. Wśród książek sterczały szklane retorty i słoje, miedziane moździerz, alembiki, rurnice, żelazne nożyce, sitka. W sklepie stała pod ścianą wielka szafa z szufladami i kilkudziesięciu puszkami.

### **Skarb w lesie**

(1661)

Reina, pasterka, i Kuba, chłopiec gospodarski, pasali bydło w lasku dębowym. Przechodząc często z bydłem przez pewien wzgórek, słyszeli, że tam jakoby grzmiało.

– Reina, słuchaj jeno – mówił Kuba – jako to tu grzmi na tym miejscu...

– Nie pleć!

– Dalibóg!

Oboje cupli w dziwnym miejscu i jęli pięściami bić w ziemię, która głucho odpowiadała. Potem zastrugawszy kije, nimi gmerali, aż pręt o coś stuknął.

Stanął nad nimi stary Bartek dojarz:

– Dzieci, co wy tu robicie?

A tak, i tak, opowiedzieli o wszystkim... Bartek toporzyskiem zaczął ziemię rozgarniać, potem przyniósł rydel i kopał. I wygrzebał z ziemi dużą faskę drewnianą okutą z wiekiem, prętem żelaznym zamkniętą, a starą, bo obrączki na niej już zetlały. W fasce były srebrne pieniądze.

### **Rycerz**

Gdy tak galopował na parsającym koniu fryzyjskim, to słuchało się tej jazdy niby dziwnej, ostrej muzyki. Grały dzwoneczki miedziane u czapraka, a płaski dźwięk szabli, uderzającej po bucie i ostrodze, zlewał się z chrzęstem żelaznym pancerza, furkotem puszystej, wielobarwnej kity, co mieniła się szarpana wiatrem, i z łoskotem kopyt.

### **Woda**

Deszcz ustał, ale niebo jest ołowiane. Bure kałuże, rozlewiska błotne,

liście opadłe niby łódki płyną z ich falą krótką. Brnę po kostki w wodzie bulgocącej, niby święty Krzysztof przedzieram się przez żywioł, chlupot, szum.

### **Maj – czerwiec**

Maj zachłystywał się fiurkaniem słowiczym, chmury bzów ciskał oburącz w lunatyczne niebo. Trawa miękka, coś w niej chrobotąło, łąziło, parność, kochankowie tłukli się nieprzytomnie po nabrzeżu wśród wiklin, zapadali w niepamięć, w utajone wśród szuwarów stawki.

### **Orkan**

Drzwi szarpnęły się w zawiasach i otworzyły się. Strumień powietrza wtargnął wściekle: błyskawica i piorun. Światła olśniewające w szalonym wirze. Raz, drugi! Dom drży w posadzkach. Drzewa gną się pod żelazną lawiną. Ucichło na chwilę, a potem lunął deszcz ogromny i świat wezbrał strasliwym szumem. Jak gdyby olśniewające oko Boga, rozwierało się niebo błyskawicami.

\* \* \*

Ubrawszy się w pilśniowy kapelusz z szerokim rondem i pióropuszem, zdarty gdzieś z szwedzkiego oficera, zabitego w polu lub w rowie przydrożnym, paradował po mieście. W ręku niby jakie berło lub kaduceusz błazeński, niósł kij ze snopkiem słomy z miedzianym dzwonkiem. Chodził tak, brodaty i plugawy, po karczmach, dzieci za nim biegały. A nieraz zaszedłszy w las, stawał między krzakami przy drodze, kędy baby i dziewczki do miasta chodziły, plugawie się obnażał, na co one ze śmiechem się trącały, a młodsze piszczały ni to wstydliwie, ni to trwożnie, ni to wreszcie gniewnie.

\* \* \*

Dzwony były. Spizowe usta aniołów wzdęły się pieśnią, walącą się głucho i ociężale w wzburzoną ciemność, w żałobne wichry, w świat rozbluzgotany burzą. Dzwony były, potopem jęku wypełniały popielate niebo, złościły wśród chmur mosiężne koleiny, huczały, huczały potężnie.

### Miotlarz

W baraniej czarnej czapce tkwiła głowa. Rozmierzwione włosy spadały na uszy ciemną falą. Twarz zmiętoszona, poryta bruzdami, niby zeschnięte jabłko, tylko oczy błękitne promieniały w niej jasnym światłem. Postać skulona, omotana w szare szmaty, w łachmany lice, na plecach przytroczona wiązka brzezinowych giętkich mioteł.

### Wspomnienie<sup>107</sup>

*Panu Leonowi Kryczyńskiemu poświęcam*

O drogo piaszczysta, płacząca czerwonymi łzami sierpniowych jarzębin –  
wiedziesz nas ku śpiewającym pieśń gościnną progom tatarskiego  
dworu –

poprzez zagajniki złotych, drżących brzózek, zasianych szumiącą  
ręką wiatru na rozłogach, przeoranych pługiem wojny –  
poprzez siodła i garby wzgórz, falujących rżyskami, nabijanymi  
kopcami zbożowych stert.

Rżą i prychają konie, czujące dobrotliwy zapach bliskiego domo-  
stwa i smakowitą woń obroku w stajennych żłobach –  
zacerwienił się w zielonej gęstwie ogrodu komin oboziskiego  
dworu.

U splotu dróg, biegnących od cichych, chodźkowskich Borun do  
Wołożyna, od Bohdanowa do Łostaj, od Łostaj do Dowbuciszek –  
wznosi się dwór „z drzewa, lecz podmurowany” –  
Oboziszcze: czujny, tatarski obóz.

Wzgórze, na którym stoi, opływa rzeczka-pieśniarka, wartki, kry-  
niczny prądnik: Łostajka, bo przez odwieczne mużułmańskie Łostaje  
przebiega – jej wodę przejrzystą chłęptały znużone bachmaty tatarskich,  
królewskich chorągwi i szlacheckich ułusów.

Dokoła pola zastygłe w litewskiej, bezmiernej melancholii: zielone  
rozmiękłe łąki i żółte ściernie pod ogromnym błękitem nieba –  
nad drogami wiszą nieruchomo koralowe girlandy kalin.

<sup>107</sup> Pierwodruk w „Roczniku Tatarskim” (1932, tom 1) pod pseudonimem Stanisław Radwan.

Ziemia milcząca i nieodgadła, bogata i gościnna – ile narodów – tyle wiar, ile wiar – tyle świątnic.

Opodal muzułmańskiego dworu – krzyż...

czarny, przydrożny krzyż, postawiony przez muślima na mogile poległych w 1812 roku Francuzów –

tędy właśnie wiódł jeden z traktów epicznej wyprawy, ciągnącej na wschód w ciężkiej hipnozie, narzuconej przez daleką melodię kremliańskich dzwonów –

tędy przewalały się masy wojsk idących z krzykiem płomiennym:

Cesarz! Cesarz! – wśród kadr napoleońskich cwałował pułk starej tatarskiej jazdy pod Koryckim, Achmatowiczem i Ułanem:

oczy muślimów zasnuwała srebrna mgła łez radosnych, gdy załopał na wietrze zielony sztandar Islamu z białym, wojennym orłem.

Cudowna, staroświecka klechda!

A potem –

w odwiedziny do sąsiadów-Tatarów po staropolsku – rzemiennym dyszlem – od folwarku do folwarku!

Serca otwarte, życzliwe, serdeczne, twarze dobre i uśmiechnięte – stara Goreckowszczyzna z orzechowym sadem i sadzawką rybną – gospodarzy tu dzielnie Olgierd Kryczyński;

cichy Paulinów Anatola Kryczyńskiego z małym dworkiem i cieniastą aleją –

pachnące miodem i spiżarnią Rowy energicznej „księżniczki” Marii Kryczyńskiej –

aż wreszcie – Dowbuciszki, serce oszmiańskiej Tatarszczyzny. Wszędzie „gościńce” wściekle wyboiste, moszczone gdzieniegdzie grubymi, drzewnymi bierwionami; w czasie wojennym rozbrzmiewały głuchym hurgotem toczących się dział i furgonów. Pola porżnięte okopami; betonowe schrony „Germańców” porosły trawą i łopianem. Z okapów białoruskich chałup zwisają bezwładnie telefoniczne, nieużyteczne już przewody.

Wioski, dwory i zaścianki –

mosty, mostki, brody, potoki i stawy –

popas pod rozłożystą koroną śpiewającego dębu –

daleki, błękitem przymglony rysunek akademickich Smorgoń.

Nareszcie:

Dowbuciszki –

gwarna, pracowita wieś, rozrzucona szeroko nad zieloną kotliną, przeciętą srebrnym strumieniem –

brzęk sierpów, wibrujący w czystym powietrzu metalicznym dygotem – i skrzypot studziennych żurawi –

od ilu już wieków pobrzmiwa tą melodyjną muzyką stary, tatarski zaścianek?

W zielonych kulach ociążałych letnią dojrzałością drzew przebłyska maleńki, kolorowy meczet –

archaistyczne przypomnienie modrzewiowych huculskich cerkiewek z podcieniem i bizantyńską kopułą. Zamiast dzwonnicy – wieżyczka minaretu, zamiast krzyża – blaszany, błyszczący półksiężyc, na którym siadają w przelocie znużone gołębie obłoków, lecące z słowem o dalekiej, zapomnianej ojczyźnie –

wyciosały sobie ten meczet pobożne ręce muzułmańskich parafian w wieku osiemnastym, gdy gdzieś na dalekim świecie Pan Wolter burzył kościoły.

Przy meczecie – cienisty cmentarz.

Dyszące słodkim dosytem maliny oplatają pożądliwymi gałęzmi omszałe mogilne głązy, porysowane arabeskami starożytnych modlitw. W tych białych, kamiennych dzbanach przelewa się mądra, wiekuista siła, dająca śmierć rzeczy żywej, a umarłej – żywot.

„Józef Kryczyński 1825”,

Tak – to już od stu lat...

Słowa proste a tak przedziwne!

Miła, swojska gościna u pana Alego Kryczyńskiego – pachnący sianiem, wiejski nocleg.

Kąty –

biały, słoneczny dworek, mający coś mickiewiczowskiego w swojej cichości pogodnej i czystej.

Przed domem barwne rabaty i grządki kwiatowe pieczołowicie utrzymane, bo gospodarz, pan Bohdan Achmatowicz, jest zawołanym ogrodnikiem i całymi bożymi dniami koło swych różyczek się krząta. Doprawdy, wizerunek „człowieka poczciwego” od XVI stulecia niewiele się zmienił! Dla

niego zawsze rozkosz „po sadkoch, po ogrodkoch sobie chodzić, szczepków naszcześcić, drobne drzewka rozsadzić, niepotrzebne gałązki obcinać, mszyce pozbierać, krzaczki okopać, trzaskowiskiem osypać, bo tego trzeba, aby około młodego drzewka chwast nie rósł”. To ogrodnictwo Achmatowiczowe jest więc wyrazem szlacheckiej i szlchetnej duszy polskiej Tatarszczyzny.

Wieczorem, gdy srebrny półksiężyc zawisnął nad muzułmańskim dworkiem – wesoła, beztraska zabawa z okazji urodzin córki gospodarzy, Musi. Toasty, oklaski, tańce, gwar...

Całe okoliczne sąsiedztwo – wszystko Tatarzy!

Achmatowicze, Kryczyńscy, Talkowscy, Tuhan-Baranowscy, Romanowicze, Murza-Murzicze – trudno nawet wszystkich spamiętać!

– Dziś, dziś! Biały mazur! –

bo już świt w oknach się bieli.

Trzeba przejść po chwiejnych deskach zniszczonego mostu, zawieszzonego wysoko nad śpiewnym strumieniem –

Łostaje już niedaleko.

Stary, ludny zaścianek, gęsto zabudowany szlachecko-tatarskimi domami.

Tutaj imé pan Bielak w 1812 roku bronił się z sąsiadami-Tatarami przed rabunkową napaścią francuskich maruderów, tu częstował litewskimi kołdunami rubasznego kwestarza –

obrazy pachnącej nieco myszką, romantycznej lektury wyrastają na nowym, żywym tle.

Na lesistej górze – wśród sosen szumiących gęstym igliwem – kryje się cichy muzułmański cmentarz. Pomiędzy nagrobnymi głazami wiją się ostre, kolczaste druty wojennych zasieków, które w to zacisze święte ludzka złość wplotła.



## Wiersze

### **W mrok rozwichrzony**

W mrok szumiący ulewą  
Miotam słowa stargane,  
Słowa dzikiego śpiewu,  
Które brzmia w moim uchu.

\* \* \*

Odeszłaś obojętna, obca  
Kiedy październik zawisł w wiatrach  
Latawcem żółtym, z ręki chłopca  
Pchniętym w omgloną kulę świata.  
W przydrożnych rowach zgniły nalot  
Marszczył błyszczącą rdzawo topiel  
Jam widział w niej swą twarz z metalu  
I śmierć w odbiciu ocz swych tropił.

\* \* \*

Uderza, wstrząsa, przelewa się falą  
Jak orkan szturmuje w okna i drzwi.  
Grad szyb poleciał w lśniący salon  
I wszystkie lustra bagnetem ktoś zbił.

\* \* \*

Przyjdzie o zmroku luna pożaru  
Gruchnie strzałami i hukiem dział  
A wśród pościeli przebity nożem  
Ktoś w krwi zwalony będzie spał

**Umarłym**<sup>108</sup>

Wasze płomienne serca już rozsypały się w popiół,  
Kości stłały, a z źrenic wyrosły łodygi pokrzyw,  
Lecz żar popiołów w żywicę bujnych drzew się przetopił  
I nad meczetem trysnął zwycięskiej zieleni okrzyk.

A wy, zapadłszy pod ziemię, ku iluzjom dalekim  
Płyniecie poprzez próchnicę, glinę i piasek miałki,  
Z pasją tłuczecie srebrne, zwodnicze zwierciadła rzeki,  
Urzeczeni melodią tatarskiej, dzikiej piszczalki.

I dojdziecie do kresu w tym przedzieraniu się ślepym,  
Gdy wszystko w was zadygota, by wędrówki zaprzestać:  
To księżyc będzie się palił ponad upalnym stepem  
I raj wasz znowu zakwitnie – utracony Dagestan.

---

<sup>108</sup> Pierwodruk w „Roczniku Tatarskim” (1932, tom 1).

**O, osądź...**<sup>109</sup>

W duszach naszych łopoce przeszłości zlocisty proporzec  
 I dźwięczy gromko w litaurach serc dawna tatarska chwała  
 Pieśnią, huczącą dumnie, jak burza nad stepów bezdrożem –  
 O, osądź tę naszą tęsknotę i ulituj się, Allah –

Polska – tym słowem cudownym, pachnącym sadem i ziarnem,  
 Co dzień łamiemy się społem, jak zdrowym, pożywnym chlebem,  
 Więc, gdy potrzeba, umiemy lec w polach pułkiem ofiarnym,  
 Śmiercią żołnierską stopieni z gwiazdzistym, skrzącym się niebem.

Lecz pamięć o wschodniej ojczyźnie jest śpiewającym ptakiem,  
 Jak paw tęczowa i złota, a słodka, jak winny owoc –  
 I jest błyskawicą klingi, na której zatartym znakiem  
 Święta zagadka się srebrzy: odwieczne Koranu słowo.

W nocy wiosennych zmysłowość, gdy płonie księżycy światło,  
 Spływamy w sennej nostalgii dusz tajemniczą inwazją  
 W szumiącą trawami przestrzeń, gdzie kwitnie różowy kwiat łąk –  
 I wiatr nas upalny owiewa: – Azjo! mistyczna Azjo!

Zbudzi nas rano ulewa, pluszcząca łzami w szkło okien  
 I melodyjnie dzwoniąca, jak miedź w janczarskich cymbałach,  
 Więc tylko oczy przetrzemy z żalu westchnieniem głębokim –  
 O, osądź tę naszą tęsknotę i ulituj się, Allah –

<sup>109</sup> Pierwodruk w „Roczniku Tatarskim” (1932, tom 1).



## V. Eseje historyczne

### Z Królestwa Szwargotu<sup>110</sup>

Od wieków dzień zaduszny, święto zmarłych, jest zarazem tradycyjnym świętem żebraków, którzy u wrót cmentarnych najobfitszą wtedy otrzymują jałmużnę, po czym – podobno – odrzuciwszy szczudła i chusty, śpieszą na huczny, rozpasany bal dziadowski z muzyką, tańcami, jadłem i napitkiem... Zaduszki przywodzą więc na myśl dzieje tej starej kasty, tak pospolitej i szkodliwej, a przecież owianej (od czasów Waltera Scotta) mgłą tajemniczości i romantyzmu, jej dawną organizację i umowny język. Język ten, zasłaniając ciemne machinacje dziadów przed zbyt ciekawym uchem niewtajemniczonych, stanowił jeden z najważniejszych czynników ich społecznej solidarności. Nic dziwnego, że doskonale zorganizowane państwko złoczyńców i żebraków w średniowiecznym Paryżu (wiek XV) nosiło właśnie nazwę Królestwa Szwargotu, *le Royaume de l'Argot*. Okręg Cudów, *Le Cours des Miracles*, była to nazwa topograficzna obejmująca sieć zaułków około ulic Saint Denis i Poissoniere.

We Francji XV i XVI wieku, w której niezrównany obwieś-poeta François Villon (1431–1480) podniósł włóczę do wyżyn liryzmu, tajemny język tryandów (z celtyckiego *tryan* – włóczęga) ochrzczone był nazwą „mowy zielonej” (*la langue verte*). W tymże czasie żebracy

---

<sup>110</sup> Pierwodruk w „Kurierze Literacko-Naukowym” (1932, nr 44).

niemieccy posługiwali się żargonem zwanym Rotwelsch, a więc „mową czerwoną”. W Anglii za panowania królowej Elżbiety (1558–1603) Tomasz Harman ułożył słownik szwargotu tamtejszych włóczęgów (*wagabonds*), określanego mianem „cant”.

Oto kilka próbek tych szwargotów. We francuskim na przykład *coesre* znaczy naczelnik żebraków, *mareux*, *caiman* – żebrak, włóczęga, *cagou* – sędzia żebraków, *tuner* – żebrać, *truche* – żebrani-na, *jambes de Dieu* (dosłownie „Boże nogi”) – sztuczne kalectwo i tym podobne. W angielskim „cant” wiele wyrazów zaczerpnięto z języka Cyganów, dość licznych w XVI wieku na Zielonej Wyspie. Na przykład *romany* – po cygańsku: słowo, w „cant”: język cygański; *rome*, *rom* – po cygańsku – człowiek, w „cant”: dobry człowiek, dobra rzecz; *jibb* (dżib) – po cygańsku i w „cant” – język, *pal* – po cygańsku – brat, w „cant” – ojciec (stąd *pall-yard* – żebrak od urodzenia, po ojcu); wreszcie *to maund* – żebrać, pochodzi od cygańskiego *mang*. O szwargocie żebraków angielskich i francuskich traktuje poważne dzieło Raoula de la Grasserie, pod tytułem *Etude scientifique sur l'argot et de le parler populaire* (Paris 1907). Również w Polsce żebractwo posiadało swoją organizację społeczną (na przykład Bractwa dziadowskie w Krakowie i Wilnie w XVII wieku), a jako wyraz solidarności zawodowej – własną gwarę tajemną, złożoną bądź to z wyrazów sztucznie sfabrykowanych, bądź też będących w ogólnym użyciu, lecz o przekreślonym znaczeniu. Już Jan Jurkowski w *Tragedyi o polskim Scylurusie* (Kraków 1604) włożył w usta jednej z person całe zdania z gwary żebraczo-złodziejskiej. W bezimiennej broszurze frantowskiej z roku 1612, napisanej przez człowieka znającego dobrze – jak sam wyznaje – zwyczaje i sztuczki polskich dziadów, pod tytułem *Peregrynacja dziadowska, zwłaszcza owych jarmarczniczków i trzęsigłowów, w który sposób zwykli bywać na miejscach świętych, nie tykając tych, którzy sprawiedliwem karaniem Bożem nawiedzeni przy kościele albo w szpitalach siedzą* – wspomniany został między innymi polski szwargot żebraczy, tak zwany „język libijski”. W nowszych czasach sędzia Aleksander Męciński w rozprawie *O żebractwie i włóczęgostwie* (Lwów 1893) podał dziesięć wyrazów żargonu dziadowskiego z okolic Sanoka i Liska, o których dowiedział się w roku

1887 od zawodowego żebraka Marcina Klebańskiego z Dębny. Oto one: *Deus* – Bóg, *delka* – woda, *olemo* – mleko, *odrogulka* – krowa, *karaona* – dziewczka, *skwerno* – zboże, *kudłaj* – żyd, *kapelnia* – karczma, *artycha* – wódka.

Współcześnie i podolscy żebracy z okolic Tarnopola posługiwali się umownym językiem, w którym na przykład *Fez* znaczyło – Bóg, *klusa* – cerkiew, *barot* – kozuch, *burwiń* – owies, *wolta* – koń, *gac* – żyd, *sianko* – słońce. W szwargocie lirników ukraińskich były takie wyrazy, jak: *chaza* – dom, *chata*; *jandrus* – brat (por. nasze andrus, zapewne z greckiego); *jaryj* – stary; *neklawy* – niedobry (por. nasze klawy). Inną znów gwarą, zwaną lemezni, porozumiewali się żebracy z okolic Mohylewa, a jeszcze inną – dziady na Białej i Czarnej Rusi, gdzie organizacja żebracza bardzo silnie była rozwinięta. Na przykład w Mirze Radziwiłłowskim jeszcze w połowie ubiegłego stulecia była ulica zwana „stareczja” – „zamieszkała wyłącznie przez tę klasę ludzi, uwolnionych od wojskowej powinności, podatków rządowych i wszelkich obowiązków ziemiańskich” (E. T., *Żebracy z okolic Mołodeczny*, „Tygodnik Ilustrowany”, 1868, tom 2, nr 40).

### Kraków pod Bachusem<sup>111</sup>

Śnieżna noc sylwestrowa, tak dziś, jak i dawniej, rozpoczynała pasmo rozkosznych, szalonych, huczących muzyką, śpiewem i tańcem dni, w których dymy były gęstymi słupami z kominów, okienka gospód tryskały bukietami świateł, żakowska pieśń *Largum vesper* mieszała się z wrzaskiem pijaków, a śnieg topniał pod gorącym tchnieniem ust tłustego Bachusa, siedzącego okrakiem na pękatej beczce wina.

Już w roku 1230 papież kłatwą groził krakowskim scholarom, którzy „naśladując jakiś bezecny i ohydny zwyczaj, jaki się w owym kraju zakorzenił”, w dzień Bożego Narodzenia i w ciągu dni następnych udają się do klasztoru w Tyńcu i tam „oddają się biesiadom i pijaństwu, urządzając śpiewy, widowiska i inne bezceństwa, aż do rozlewu krwi, bijąc się ze sobą, dobra rozgrabiają i inne igrzyska wyprawiają okropne i bezwstydnę”...

A w XVI i XVII wieku Kraków, ten polski Rzym o siedemdziesięciu kościołach, mógłby śmiało zwać się też polskim Paryżem dla niefrasobliwej

<sup>111</sup> Pierwodruk w „Kurierze Literacko-Naukowym” (1933, nr 1).

swej wesołości i kultu dla swawolnych bożków miłości i wina, który bujnie kwitnął pod wysoką czerwienią miejskich dachów i w żołądnym lasku pobliskiego Dąbia. Tu mistrz Mikołaj (1488–1530) miłosną piosenkę komponował *Aleć nade mną Wenus...* Tu sowizdrzał jakiś pod imieniem Jodki Litwina pisał *Carmen polsko-latinum Cechu Pijackiego* (Kraków 1600), wysławiając te lube miejsca „ubi Bacchus króluje et Ceres benigna”. Tu Jan Libicki około 1655 roku książeczkę swą *Bachus miraculosus* tłoczył, życząc zdrowia dobrego Ich Mciom Panom Mięso-pustnikom, Tanecznikom i Pijanicom. Tu wreszcie z oficyn drukarskich wychodziły apologie gorzałki i satyry na największych na świecie pijaków, muzyków i kantorów.

Dobrze się czuło w Krakowie czerwono-nose bractwo dmidzbanów i moczygębów, skoro przybytków Bachusa było w nim więcej niż kościołów. W każdej niemal uliczce była jakaś „piwnica”, czyli gospoda podziemna, do której schodziło się po stopniach i zasiadało na omiecionej gęsim skrzydłem ławie, przy cynowym dzbanie lub szklance, zdjętej z jeleniego rogu. Taka szynkownia mieściła się nawet pod ratuszem, zwana Indją przez kucharki i wyrobników, którzy tu na piwo i tańce przychodzili. Każda gospoda krakowska miała jakąś specjalność i ustaloną opinię. Wiedział więc kronikarz i satyryk XVI wieku, Marcin Bielski, że „u paniej Marty” kwarta piwa kiepskiego po pięć groszy, a „u paniej Haski pod Wieńcem”, gdzie sławne wątróbki cielęce, małmazja droższa niż w Mynicy, to jest szynku pod mennicą opodał furtki świętej Anny.

Wiedzieli też wydmikufle, że istnieje symbolika bachusowego kultu – a zatem wiecha zielona nad drzwiami szynku oznacza piwiarnię, wieniec – winiarnię, krzyżyk zaś – miodownię. Znana jest i dzisiaj krakowskim biboszom gospoda „pod Krzyżykiem” na Kazimierzu, pod której niskim, okopconym sklepieniem pije się miód najlepszy pono w Krakowie; egzystencja jej ma sięgać XIV wieku.

Każdy zawód, każde stowarzyszenie miało w dawnym Krakowie osobną gospodę cechową: w jednej popijali krawcy, w drugiej kuśnierze, w innej czerwono-skórniczy i tak dalej. Mieli i studenci w XVI wieku ulubione knajpy, jak „Świdnicką piwnicę” (1535), winiarnię Ziemiańska przy ulicy Szpitalnej (1537), szynk Waszykowej przy ulicy Szczepańskiej (1537), piwiarnię Błażka (1540), gospody: wdowy Loryncowej (1545), Szymona na Kleparzu (1552), Zieleńskiego i inne. Za Zygmunta



III bakałarze i scholarowie ze szkoły przy nieistniejącym już kościele Wszystkich Świętych, waganci i opoje zawołani, chadzali najchętniej „bądź do Kropidłowej, bądź też, jeśli marzec ma dobry, do Krzaczkowej”. Natomiast nauczyciel muzyki w tejże szkole, podwikarz, znany z niewybrednych miłostek na Kleparzu, gustował raczej w piwie częstochowskim u Szewca Nogi\*\*. Już to muzycy i wokaliści krakowscy tego pociągać ze dzbana umieli; mówiono, że „w gębie krzty miary nie mają”, a piją, choćby im gardła rozpuknąć i zgnić miały\*\*\*.

Służące i kucharki krakowskie w połowie XVII stulecia, odtańczywszy w niedzielę na Kazimierzu ulubionego „mikusia” z przedmiejskimi galanckami, biegły na piwo do szynku Baryki. Wszelakiego rodzaju męty społeczne, ogarniane mianem luźnych, miały około roku 1637 własną „hultajską gospodę” na Kleparzu. Ciekawe, że w XVI i XVII wieku szynkowano wino i piwo nawet w wawelskiej Smocznej Jamie, do której chodziło się wtedy wąskim korytarzem w zboczu góry od strony Wisły z przedmieścia Rybaki.

Znane były w Krakowie (rok 1633) gospody: Nagiej, pod Kozuchy, pod Bażantem, lecz w latach 1614–1636 wszystkie knajpy gasił sławą doskonałej gorzałki szynk Lemiesza Rozdziałki przy ulicy Szewskiej. Tam całymi dniami przesiadywali Obleje, Obieżywiechy, Moczygębscy i Piwoscy, tam „ich więcej znajdziesz, niżli przy krynicy onej samarytańskiej: tam każdej godziny usłyszysz z Japoniej i z Turek nowiny. Tam ujrzysz z Wengaljej (?) od dawnego wieka, co mu trzysta lat teraz dochodzi, człowieka”.

U Rozdziałki rezydowali najgorliwsi czciciele Bachusa, którzy każde swe posiedzenie przy kuflach otwierali wezwaniem do niego: „Bacche, przez twoje ciężkie na skale rozbicie raczże nam dziś przeżegnać to łotrowskie picie”. U Rozdziałki najgłośniej rozbrzmiewała pijacka piosenka:

Miała baba zaka  
Czystego jonaka  
Z zawiesistym wąsem  
Penal z piórem miąższem\*\*\*\*.

\* *Albertus z wojny*, Kraków 1633.

\*\* *Rybalt stary wędrowny*, Kraków 1632.

\*\*\* *Wykład do, re, mi, fa, sol, la*, Kraków 1633.

\*\*\*\* Szczegóły o Rozdziałce głównie z *Wódki albo gorzałki* (1614) Jurka Potkańskiego.

Słowem, była to istna akademія krakowskich pijaków, i gdyby żył wówczas jakiś polski Brouwer czy van Ostade, na pewno u Rozdziałki właśnie naszkicowałby arcybarwne typy do rodzajowych obrazków. Oto na przykład włóczęga po wyjściu z szynku zatacza się i wpada z rozmierzwioną głową w plugawy rynsztok „za Szewczą broną”, pobliza Sokoli i Rudawy\*. Oto krawiec Czech, który postanowił całą swoją fortunę „na gorzałce przepić u Rozdziałki w Krakowie, abo kędy indziej, abo na winie przełoptać” i upiwszy się raz przed laty, już od tego czasu nie wytrzeźwiał, „bo nigdy znowu nie pije, ale tylko zawsze dolewa. Błazna z siebie czyniąc, zawiązawszy zdrową nogę, chodzi po ulicach krakowskich od gospody do gospody, ukazuje ją a mówi, że mię raniono; wzięwszy w ręce abo kądziel abo snopek słomy, abo jakie garki, włóczy się po ulicach, a leda co mówi; urzędu w ucziwości nie ma, opiwszy się, i to mu nie z defektu rozumu przychodzi, bo alias baczny i rozsądny, póki nie pocznie dolewać, ale z rozkoszy i rozpusty\*\*.

Takie to historyczno-pijackie wspomnienia nawiedzają u progu karawaułu tego, kto choć raz przeżył go w Krakowie pod girlandą hejnału uwieńczonym niebem, snując się po zaśnieżonych uliczkach i zaułkach od Kazimierza po Floriańską bramę, pijaną i tańczącą w wirze baszt, domów, murów i kościołów.

### **Odpust przy zbójckim trakcie<sup>112</sup>**

Ciężko, niby bryły ołowiu popękane, toczą się ciemne chmury ponad bezmierną pustką wrześniowych ściernisk, ponad zielenią lasów przygasłą, w której przedjesień ogień swe zażęgać tu i ówdzie zaczyna, ponad białą taśmą traktu.

Idzie ten trakt kamieniem brukowany lub żwirem ubity, od Nowych Trok, gdzie w srebrnych taflach jezior przegląda się ceglana czerwień ruin, ku miastu wielkksiążęcemu, Wilnu. Drogą tą starodawną, którą ongiś procesje wileńskiego ludu do cudownego obrazu Matki Boskiej w farze trockiej chodziły, jadę wózkiem chłopskim ku Wace.

\* *Proces między włóczęgą a Tabakiem* (1636).

\*\* Seb. Śleszkowski, *Odkrycie zrad etc.* (1621).

<sup>112</sup> Pierwodruk w „Słowie” (1935, nr 264).

Nad bystrym, przezroczym, wśród wzgórz lasami porośłych wiążącym się nurtem rzeki Waki, dawniej, od czasów Witolda, mieszkali Tatarowie, naród rycerski, w koniach rozmiłowany, a tak ognistego temperamentu, że w roku 1560 pan Hans Jaeger, poważny kupiec z Wrocławia, jadąc do Wilna, przewodnika musiał wziąć sobie, któryby go przez wioski tatarskie przeprowadził. Mieszkali w drewnianych dworcach, bogato się stroili, oręż srebrem nabijali, czeladź i mamki chrześcijańskie mieli, z chrześcijankami nieraz się żenili, poddanym i jeńcom moskiewskim rozkazywali i... procesowali się zawzięcie z benedyktyńskim opactwem w Starych Trokach. Chłopi okoliczni, a także i szlachta, widzieli w nich głównie czarowników i wróżki, którzy „burtują”, czarują, uroki z ludzi odkurzaniem, zaklęciami i czytaniem modlitw arabskich wypędzają, chorych skutecznie leczą. Oni zaś najchętniej szli na wyprawy wojenne do Inflant przeciw Szwedom i do moskiewskiej ziemi.

Siedzieli na Wace Opatowskiej, przy murowanym moście (który już w roku 1616 istniał), na Wace Czarnej i Białej, w Prudzianach, Małachowiczach, Mereszlanach, owo zgoła rzekę całą od źródeł aż po ujście do Wilii tatarską rzeką nazwać wówczas można było. Nawet tureckie nazwy mają niektóre okolice tatarskie nad Waką, jak Kozaklary, Kołnolary, Affindziewicze. „Korany” i „jasienie” odśpiewywali brodaci Tatarowie w drewnianych meczetach swoich w Prudzianach na Wace (ten w roku 1812, podczas odwrotu armii napoleońskiej, gdy bandy maruderów rabowały Litwę, zrujnowany już się więcej nie podniósł) i w Mereszlanach.

A dzisiaj po Tatarach nad Waką ślad wszelki zaginął i już ludzie zapominają zaczynają, że tu kiedyś byli i na całej okolicy piętno Wschodu swymi meczetami, mogiłnikami, arabszczyzną modlitw, bajramowymi zwyczajami (zabijanie krowy na cmentarzu) i guśłami silnie wyciskali.

„A byli tu Tatary – potwierdza moje słowa chłop, z którym jadę – ale dawno, może czterysta lat będzie... Tak już o nich i nie usłyszysz. W Sorok Tatarach, prawda, jeszcze są i mieczyta swojego mają, ale mało ich, posprzedawali się czy jak, nie mogą wiedzieć. Sorok familii, znaczy się było ich, wielkie pole mieli... A w Affindziewiczy może trzy, cztery familii ich jest...”

Ale mego woźnicę bardziej interesuje życie bieżące. „Czy wojna z ta, jak ona, Abisynia, będzie, czy zboże tam we Lwowie obrodziło, ceny ziemniaków...” I o Tatarach wackich niczego już się nie dowiem.

Droga zafalowała malowniczo wzgórzami, ślimakiem w dół skręciła i groblą zjeżdżamy do Waki Murowanej. Tu niezliczone sterty kłód i pni – fabryka tektury hr. Tyszkiewicza, rzeka i most – szluz, hamujący zaporami drewnianymi bieg wody, spadającej ciężko z hukiem i szumem w spienioną w dole kipieli.

Z Waki Murowanej podbiega droga tu i ówdzie kraśniejąca czerwonymi bukietami jarzębin ku uroczym górom Ponarskim, na których – jak to wymyślili wczytani w rzymskie bajki kronikarze litewscy – Gedymin śnił o wilku żelaznym, „i zbudzony, za bogów rozkazem wyraźnym, zbudował miasto Wilno”... Położyły się te góry sławne wieńcem lesistych garbów, cienistych jarów, kotlin i uroczysk, kuszących i wabiących do zapuszczenia się w ich zielone głębie.

Na szczycie góry, tuż przy trakcie wspinającym się nań serpentyną, wyrasta biały kadłub kościółka z wieżą – dzwonnica. Było to w roku 1597, gdy pobożny i o zbawienie dusz grzesznych dbały ksiądz Szymon Wysocki z wileńskiego konwentu Towarzystwa Jezusowego wystawił na tej górze, na rozstaju dróg wiodących z Wilna do Grodna i do Kowna murowaną kaplicę alias figurę Męki Pańskiej, „na wypoczynek wędrowcom, którzy z dołu na górę wstępują, i na przestrożę tym, którzy z góry na dół zjeżdżają, także dla uproszenia Zbawiciela łaski upamiętania się łotrom i rozbójnikom”...

Albowiem w one dawne czasy, jak mówi legenda, a potwierdza historia, w górach Ponarskich przy tym trakcie czatowały bandy zbójców, strasznych kupcom, kramarzom i szlachcie. Piotr Czyżewski w swoim „Alfurkanie”<sup>113</sup> z roku 1617 wspomina, że w górach Ponarskich nieraz ludzie do Nowych Trok na nabożeństwo do cudownego obrazu Matki Bożej jadący, znajdują zwłoki pomordowanych i obrabowanych podróżnych. Zbójem Ponarskim, co sławę Rinalda Rinaldiniego pozyskał, był około roku 1809 niejaki Piekarski, eks-lokaj magnacki, wykształcony,

<sup>113</sup> Zob. współczesne wydanie krytyczne dzieła: Piotr Czyżewski, *Alfurkan tatarski prawdziwy na czterdzieści części rozdzielony*, wydanie źródła Artur Konopacki, Białystok 2013.

znający język niemiecki i francuski, przebiegły i odważny niesłychanie, herszt bandy złożonej ponoć z kilkuset ludzi. Zanim go schwytano, stoczyło z nim wojsko formalną bitwę. Czaszką jego ozdobiono zbiory gabinetu anatomicznego uniwersytetu w Wilnie.

A owa kapliczka, mająca wzruszyć serca zbójce, z biegiem lat podupała; odnowiona została kosztem księżnej Gabrielowej Ogińskiej, a w połowie ubiegłego stulecia powiększył ją i ozdobił biskup wileński Żyliński. Niewypowiedzianie piękny stąd widok na góry Ponarskie i na dolinę Wilii – aż ku Wilnu, błyszczącemu z dala wieżami kościołów.

W kościółku, w którym w żółtych światłach świec omdlewa twarz Ukrzyżowanego w ołtarzu, a z boku migoce srebrnymi wotami obraz Madonny – odbywa się właśnie nabożeństwo. Ciśnie się przed drzwiami rozśpiewana i rozszeptana żarliwie gormada, rozsypuje się grupkami kobiet wśród zielonych grobów i drewnianych krzyżów przyległego cmentarza. Pod ogrodzeniem z polnych kamieni brzęczy mały odpust maleńkiego kościółka. Wiatr dmie w białe płótna bud kramarskich, w których piętrzą się stosy pierników, cukrów, lukrowanych barwnie lalek z ciasta, kołyszą się różańce i szkaplerze. Z katarynki wędrownego dziada, na której kuli się napuszona morska świnka, spływa melodia zapomniana „Madelon”, rozdzierająca duszę wspomnieniem nieskończonego cmentarnego pola, z tysiącem krzyżów, zaognionych dogasającym żarem zachodu.

A oto obok złotousty szalbierz przy oszukańczym swym stoliczku przerzuca zręcznie trzy zwierciadła metalowe, z których jedno ma naklejoną „figurę”, czyli choinkową główkę siwobrodego świętego Mikołaja cudotwórcy. – „Ta przegrana i ta przegrana, a ta figura będzie wyplacona! Każdy jeden gra za jedną złotówkę. Która zauważona, zaraz jest wyplacona. Dzieci na bok, prosza, z dziećmi nie gram. Ta przegrana i ta przegrana...” Kawalerowie na czarno ubrani, z wyciągniętymi szyjami, z otwartymi ustami, daremnie marszczą czoło, daremnie wytrzeszczają oczy. Z takim, wiadomo, nie wygrasz!

Drugi obieżyświat z przymilnym uśmiechem na zmurszałych, gorczą życia niepewnego zaprawionych ustach, zaprasza do bardziej niewinnego hazardu: stolik, na nim stos cukierków złocistych i czekolady, a nad tym wiruje blaszana, zardzewiała strzałka – jeśli zatrzyma się nad kupką słodczy, możesz (po zapłaceniu 10 [*nieczytelne*]) wziąć je sobie.

Na innym znów stoliczku także cukierki, ale gra inna: wyciąga się papierowe torebki, a o ile znajdzie się w nich cukierki w czerwonych papierkach – kramarz wręcza dodatkowo „bombonierkę” z czekoladkami.

Nabożeństwo w kościółku się kończy, ksiądz wychodzi na cmentarz i tu pod niebem chmurnym każe do tłumu.

Na kamienistej drodze skrzypią wozy z betami i cyganichami w żółtych i szkarłatnych chustach. Brodaty cygan zdejmuje z głowy baranią czarną kuczmę i żegna się nabożnie. Mały cyganiuk bawi się czerwonym jabłkiem – szczęśliwy królewicz przestrzeni i wolności. Pod wozem biegnie na łańcuszku jedyny niewolnik w tym państewku wędrownym – biały pies kudłaty. Zjeżdżają z hurgotem koleinami błotnistej drogi w zielony, dziką urodą tchnący wawóz.

Olów chmur spłynął przelotnym deszczem, orosił gałęzie i trawy, i oto idę w słonecznym blasku za cygańskimi wozami ku łąkowemu wybrzeżom Wilii, ku miastu, które miedzianą melodią swych dzwonów z dala nawołuje.

### **Antrum Draconis,**

#### **czyli przyczynek do historii smoków krakowskich<sup>114</sup>**

Co to jest Smocza Jama – wie każde dziecko w Polsce. Wszyscy znamy doskonale legendę o smoku wawelskim, którą po raz pierwszy opowiedział wielebny i uczony wielce mistrz Wincenty Kadłubek na początku XIII stulecia.

Ba, ale komu dziś wiadomo, że sławna ta jaskinia, wydrążona ręką natury w wapiennej skale Wawelu, była ongiś po prostu... szynkiem, słynącym z dobrego, zimnego piwa i wina? Fakt ten znany jest obecnie nielicznym tylko miłośnikom starego Krakowa, aczkolwiek dawniej, dwa i trzy wieki temu, gdy gospoda ta egzystowała, wspominali o tej osobliwości nawet cudzoziemcy.

Więc na przykład Andreas Cellarius w książce swej pod tytułem *Regni Poloniae Magnique Ducatus Lituaniae... novissima descriptio*, wydanej w roku 1659 w Amsterdamie, powołując się na rękopiśmienny

<sup>114</sup> Pierwodruk w „Kurjerze Literacko-Naukowym” (1936, nr 22) pod pseudonimem A. Krystan.

diariusz podróży Augustyna barona von Moersperg, rycerza zakonu świętego Jana podaje, że w Krakowie pod zamkiem jest wielka i daleko w głąb sięgająca jaskinia, w lecie bardzo zimna, a w jej wnętrzu szynkują wino i piwo. Dalej przytacza Cellarius podanie o zabiciu smoka przez szewczyka i kończy uwagą, że jaskinia ta, położona niedaleko Wisły, dotąd nosi nazwę Jamy Smoczej, Antrum Draconis.

Znany poeta epoki baroku, Andrzej Morsztyn, podskarbi koronny (ur. 1613 – zm. 1693) w wierszu *Do Piotra o swych księgach* zalicza Smoczą Jamę do najsławniejszych w Polsce szynków:

Kto nowicjat odprawił w Lublinie  
Na Czwartku, kto wie, jakie gospodynie  
W warszawskiej Baszcie\*, na Mostkach  
We Lwowie,  
Co za szynk w Smoczej Jamie przy Krakowie...

Z późniejszych autorów wspomina o szynku w Smoczej Jamie Rzączyński w swej *Historii naturalnej*. Oczywiście i pełen sejnencji wszelkiej proboszcz rohatyński ksiądz Benedykt Chmielowski w *Nowych Atenach* (Lwów 1754, tom I, s. 323) nie pomija milczeniem takiego dziwu i przy opisie „Wawelu, góry skalistej” oraz jaskini, notuje: „W tej teraz jamie smoczej smoczą piwo i wino, zimne od skał zimnych”. Wreszcie nieoceniony Ambroży Grabowski, sławny bibliopola krakowski, co całe niemal życie poświęcił badaniu przeszłości swego umiłowanego miasta – w książce swej *Kraków i jego okolice* (wyd. 4, 1844, s. 112), cytując Rzączyńskiego, zauważa: „Z słów Rzączyńskiego... pokazuje się, że w późniejszym czasie mieszkał tu smok w znaczeniu moralnym, który wszelkie mienie wstępujących do niej mógł znowu pożerać”. Zwłaszcza – dodajemy – że i weseli klienci jaskini musieli tu popijać jak smoki.

Czy już w XVI wieku, w czasach Reja i *Fraszek* Kochanowskiego, Smocza Jama była dla krakowskich studentów, dworzan, literatów, poetów i muzyków (słynnych z bezdennych gardeł) tym, czym dla

---

\* Gdy w roku 1669 zniszczył część Warszawy pożar; poczytywano tę klęskę za gniew Boży i karę za grzechy, których głównym siedliskiem była warszawska „czerwona baszta”.

późniejszej o kilka wieków generacji – Jama Michalikowa? O tym mogli by coś powiedzieć fachowi znawcy starego Krakowa. Jeżeli tak, to mamy podejrzenie, że nieraz do niej zaglądał w czasie drukowania swego *Statutu* (rok 1553) Jakub Przyłuski. Zasłużony ten mąż, jak sam wyznaje, miał swój dom na Rybakach „sub arce Cracoviensi... ad antrum Draconis”.

Jak widzimy, dawni Krakowianie, nie kontentując się legendą o wawelskim potworze, którego kości olbrzymie widzieli wiszące na postrach i przestrogę na łańcuchu u wrót katedry – szukali dreszczu emocji w popijaniu wina i piwa tam, gdzie ongiś smok chłęptał krew swoich ofiar. Urządzenie gospody w jaskini nie przedstawiało większych trudności. Jest ona obszerna i sucha, składa się z trzech oddziałów, przy czym pierwszy z nich tworzy rodzaj długiego przysionka. Do Jamy wchodziło się niegdyś od strony przedmieścia Rybaki, a wejście zamknięte było żelazną kratą.

Ten dowód kupieckiej trzeźwości dawnych Krakowian, a zarazem umiejętności ściągania turystów, polecamy uwadze tych szanownych czcicieli swawolnego bożka Bachusa, którzy – łącząc piękne z przyjemnym – pragnęliby nabożeństwo swoje rozkoszne powiązać z kultem i miłością dla starego Krakowa. Monografii swojej doczekały się od lekarza nawet łaźnie krakowskie. Dlaczegożby zatem nie miał ktoś, kto lubi wino i przeszłość, mocniej od wina odurzającą, napisać niefrasobliwej książeczki o starych krakowskich gospodach pod wieńcem, wiechą i krzyżykiem i o tej złotej, dionizyjskiej aurze, co przenikała ongiś stolicę królów?

### **Strzępy legendy w tatarskich zaściankach<sup>115</sup>**

Opisali już uczeni historycy drobiazgowo ową sławną kampanię napoleońską 1812 roku, która rozpoczęła się hucznymi marszami grenadierskich orkiestr i wstęgami fajerwerków nad Wilią, a zatraciła się tak straszliwie w mroku i śniegach moskiewskich równin. Skreślono na mapach szlaki wyprawy, zatknięto chorągiewki na polach bitew i utarczek, sportretowano generałów i marszałków, odsłonięto szkielety wydarzeń. Wiemy, gdzie i kiedy bawił cesarz, znamy każdą godzinę jego postojów i kwater. Wiemy, jak wiwatowano i jak narzekano, jakie były uczucia i myśli, kto był bohaterem, a kto maruderem.

<sup>115</sup> Pierwodruk w „Słowie” (1937, nr 196).



Jakkolwiek tam było, czar legendy napoleońskiej do dziś trwa, zakłęty w nazwy dróg i traktów, w krzyże przydrożnych mogił, w ściany dworów i karczem, w których miał się zatrzymać Cesarz w swym pochodzie przez Litwę.

Pisząc te słowa w tatarskim dworze w Oboziszczu w oszmiańskim powiecie, widzę przez okno rozwarte rozstaje dróg prowadzących od Borun na Łostaje i od Krewa do Holszan i Oszmiany. Na wzgórzu przy drodze chyli się drewniany krzyż, postawiony za rosyjskich jeszcze czasów przez Tatara generała Konstantego Kryczyńskiego na mogile, w której według tradycji mają spoczywać kości żołnierzy francuskich z armii Napoleona.

W tatarskim dworze przy napoleońskiej traktwie trudno nie rzucić na papier kilku luźnych tradycji, jakie zachowały się wśród tutejszych Tatarów o Francuzach z roku 1812.

Jak wiadomo, entuzjazm dla osoby Napoleona nie był na Litwie powszechny. Znaczną liczbę zwolenników posiadał jego antagonistą, liberalny Aleksander I, który, podobnie jak cesarz Francuzów, ukazywał społeczeństwu polskiemu miraż wskrzeszonej państwowości. Aleksander miał zwolenników również wśród Tatarów, których przeważna część, oddana starym zwyczajem żołnierskiemu rzemiosłu, służyła w pułku tatarsko-litewskim wojsk Jego Imperatorskiej Mości. Kult dla Napoleona ogniskował się w tak zwanej Zapuszczy: pod Augustowem, Suwałkami, Kalwarią, oraz na Podlasiu w powiecie białskim, a zatem w tych osadach tatarskich, które znajdowały się na terytorium wchodzącym w skład Księstwa Warszawskiego. Na Białorusi najgoręcej przywitali Wielką Armię Tatarzy mińscy. Gdy w dzień imienin Napoleona (12 sierpnia 1812 roku) odbywał się w Mińsku popis wojskowy, gubernatorowi Bronikowskiemu zastąpili drogę Tatarzy z mułką na czele, składając na jego ręce swoje życzenia dla Cesarza i jego rodziny.

Na skutek inicjatywy grupy Tatarów – wojskowych z Suwalszczyzny i Podlasia – zaczęto formować pod sztandarami Napoleona pułk tatarski. Celem werbowania ochotników wysłano oficerów do powiatów: nowogródzkiego, mińskiego, oszmiańskiego i lidzkiego, i odczytywano po meczetach patriotyczne odezwy „do narodu tatarskiego”. Napływ ochotników nie mógł jednak być wielki, ponieważ większość młodzieży

tatarskiej służyła w pułku ułańskim wojsk rosyjskich. Utworzono zatem w Wilnie jeden szwadron tatarski pięknie i oryginalnie umundurowany. Szwadron ten przydzielony do pułku trzeciego lekkokonnego polskiego, gwardii cesarza Napoleona, wziął udział w kampaniach 1812 i 1813–1814 roku, bijąc się pod Wilnem, w Saksonii i we Francji.

Wskutek służby swych synów i braci w szeregach wojsk rosyjskich, Tatarzy, po wejściu armii francuskiej na Litwę, obawiali się represji i kryli się przed Francuzami, którzy zresztą odznaczali się skłonnością do grabieży i zdzierstwa. Do dzisiaj opowiadają o tym Tatarzy między sobą. W Lachowiczach na przykład mówią, że w roku 1812 Francuzi szli, muzyka grała, a oni, Tatarzy, nie chcąc służyć im za przewodników, chowali się za murem kościelnym, w krzakach i pokrzywach. U Tatara Woronowicza akurat żona miała rodzić dziecko, gdy Francuzi wchodzili do miasteczka. Woronowicz zostawił żonę w łóżku, a sam gdzieś zemknął. Francuzi weszli do domu, widząc, że kobieta rodzi, pytają o męża. Ukrył się? To poszukać go! Francuz ubrał się na biało i przyjął dziecko. Ojca znaleźli koło kościoła. Pytali go, czemu uciekał, łajali go o to: „Zostań i daj żonie jeść!” Podobnie w Murawszczyźnie koło Iwja opowiadają Tatarzy, że w roku 1812 francuscy lekarze wojskowi pomagali kobietom tatarskim przy porodach, podczas, gdy mężczyźni skryli się przed Francuzami.

W zimie owego roku rozpoczął się słynny odwrót szczątków Wielkiej Armii spod Moskwy i znad śnieżnych brzegów Berezyny. Tłumy obdartych i okaleczonych maruderów wlokły się traktami Litwy, groźne dla osad i dworów. Szli ci maruderzy i przez tatarskie wioski, szli przez Łostaje, których zarzysy oglądałam w tej chwili z okien oboziskiego dworu, zaglądali do ciepłej, pełnej czerwonego światła i żaru piekarni dworu Karczewskich w pobliskich Bieniunach – okropne zjawy, okutane w pokrzwawione chusty, szczękające zębami. Niewątpliwie na podstawie opowiadań samych Tatarów opisuje I. Chodźko w *Pamiętnikach kwesetarza* (1844) „harce” Tatarów mieszkających na Łostai z maruderami francuskimi, gdy owej strasznej zimy „szli rabusie długim obozem”. Przyjęci przez Tatarów łostajskich „po tatarsku i żołniersku” – ogniem, Francuzi „przerażeni w mgnieniu oka pardonowali się i batalia wygrana”. Tatarzy zabrali cały obóz, rabusiów dostawili do Oszmiany, zrabowane rzeczy porozbierali sąsiedzi, każdy swoje.

Podczas „rejterady” wojsk francuskich ucierpiały nie tylko kościoły, ale i meczety. Wtedy to zrujnowany został meczet w Prudzianach nad Waką, a w meczecie na Łukiszkach pod Wilnem mieszczanin Kuczyński, korzystając z ogólnego rozprężenia i zamieszania (Tatarzy opuścili swe domy i wyszli do miasta), powybił okna i zabrał z nich ołów.

Epizod napoleoński trwał krótko, na życie Tatarów litewskich nie wpłynął, lecz sprawił, że i oni stanęli w promiennym blasku epopei przed oczyma Europy. Dziś jeszcze po antykwariach i bibliotekach paryskich żółknieją liczne sztychy, litografie, drzeworyty, plansze, przedstawiające Tatarów litewskich z gwardii Cesarza: jak galopują do ataku z wyciągniętymi lancami, jak na postoju gawędzą, jak patrolują na wzgórzu, jak brną pieszo poprzez ciała poległych na polu śmierci i chwały. W muzeach warszawskich ujrzyć można za szkłem kaszkiety – turbany oficerów i towarzyszy, oraz proporce szwadronu tatarskiego, gwardii Napoleona, co szedł pod francuskimi orłami od Niemna i Wisły poprzez ziemie polskie i niemieckie nad Ren i Sekwanę.

Wracali stamtąd Tatarzy uznojeni, ranami i bliznami okryci, ze wstążeczkami Legii Honorowej na piersiach. Pozostały z owych dni heroicznym pamiątki pod dachami tatarskich zaścianków. W „okolicy” Ordzie pod Kleckiem znaleźliśmy u Tatara Aleksandra Koryckiego ciekawą pieczęć herbową, w której stare tradycje tatarskie połączył właściciel, snadź napoleończyk, z nowszymi, zaczerpniętymi z idei i haseł Francji Pierwszego Cesarstwa. Pieczęć przedstawia tarczę szlachecką z dwoma półksiężycami, wspartą na lufie działa. Obok emblematy wojennego triumfu: sztandar, pęk różg liktorskich z toporem, szpada, orzeł i napis francuski: „Qui me neglige me perd”. U dołu monogram „J.A.” Znowu w zbiorach pana Leona Kryczyńskiego znajduje się *Atlas de la République française* z roku 1802, niegdyś własność Achmatowiczów z Bergaliszek. Na takim atlasie, z Francji przywiezionym, wskazywał Tatar-weteran swym dzieciom i wnukom drogi przemarszów i pobojuwiska, następne zaś pokolenia dopisywały na jego kartkach arabskie modlitewki i rachunki gospodarcze.

I tak złociste strzępy legendy wplątały się w codzienną rzeczywistość tatarskiego życia.

### **Karta z dziejów ruchu powstańczego w Galicji roku 1863<sup>116</sup>**

Niejednokrotnie słyszeć można zarzuty, iż czasu niewoli Galicja nie brała udziału w polskich ruchach zbrojnych, że pozostała martwa i głucha w chwili, gdy za Wisłą krwawili się jej bracia z Królestwa. Mniemanie to fałszywe. Pomijając bowiem tłumny udział „Galicjan” w powstaniu 1831 roku, szaloną, a tragiczną wyprawę Zaliwskiego z Galicji do Królestwa w roku 1833, nieszczęsne, bo zakończone lutową rabcją, powstanie galicyjskie roku 1846, oraz rozruchy krakowskie w roku 1848, kiedy to Austriacy bombardowali miasto z Wawelu – stwierdzić należy, że i w ostatnim zbrojnym zmaganiu się z Rosją w roku 1863 Polacy z Galicji dzielnie spełnili narodowy obowiązek, organizując partie powstańcze, chroniąc niedobitków i rannych, tudzież popierając materialnie walczących.

W 69. rocznicę powstania styczniowego pragnę na tym miejscu do historii ruchu zbrojnego w Galicji w roku 1863 dorzucić kartę mało znaną, a malującą udział mieszkańców powiatu mieleckiego w tym najbardziej krwawym i heroicznym z naszych powstań.

„Podczas zimy tegorocznej – pisze proboszcz we wsi Gawłuszowicach roku 1863 – począwszy od Wojsławia, w różnych miejscach na Wisłoce aż ku Wiśle, lody się pozatrzymywały i wielkim obtopieniem okolicy groziły, zwłaszcza nad ujściem Wisłoki, czego się też lud ogólnie lękał... W styczniu tej zimy rozpoczęło się w Kongresówce powstanie... Podczas przechodów powstańców, którzy się szczególnie ku Wiśle ścigali ukradkiem, wieleśmy mieli obawy, gdyż po kilkunastu i po dworach i po plebaniach trzymać się ich musiało po stodołach, po stajniach, a rzadko w pokojach, a między nimi wielu było takich, którzy się bez cygara, bez fajki obejść nie mogli i w stodołach nawet palili, przeto niejednen gospodarz niejedną noc oka nie zmrużył, obawiając się, czy tam skąd ogień nie zaświeci.” (*Liber Memorabilium Parochiae Gawłuszoviensis*).

Rząd austriacki na ogół niechętnie odnosił się do powstania i więził podejrzanych o chęć przedostania się za Wisłę: i tak na przykład dnia 9 czerwca odstawiono do Krakowa pod konwojem dwudziestu pięciu młodzińców, przychwyconych w okolicy Mielca i Dębicy („Czas” 1863, nr 129).

<sup>116</sup> Pierwodruk w „Kurierze Literacko-Naukowym” (1932, nr 1).

„W Przesławiu w dzień bożego ciała wszedł do kościoła w czasie sumy patrol wojskowy z pułku Salvator, wysłany z powiatu kolbuszowskiego. Gdy ksiądz z Przenajświętszym Sakramentem wyszedł na czele procesji z kościoła, patrol z bronią w ręku i głową, nawet w chwili, gdy kapłan błogosławił, nakrytą, badał włościan, czy nie ma na procesji powstańców” („Czas” 1863, nr 129).

W wielu domach mieszczańskich w Mielcu ukrywali się ranni powstańcy, których mieszczanie z całym poświęceniem leczyli i żywili. Chłopcy szesnasto- i siedemnastoletni uciekali z domów ojcowskich do oddziałów, tworzących się w okolicy Mielca. Właściciele miasta, Suchorzewscy, otaczali troskliwą opieką partie, wyruszające za Wisłę. Patriotyczna zaś działalność wielce zasłużonego mieleckiego proboszcza, księdza Edmunda Oraczewskiego, dotąd żyje w pamięci mieszczan w Mielcu.

W oddziale Dunajewskiego, rozbitym podczas przeprawy przez Wisłę pod Maniowem dnia 19 czerwca, zginęło między innymi kilku mieszczan z Mielca oraz syn właściciela części miasta, Bronisław Lewartowski. W innej partii walczyli Jakub Dziekan i Jan Ryniewicz z Mielca. W pobliskim Chorzelowie tworzył się oddział pułk. Zygmunta Jordana, który dnia 20 czerwca przeprawił się przez Wisłę, lecz jeszcze tegoż dnia został rozbity pod Komorowem; zginął wówczas śmiercią bohaterską Juliusz hr. Tarnowski z Chorzelowa i pewien ksiądz z Przecławia, do niewoli zaś dostało się z innymi powstańcami sześciu mieszczan: Antoni Fruni, Józef Luciński, Józef i Stanisław Ożegalscy, Jan i Jakub Graczyńscy („Czas” 1863, nr 146). Mimo to nie przestawały tworzyć się nowe partie powstańców w okolicy Mielca. „W nocy 31 lipca straż skarbowa przytrzymała na drodze ku Zadusznikom niedaleko Mielca chłopca z Dymitrowa, który wiózł 10 skrzynek, mieszczących w sobie 6000 nabojów i 19 strzelb z 14 bagnietami” („Czas” 1863, nr 178). Oczywiście transport ten przeznaczony był dla powstania.

Pod rozkazami sławnego Dionizego Czachowskiego w oddziale, sformułowanym w październiku w lasach baranowskich, walczyli następujący mieszczanie: Jan Ćmielowski (ranny pod Rybnicą 20 października), Walenty Działowski (amputowano mu nogę, postrzeloną w tejże bitwie), Błażej Boryński (wzięty do niewoli – umarł na Syberii),

Jan Korpanty, Kasper Leyko (zesłany na Sybir), Wojciech Weryński, Wawrzyniec Panek, Jan Jaworski oraz żyjący po dziś dzień Jan Podolski. Powstańcem był również chłop Henryk Konrat z Padwi, który jeszcze w roku 1868 przebywał na zesłaniu na Sybirze („Czas” 1868, nr 135).

Dotąd żyje w Mielcu pamięć czynu mieszczanina tamtejszego, Kazimierza Lubaski, który w roku 1863 odbył z kilku innymi zuchami mieleckimi wyprawę na więzienie austriackie w okolicy Radomyśla i Tarnowa, uwieńczoną odbiciem wielu uwięzionych powstańców.

W zakończeniu wspomnieć należy, że w powstaniu styczniowym wzięli także udział Mieczysław hr. Rey z Przeclawia oraz Michał Strzelecki z Kliszowa pod Mielcem, który jako major wojsk powstańczych poległ śmiercią bohaterską pod Ignacem 8 maja 1863 roku. Brat jego za udział w powstaniu zesłany został na Syberię (*Pamiętka dla rodzin polskich*, Kraków 1868).

Tak tedy powiat mielecki chlubną ma kartę w dziejach ruchu powstańczego w Galicji roku 1863, a że entuzjazm dla sprawy był szczerzy i powszechny, dowodzi tego fakt, iż w bój krwawy za graniczną na ówczas Wisłą poszli dzielni ze wszystkich stanów: chłopci, rzemieślnicy, księża i ziemianie.

NUMER 34

# OKOŁO KURIER LITERACKO-NAUKOWY

WYCHODZI CO NIEDZIELE POD REDAKCJĄ PROF. MIECZYŚLAWA DĄBROWSKIEGO.

Dodatek do Nr 231-go „ILUSTROWANEGO KURIERA CODZIENNEGO” z dnia 21-go sierpnia 1933 r.

Stanisław Kryczyński (Łódź).

## Pierwsi na świecie ulani.

Wspomnienie z roku 1920. — *Talawcy litewscy pierwszymi ulanami. — Nietaka na fardzie tatarskiej w dawnej Polsce. — Wsiący Ułanie w XVIII w. obywatelski ulanów. — Ułani talawcy w walkach o niepodległość Litwy.*

Konnie, 20 sierpnia.   
 „Wstąpił wstąpił wstąpił wstąpił do ławki Litwina... (text continues with a poem or historical account) ...”



Ułani powiatu w powiecie Szawle. — Wódz szawleński i jego żołnierze.

Wieloletni dowódca powiatu Szawle, Stanisław Kryczyński, w roku 1920... (text continues with a historical account) ...”



Ułani powiatu w powiecie Szawle. — Wódz szawleński i jego żołnierze.



Ułani powiatu w powiecie Szawle. — Wódz szawleński i jego żołnierze.

Wieloletni dowódca powiatu Szawle, Stanisław Kryczyński, w roku 1920... (text continues with a historical account) ...”

Wieloletni dowódca powiatu Szawle, Stanisław Kryczyński, w roku 1920... (text continues with a historical account) ...”

Okladka „Kuriera Literacko-Naukowego” z artykułem Stanisława Kryczyńskiego





ANEKS  
WILHELM MACH  
O STANISŁAWIE KRYCZYŃSKIM



# Wilhelm Mach

## **Stanisław Kryczyński – pisarz nieznany<sup>117</sup>**

Oto debiut pisarski niezwykle i fantastyczny – debiut zza grobu. Arcypolski debiut! Dojrzewał w ukryciu, na prowincji, wśród drobnego chaosu przedwojennej egzystencji, dwadzieścia pięć lat temu – dojrzewał niespiesznie, bez ambicji łatwego druku, z dala od wielkich protektorów, od wielkich mód czasu, gdzieś na peryferiach Szansy. Z tej utajonej, skromnej i – jak się okazuje – niewiarygodnie pracowitej namiętności myślenia, przeżywania, zapisywania – musiałby wyrósć twórca miary nieprzeciętnej, może wybitny uczony, może artysta, a zdaje mi się, że najpewniej jedno i drugie. Gdy rokujący takie nadzieje człowiek ukończył studia i uświadomił sobie swoje życiowe powołanie – wybuchła wojna. W dwa lata później zmarł.

Łaskawy przypadek sprawił, że mogę Czytelnikom przedstawić, a Wydawcom zarekomendować, literacki spadek po Stanisławie Kryczyńskim. Część zachowanej spuścizny trafiła do moich rąk dzięki uprzejmości rodziny i jednego z przyjaciół przedwcześnie zmarłego pisarza. Ci najbliżsi mu ludzie ochronili z pietyzmem większość rękopisów przed rozsypką. Zdawali sobie sprawę z ich wartości, jakkolwiek – przypuszczam – oceniali tę wartość przede wszystkim miarą osobistego wzruszenia. I pewnie też nie bardzo wiedzieli, jak sprawić, by rękopis stał się drukiem, a wartość ocalona – wartością dostępną wszystkim. Ja nie wiem

---

<sup>117</sup> Pierwodruk w piśmie „Nowa Kultura” (1958, nr 29).

również. Ale daję sygnał i prezentuję – spośród setek pasjonujących stron – kilkanaście urywków. Urywki nie dadzą pojęcia o całości. Jestem przekonany, że kuferek z papierami Stanisława Kryczyńskiego przemieni się w rewelację wydawniczą. Kompetentni i chętni redaktorzy znajdą potrzebne informacje co do materiałów w redakcji „Nowej Kultury” lub – jeśli wolą – wprost u mnie.

To, co zdążyłem przeczytać, zawiera się w dziewięciu różnej grubości brulionach. Treść oszałamiająco różnorodna, charakter formalny też niejednorodny. Autor był z wykształcenia i z zamiłowania historykiem, z instynktu – pisarzem. Demon Historii wodzi się za bary z demonem Sztuki. Rodzaje wypowiedzi splątane, przenikające się wzajemnie. Raz przeważa diariusz pamiętnikarski z obfitą, szeroko rozbudowaną dygresją historyczną, etnograficzną, dokumentarną, to znów esej wysublimowany z materiałów źródłowych, to znów *par excellence* literacka faktografia współczesności, „proza autentyczna”. Obiektywne – sumienne, naukowe, pilną erudycją obudowane relacje i szkice przeplatają się z subiektywną – namiętą i polemiczną publicystyką. Poszukiwania naukowe stają się kompozycyjną osią autobiografii. Dawność, archaiczność ożywa znaczeniem aktualnym, nierzadko równie powszechnym, co i na wskroś osobistym. Nie ma w tym pisarstwie fikcji. Jest ścisłość odkryć źródłowych w pracach nad sprawami przeszłości, jest prawda obserwacji w malowaniu ludzi i obyczajów współczesnych, jest szczerłość w wyznaniach o sobie samym. Bohaterami brulionów Kryczyńskiego są myśli, idee i konkret rzeczywistości. Może – jeśliby wróżyć z wezbranej pełni jego „dzienników”, z ich kolorowego bogactwa – zostałby też i romansopisarzem? Nie wiem. Tym, czym się wyraził, czym się stał, powiększy nie nazbyt u nas bogaty zastęp pisarzy intelektualnych, racjonalistów.

[...]

Ileż się jednak ten wątył, nieśmiały i zapewne nie bardzo „życiowy” student w okularach po całej Polsce napodróżował! Z podziwu godną wytrzymałością i zapałem przewertował jej najbardziej zapadłe strony; czym i jak się dało – pieszo, furmanką – zbobrował całe ówczesne kresy wschodnie, od Trok i Wilna, przez Pińsk i Krzemieniec do Zaleszczyk; i od Zaleszczyk po Śląsk, całą Małopolskę; i Lubelskie, i Warmię, i Wybrzeże, i Mazowsze, i Łowickie... Przetrząsł setki akt gminnych

i parafialnych, różnych archiwów, osobliwości, zbiorów poważnych i niepoważnych, przesłuchał tysiące ludzi świadczących drobnym lokalnym dziejom i tradycjom. Czego tak zajadle, tak namiętnie szukał?

Z tego, co przeczytałem, wyłania się nadrzędna pasja badawcza, myślowa, a także emocjonalna Kryczyńskiego: dociekanie ludowych źródeł kultury narodowej. Ta pasja z kolei skupia się najwyraźniej, najczęściej, z siłą obsesji w temacie, który prowizorycznie nazwałbym tak: – walka z sarmatyzmem, ze szlachecko-klerykalnym barokiem polskiej tradycji, z saską genealogią. Mnóstwo subtematów, pomysłów, drobnych odkryć, skojarzeń, projektów na przyszłe udokumentowane prace notuje Kryczyński nerwowo, pospiesznie, w formie zwięzłych, eseistycznych wypowiedzi lub notat źródłowych. Wszystkie zaskakują nowością, inwencją, niespodzianką. I wszystkie składają się na jakąś niemal fantastyczną, bo niespodzianą, niemal egzotyczną, bo odkrywczą, a nieodparcie sugestywną wersję o Polsce takiej, jakiej nie ma w podręcznikach – Polsce paradoksalnej, pawiej i papuziej, marchołtowej i sowizdrzałskiej, zabobonnej i lekkomyślnej, o Polsce szopkowej zgrywy, zapustów, kołęd, guślarzy, alchemików, „charakterników”, panów, wójtów, plebanów, diabłów, demonów, Chopina, malarzy końsko-batalistycznych, anonimowych poetów jarmarcznych, Gorgonowej...

Uderza stosunek Kryczyńskiego do tej szalonej polskości ambiwalentny: – zgroza i podziw; potępienie i fascynacja; gorycz myśli i przewrotna aprobata serca. W wielu wątkach myślowych idzie autor szlakami Norwida i Słowackiego, Brzozowskiego i Nałkowskiego, podobnie jak oni rozważa dole i niedole polskiego charakteru, polskiej kultury – i tam jest najlepszy. Gdzie indziej ostrość spojrzenia zamąca mu bądź krakowsko-modernistyczna mitologia (jeszcze w tych latach na małopolskiej prowincji dość ofensywna), bądź jednostronność „wiciowo”-chłopskiej perspektywy, bądź wreszcie – tu i ówdzie – przesadne, absolutyzujące a emocjonalne awansowanie „ducha narodowego” w dziejach i kulturze Polski. Nieraz w jednym szkicu radykalizm społeczny autora osuwa się nagle w naiwne solidaryistyczne społecznikostwo lub w „sen o krzepie”. Lecz jakież to znamienne dla szerokich kręgów postępowej międzywojennej inteligencji! Jest w tej mozaice kult dla francuskiej Rewolucji, pogarda dla faszyzmu, przyjaźń z chłopskim poetą Wojciechem Skuzą,

lektura Kruczkowskiego, wstrząs po lwowskiej demonstracji robotniczej na pogrzebie komunisty Kozaka – ale trafi się i myśl jakby od „Stańczyków” rodem, sąsiadująca zresztą zgodnie z optymistyczną refleksją na temat Piłsudskiego<sup>118</sup>. Protest przeciwko rzeczywistości społecznej w kraju miesza się z estetycznym zachwytem dla karmazynowej polskiej tragiczności...

Ale i te przeciwieństwa sprawiają, że z brulionów wyłania się nie wzorowy schemat, lecz żywy człowiek. Więc niech przemówi!

### **Rękopisy Stanisława Kryczyńskiego**

W numerach 29. i 30. „Nowej Kultury” z 20 i 27 lipca bieżącego roku zaanonsowałem publiczności czytelniczej odkrycie interesujących ze wszech miar rękopisów Stanisława Kryczyńskiego, historyka i orientalisty, zmarłego w roku 1941. Młody, bo zaledwie trzydziestoletni autor daje się poznać – już tylko, niestety, w nieodwołalnie ostatecznym rozmiarze pozostawionych skryptów – jako talent literacki nieprzeciętnej klasy. Trudno mi osądzić z powściągliwych wyznań, rozsianych wśród jego zapisków, o ile sam uświadamiał sobie swe pisarskie uprawnienia i jakie w tym względzie miał plany na przyszłość. Wspomina, że w latach szkolnych pisywał wiersze – nie sądzę jednak, by w owej poetyckiej ochocie, tak częściej u co wrażliwszych młodych ludzi, fundował trwalsze ambicje. Inne wzmianki mówią ogólnikowo o wewnętrznej potrzebie wypowiedzenia się, o aspiracjach i zamiarach twórczych, można je wszakże odnieść do pasji badawczej, naukowej, przepalającej umysł i uczucia młodego historyka. Skądinąd dowiedziałem się, że Kryczyński zwierzał się przyjaciółom z gromadzenia materiałów do pracy, która – choć jej wyraźnie nie określał – mogła być rozumiana jako proza beletrystyczna, może powieść. Ale to już było na niedługi czas przed jego śmiercią. Szkoda, wielka szkoda, że tak wybitny zakrój pisarski, tak obiecującą projekcję talentu można już tylko dopełnić oceną możliwości, domysłem. A utwalić, uchronić od niewiedzy i niepamięci trzeba to jedynie, co realnie pozostało.

<sup>118</sup> W pierwodruku w „Nowej Kulturze” fragment ten brzmiał: „[...] sąsiadująca zresztą zgodnie z optymistyczną refleksją dla sanacyjnej polityki”.

Nie mam w chwili obecnej pełnego poglądu na całość rękopiśmiennej spuścizny Stanisława Kryczyńskiego. Poznałem zawartość dzieł w postaci brulionów, których charakterystykę – wraz z notą biograficzną – podałem w głosie do fragmentów opublikowanych w „Nowej Kulturze”; tam też odsyłam czytelników, którzy z nazwiskiem Kryczyński spotykają się po raz pierwszy na tej stronicy. Z rozmów przeprowadzonych z rodziną zmarłego mogę wnosić, że dokładne i świadome celu wydawniczego przejrzenie wszystkich papierów po Kryczyńskim, łącznie z tekami materiałów do prac naukowych i korespondencją prywatną, pomnoży zapewne stan pisarskiego posiadania.

Jest bowiem charakterystyczną cechą autorską Kryczyńskiego wypowiadanie się jak gdyby integralne, całym sobą, wszystkimi dyspozycjami wewnętrznymi, duszą uczonego, gawędziarza i eseisty, na jeden raz, bez wykoncypowanych rozgraniczeń formalnych. Tak więc list do narzeczonej zawrzeć może szkic o barokowej dramaturgii Słowackiego, fiszka źródłowo-historyczna – współczesną obserwację obyczajową, kartka z kalendarza – kawał epiki. I takie właśnie są wszystkie zeszyty Kryczyńskiego, które przeczytałem. Jest to pisarstwo jakby mimo woli, jakby przy okazji – pisarstwo, stanowiące wtórny niejako, niezamierzony efekt jakiejś czynności pierwszej, której intencją był nie cel literacki, lecz... I tu się zawahałem: czy nazwać to podług stanu przedmiotowego, podług treści utrwalonych na papierze słów – czy też sięgnąć do wyczuwalnych motywów subiektywnych, psychologicznych? Może ta pierwsza inspiracja Kryczyńskiego zawierała nierozdzielnie i obiekt jego zainteresowań badawczych, i sekret introwertyka? Zdaje mi się, że Kryczyńskiemu nie zależało, a w każdym razie nie zależało przede wszystkim, na efekcie *par excellence* literackim i publicznym. Zależało mu na wyrażeniu, uzewnętrznieniu, czyli zobiektywizowaniu aż chyba bolesnego, tak intensywnego ciśnienia myśli, refleksji, idei, skojarzeń, koncepcji i projektów badawczych. Zależało mu na tym, by dać ujście wypełniającej go aktywności wewnętrznej. Był chyba – przeczuwam – w pewnym szczególnym znaczeniu bardzo samotny, bardzo zdany na samego siebie, skoro nie troszczył się o dalszą drogę dla swoich słów. Poprzestał na monologu. Autentyczność monologu potwierdza owa splątana, słojuwata i powęźlona wszystkogatunkowość jego pisania. Pisał, żeby się pozbyć

jednych myśli i dać w sobie miejsce nowym. Był konsumentem własnych obsesji, własnych poszukiwań. I tak porając ze swymi koniecznościami, odkrył dla nas – bo już nie dla siebie – swoje pisarstwo.

Podoba mi się ono. Podoba mi się jego wielopostaciowość, amorficzność. Nieświadomym zamysłem, ale jakby na skutek samej historii, czy losu jaki przypadł w udziale autorowi, jest ono w tej swojej niedokończoności, fragmentaryczności dopasowane do autentycznych ludzkich kompetencji naszego czasu. Nie upieram się, może nie mam racji, dopuszczam z góry omyłkę subiektywnego odczucia perspektyw sztuki. Wydaje mi się jednak, że istnieje i istnieć musi jakaś adekwatność wyrażenia artystycznego w stosunku do ogólnego i dominującego samopoczucia człowieka w danej epoce. Decyduje o tym chyba stopień pewności co do opanowania przezeń i rozumienia świata, w którym żyje.

Optymizm racjonalistów, a potem pozorna kompletność wiedzy dziewiętnastowiecznej wywiodły z siebie sztukę stabilną, zadufale odzwierciedlającą, rejestrującą wymiary poznanego rzekomo świata. Ugruntowane wówczas style i nawyki artystyczne trwają dłużej niż ich realne upoważnienia, które z czasem okazały się niedostateczne. Trwają, to prawda, do dziś – zwłaszcza w świadomości biernych i roztargnionych spożywców sztuki. Lecz obok nich dokonują się znamienne przemiany w różnych dziedzinach twórczości. Malarstwo i muzyka zareagowały szybciej na znowu zmieniony układ między materią życia i szansami jej opanowania. „Totalną”, naiwnie reprodukcyjną skończoność swych form klasycznych wymieniły (i wymieniają w ustawicznych poszukiwaniach) na system znaków, sygnałów, które raczej proponują, aniżeli orzekają, raczej każą domyślać się i przeczuwać, niż dają kształt pełny i określony. Sztuki plastyczne z uporem raz obudzonych podejrzeń próbują ujrzyć rzeczy w ich tajemniczym poza-widzialnym wyglądzie. Muzyka staje się „oceanem możliwości”, obca i wroga – jak to demaskuje Mannowski diabeł w *Doktorze Faustusie* – zarówno wszelkiej tradycji, jak i wszelkim programom łącznie z własnym programem bezprogramowości. Jest coś aż bolesnego, żałośnie heroicznego w tych zmaganiach się sztuki współczesnej z dylematami i niepewnościami naszego wieku. I jakkolwiek przyszłoby ocenić rezultaty owych zmaganiań, dowodzą one głębokiego poczucia odpowiedzialności za taką konkretyzację idei artystycznych, która



byłaby możliwie jak najwierniejsza, jak najbardziej adekwatna wobec rozpętanych konfliktów między człowiekiem – panem stworzenia i stworzeniem samym.

Tymczasem literatura trzyma się najuporczywiej w starych szan-  
cach. Podczas gdy realnie, w obliczu coraz to nowych odkryć, a w ślad  
za nimi – coraz to nowych lęków, zagrożeń, nadziei, człowiek zdaje się  
wchodzić w nową fazę istnienia, i stąpając niepewnie po odmienionym,  
jakby od początku stwarzanym świecie, kreuje sobie – jak niegdyś jego  
pierwotny antenat – nowe mity, nowe idole i nawet nowe zabobony, gdy  
umysł jego, upokorzony przez rozwartą nagle czeluść bezkresnego po-  
znawania rzeczy do niedawna uważanych za poznane, popada w pierwot-  
ne czy dziecięce myślenie magiczne – literatura wciąż jeszcze usiłuje  
załatwiać ludzkie rachunki starymi banknotami. Co ma w skarbcu na ich  
pokrycie? Optymizm trwałości, niezmienności? To już nie wystarczy.  
Wydaje mi się, że stare, epickie kanony literatury działają już tylko siłą  
kredytu, przyzwyczajenia, sugestywnością semantyki. Nie jestem kata-  
strofistą. Symptomy, o jakich mówię, są paralelne do obaw astronomów,  
że słońce wygasa. Rzecz jednak zrozumiała, że jeśli sami ludzie nie ule-  
gną samobójczej desperacji (a wierzę, że nie), to i słońca i starych solid-  
nych recept literackich starczy jeszcze na długo.

Lecz mimo to lubię, coraz więcej lubię pisarstwo podobne do za-  
chwianej sytuacji człowieka w obecnym świecie. Pisarstwo bez konte-  
nansu, urywane w pół zdania, spieszące do zdania innego, o czym innym,  
aby bodaj zaznaczyć – pospiesznie i w trwodze szybkiego przemijania  
– ślad osobistej, głęboko własnej myśli o sprawach, które nie są fikcją.  
W osobistym zaangażowaniu, nawet w prowizoryczności, rozprosze-  
niu, w samotnym wypróbowywaniu, marnotrawstwie szans, sygnalizo-  
wanych Iśnieniem talentu, znajduję ujmującą uczciwość, lojalność tak  
właśnie piszącego wobec trudnych determinacji naszego wieku. Dlatego  
z sympatią i wzruszeniem odczytuję poźółkłe już kartki człowieka, które-  
go nie znałem za życia, a który przecież trafił w końcu do ludzi, by swój  
samotny monolog powierzyć im na własność.

Dywagacje moje nie charakteryzują rękopisów Stanisława Kryczyń-  
skiego w ich treści dosłownej. Ta jest jasna, spokojna, rzeczowa, osadzona  
w historii polskich obyczajów i realiach przedwrześniowej i okupacyjnej

współczesności. Jeśli jej klarowna prostota daje mimo to asumpt do rozważania zmieniających się szans literatury – to dzieje się to nie dzięki tematowi, lecz dzięki formie zapisów, takiej właśnie, jaka wydaje mi się symptomatyczna dla aktualnych pisarskich perspektyw. Forma ta, zestawiona z biografią Kryczyńskiego, absurdalnie urwaną przez zgon przedwczesny, staje się treścią samoistną, obok tekstu – i przezierną przez nią groźna ironia losu możliwego dziś bardziej, częściej niż kiedykolwiek: ironia obietnicy, która nim zdążyła się spełnić, stała się testamentem.

## SUMMARY

**Stanisław Kryczyński, *Memoirs. Literary works. Essays, introduction and edited by Grzegorz Czerwiński, Białystok 2014.***

This book contains literary works by Stanisław Kryczyński (1911–1941), a Polish historian with Tatar roots. The source texts are published here for the first time. They were mostly produced by Kryczyński in the form of manuscripts and typescripts, contained in the collections of Warsaw University Library. Included in this edition are his *Wspomnienia z poszukiwań naukowych* [“Memoirs of Scientific Quests”], handwritten notes of his recollections, selected notes on literature, and works of poetry and poetic prose.

The source texts are enriched with footnotes, principally consisting of summaries of the lives of figures in science and culture and of social and political activists in the interwar period, as well as information on significant historical events. The editorial notes also include, as far as possible, full bibliographic references to the literary and academic works cited by Kryczyński.

Stanisław Kryczyński was born in Nowy Sącz. He passed his high school graduation examination in 1929, and in 1930 began studying history at the Jagiellonian University in Kraków. In 1931 he moved to Jan Kazimierz University in Lwów (now Lviv; the city belonged to Poland until 1939). There, under Professor Stanisław Zakrzewski, he successfully defended his master’s dissertation in 1935, after which he moved to Warsaw to undertake Turkic studies. After completing his studies he worked at the Central Archives of Historical Records in Warsaw.

Kryczyński was primarily a historian. From 1935 onwards he researched the history of the Polish-Lithuanian Tatars. His work of 1938 titled *Tatarzy litewscy. Próba monografii historyczno-etnograficznej* [“The Lithuanian Tatars. A historical and ethnographic monograph”] was the first work of significant size on that topic. Apart from this he also published several dozen other academic and popular works on subjects relating to the Tatars. The author’s interests included the rites of the Muslim people, relations between Christians and Muslims in the Polish Republic, the legal situation of the Tatars in historical Poland, and military topics relating to Polish adherents of Islam.

Kryczyński was also a writer. He produced his first literary works very early in life. He published his first stories in 1925, and his first poetry in the school year of 1928/29. As a history student in Kraków, he began to write short stories which included descriptions of nature, folklore and facts taken from historical sources. He continued to produce literary work throughout the time of his studies, as well as during his later academic work in Warsaw and in wartime. According to Jan Tyszkiewicz, this writing was done mainly just for himself, for pleasure and self-fulfilment, which may explain the lack of any decision to publish most of his poetry and poetic prose. Several years prior to his death, Kryczyński organized his manuscripts and wrote his memoirs.

The style of Kryczyński’s poetry and prose can be placed somewhere between that of the Polish poets of the 1918–1939 period, such as Józef Czechowicz, Jerzy Liebert and Czesław Miłosz, and the work of the Young Poland movement, primarily the naturalists. Kryczyński is part of the creative generation born around the year 1910. His work is characterized by the poetry of fluidity and of the “third word”, the Young Polish multiplicity of styles.

Kryczyński’s poetry and prose extracts feature a wealth of diverse subjects. Interest in nature and its changeability, rural genre scenes, the sensuality of the everyday – all this is present in Kryczyński’s writing, along with, on the other hand, the dirty peasant cottages, musty rooms, the smell of sour cabbage in the school hallway, the tavern and drunken farmhands. This diversity, however, does not affect the cohesion of the world being presented, in whose richness the writer desires to find some

kind of secret, perhaps even his own kind of mysticism. In places there can also be heard an echo of catastrophism, there appear undefined nightmare images, broken windows, smoke – maybe this is a record of the wartime Apocalypse being played out before the author's eyes.

Kryczyński's memoirs have survived in two forms: handwritten notes, fragments of which probably date from before 1940, and a typescript which was clearly being prepared for publication. The latter bears the title *Wspomnienia z poszukiwań naukowych* ["Memoirs of Scientific Quests"], and gives the impression of being an "intellectual diary" (the author describes his scientific research and university studies, sharing his thoughts on the subjects of literature, history and music), whereas the handwritten part is, to a large degree, more of an "emotional diary" (recollections from early youth and adolescence, description of emotional and erotic initiations, drinking sessions with fellow students in Kraków, fights during street demonstrations, and the like).

"Memoirs of Scientific Quests" can be considered Kryczyński's finest literary work. Readers will undoubtedly be surprised by the erudition of the young author, still under the age of thirty – his intellectual maturity, wide reading, and brilliance in expressing opinions. A characteristic feature of the work is the synthetic nature of the thoughts and images presented in it. In a single paragraph, sentence or even word, Kryczyński is able to convey a thought so profound that many of us would take even several pages to express it. In a certain sense, one gets the impression that the writer was somehow racing against time, trying to express all of the thoughts which his mind was producing faster than his hand could write them down. The "Memoirs" cover an extremely rich range of subjects. If one were to attempt to identify a few dominant motifs, they would include history, Poland, Galicia, literature, a passion for research, and learning about the world.

The final group of Kryczyński's works contained in this book consists of historical essays. Of particular interest in this case is the lively narration, which is able to turn an academic treatise on long-gone times into an attractive and particularly engaging modern adventure story.



# INDEKS NAZWISK

## A

Achmatowicz,  
dowódca wojskowy, Tatar 174  
Achmatowicze 176, 195  
Achmatowicz, Bohdan 175–176  
Achmatowicz, Musia, córka  
Bohdana Achmatowicza 176  
Achmatowicz, Osman 78, 105  
Achmatowiczowa  
(z d. Stankiewiczówna), żona  
Osmana Achmatowicza 78  
Adamczewski, Stanisław 95  
Adamus, Jan 66  
Adaukt, święty 62  
Ankwicz, ksiądz (XVIII w.) 55  
Ankwicz, Stanisław 58  
Ankwiczówna, Henrietta Ewa 58  
Adler, Alfred 89  
Aleksander I, car rosyjski 193  
Andersen, Hans Christian 113  
Anna, królowa 48  
Anna, święta 184  
Anonim, Gall 65  
Arystoteles 79  
August II, król Polski 58, 166  
August III Sas, król Polski 50,  
123

## B

Bairišauskaite, Tamara 23  
Barbara, święta 61  
Baryka, właściciel szynku (XVII w.)  
185  
Białostocki, kolega szkolny  
Kryczyńskiego 125–126  
Bielak, Józef 24, 176  
Bielski, Marcin (XVI w.) 184  
Baczyński, Krzysztof Kamil 140  
Baczyński, Stanisław 140–141  
Baka, Józef 72  
Baldung, Hans 104  
Balzac de, Honoré 111  
Balzer, Oswald 20, 49–50  
Baranow, Andrzej 7  
Barbara, święta 61  
Barkowska, Krystyna 7  
Batory, Stefan 109–110  
Bazyłow, Ludwik 17, 26, 40  
Beethoven van, Ludwig 68  
Berent, Waclaw 69  
Bergerac de, Cyrano 120  
Bernard z Clairvaux, święty 117  
Bezwiński, Adam 7  
Bhrams, Johannes 68  
Bischoff, Elisabeth 68

- Błachowska, Katarzyna 39  
 Błażko, szynkarz (XVI w.) 184  
 Bobrzyński, Michał 73  
 Bohdanowicz, Leon 27  
 Bolesław, król Polski 47  
 Bolesław Chrobry, król Polski 64  
 Bolesław Szczodry, król Polski 64  
 Bona, królowa Polski 106  
 Bonawentura 116  
 Bondarewa, Olena 7  
 Borawski, Piotr 23, 39  
 Borkowska, Grażyna 7  
 Boryński, Błażej 197  
 Borysiak, Joanna 26, 39  
 Bracka, Mariya 4  
 Bramante, Donato 80  
 Brandt, Józef 71  
 Braun, Dawid (XVII/XVIII w.)  
     111  
 Bronikowski, gubernator 193  
 Brouwer, 186  
 Brouwer, Adriaen 80  
 Bruegel, Piotr starszy 79  
 Brüchner, 47  
 Brygida, święta 118  
 Brzozowski, Stanisław 75, 109, 205  
 Bujnicki, Tadeusz 4, 7
- C**
- Calderon (Pedro Calderón  
   de la Barca) 112  
 Cellarius, Andreas (XVII w.)  
     190  
 Chajreddin Barbarossa 67  
 Casanova, Giacomo 89
- Cazin, Paul 140  
 Cervantes de, Miguel 112  
 Chełmoński, Józef 69, 71  
 Chlamtacz, Marceli 20, 49  
 Chlebowski, Bronisław 110  
 Chodźko, Ignacy 194  
 Chomik, Piotr 4  
 Chopin, Fryderyk 68–69, 73–74,  
     91, 94–95, 102, 104, 117, 205  
 Chmielowski, Benedykt  
   (XVIII w.) 191  
 Cierniak, Urszula 7  
 Citko, Lilia 4  
 Cooper 120  
 Czachowski, Dionizy 197  
 Czacki, Franciszek 110  
 Czajkowska, Agnieszka 4  
 Czajkowski, Krzysztof 4  
 Czarnowski, Stefan 114  
 Czechowicz, Józef 33, 212  
 Czerep, Piotr – zob. Kryczyński,  
   Stanisław  
 Czerny, Zygmunt 63  
 Czerwiński, Grzegorz 3, 4–5,  
     17–35, 39, 211  
 Czyżewski, Piotr (XVI w.) 188
- Ć**
- Ćmielowski, Jan 197
- D**
- Dammert, Udo 68  
 Darwin, Karol 48, 89  
 Dąbrowski, Jan Henryk 70, 136  
 Dąbrowski, Józef 133



Dickens, Karol 125  
 Długosz, Jan 66  
 Dobrowolski, Kazimierz 49  
 Dogiel, Maciej (XVII/XVIII w.)

111

Dostojewski, Fiodor  
 Michajłowicz 49, 79, 81–82, 112  
 Doyle, Arthur Conan 65  
 Dubiński, Aleksander 23, 39  
 Dumin, Stanislav 17, 39  
 Dunajewski, powstaniec  
 styczniowy 197  
 Dürer, Albrecht 75, 103–104  
 Dziadulewicz, Stanisław 17–18,  
 27, 39  
 Działowski, Walenty 197  
 Dziedzic, Joanna 4  
 Dziekan, Jakub 197

## E

Edward III, król angielski 106  
 Einstein, Albert 121  
 Elżbieta, córka króla Zygmunta 116  
 Elżbieta, królowa angielska 182  
 Elżbieta, święta 118  
 Ezechiel, prorok 70

## F

Feldman, Józef 20, 132  
 Feldmanowa, Maria 74  
 Feliks, święty 62  
 Flawiusz, Józef 116  
 Franciszek, święty 116  
 Franciszek Józef I,  
 cesarz austriacki 123

Fredro, Aleksander 112  
 Freud, Zygmunt 121  
 Fruni, Antoni 197

## G

Gazi Girej, chan krymski 29  
 Gąsiorowski, Antoni 83  
 Gedymin, wielki książę litewski  
 188  
 Genowefa, księżniczka  
 bramancka 118  
 Geograf Bawarski 64  
 Gide, André 84  
 Gniewosz z Dalewic 65  
 Goethe von, Johann Wolfgang 91  
 Gorgonowa, Rita 86, 205  
 Grabowski, Ambroży 191  
 Grabski, Stanisław 128  
 Grabski, Władysław 129  
 Graczyńscy, Jan i Jakub 197  
 Grasserie de la, Raoul 182  
 Gregorczykówna  
 (Grzegorczykówna), Jadwiga 19  
 Grottger, Artur 69  
 Grytiew, Karol 110  
 Grzebski, matematyk (XVI w.) 110  
 Grzymała-Siedlecki, Adam  
 142–143  
 Gutenberg, Johannes 54

## H

Habsburgowie 123  
 Handelsman, Marcei 133  
 Hals, Frans 80  
 Harman, Tomasz (XVI w.) 182

Haydn, Joseph 123  
Herod, król Judei 116  
Hodobodt, kierownik szkoły  
w Woli Mieleckiej 56  
Holbein, Hans 104  
Homer 92  
Hugo, Victor 121, 125

**J**

Jackiewicz, Mieczysław 7  
Jadwiga, królowa Polski 65–66  
Jaeger, Hans (XVI w.) 187  
Jakubauskas, Adas 17, 39  
Jakubowska, Maria 78  
Jan, święty 191  
Jan Kazimierz, król Polski  
20–21, 49, 63, 66, 105, 211  
Jan Nepomucen, święty 53  
Janicka, Anna 4  
Jaworski, Jan 198  
Jelonkiewicz, Franciszek 133  
Jaracz 138  
Jerszow, Wołodymyr 7  
Jezierski, fabrykant 111  
Jezus z Nazaretu (Jezus Chrystus)  
55, 73, 91, 114–119, 188  
Jędrzejewski, Władysław  
114–115  
Jordan, Zygmunt 197  
Jurkowski, Jan (XVI/XVII w.)  
182

**K**

Kaden-Bandrowski, Juliusz 95  
Kadłubek, Wincenty 190

Kalinka, Walerian 73  
Kalman, nauczyciel z Chęśnia  
112  
Kalski, Tomek, kasztelan 65  
Karczewscy 194  
Karnaukhov, Dmitry 7  
Kasabuła, Tadeusz 4  
Kazim, Musa 67–68  
Każmierczyk, Zbigniew 7  
Kieżuń, Anna 4, 7  
Klaudiusz Tyberiusz, cesarz  
rzymski 116  
Klebański, Marcin (XIX w.) 183  
Klonowicz, Sebastian Fabian 114  
Kluczyński, Andrzej P. 4  
Kochanowski, Jan 110, 114, 191  
Kołłątaj, Hugo 72, 85  
Konopacki, Artur 188  
Konopczyński, Władysław 20, 132  
Konopnicka, Maria 144  
Konrat, Henryk 198  
Kopania, Kamil 4  
Kopernik, Mikołaj 110  
Korotkich, Krzysztof 4  
Korpanty, Jan 198  
Korycki, dowódca wojskowy,  
Tatar 174  
Korycki, Aleksander 195  
Korycki, J. – zob. Kryczyński,  
Stanisław  
Korzon, Tadeusz 48  
Kossak, Juliusz 71  
Kostek-Biernacki, Wacław 134  
Kościuszko, Tadeusz 72, 85,  
136, 141

- Kot, Stanisław 20, 133  
 Kowalski, Jan, arcybiskup  
   mariawitów 84  
 Kowalski, Grzegorz 4  
 Kozłowska-Budkowa, Zofia 20,  
   133  
 Koźmian, Kajetan 111  
 Krasicki, Ignacy 85  
 Krasieński, Zygmunt 73, 96, 142  
 Krasnowolski, kolega  
   Kryczyńskiego ze studiów 133  
 Kret, Mieczysław 27, 39  
 Krobicki, Kazimierz 94  
 Krukowska, Halina 7  
 Krusensztern, baron 130  
 Kryczyńscy 176  
 Kryczyńska, Emilia 130  
 Kryczyńska (z d. Krudowska),  
   Irena 21–22, 26–27, 29, 70,  
   112, 138  
 Kryczyńska, Maria 77, 105, 174  
 Kryczyński, Ali 175  
 Kryczyński, Anatol 174  
 Kryczyński, Bronisław 18–19  
 Kryczyński, Józef 175  
 Kryczyński, Konstanty 193  
 Kryczyński, Mustafa 18  
 Kryczyński, Leon Najman Mirza  
   17–18, 21–22, 27, 40, 77–78,  
   105, 129, 173, 195  
 Kryczyński, Olgierd Najman  
   Mirza 17–18, 21, 27, 40, 77, 174,  
 Kryczyński, Stanisław 4–5, 8–9,  
   12, 17–34, 36–41, 43, 45, 190,  
   201, 203–207, 209, 210–212  
 Kryczyński, Władysław 129  
 Krystan, A. – zob. Kryczyński,  
   Stanisław  
 Kuciński, Paweł 4  
 Kruczkowski, Leon 206  
 Kuczyński, mieszczanin (XIX w.)  
   195  
 Kukiel, Marian 49
- L**
- Lam, Jan 85  
 Lengnich, Gotfrid (XVII/XVIII w.)  
   111  
 Leonardo da Vinci 119  
 Leończuk, Jan 7  
 Lelewel, Joachim 47  
 Leszek Biały, król Polski 111  
 Lewartowski, Bronisław 197  
 Leyko, burmistrz Mielca 101  
 Leyko, Jan 56–57, 100–101, 103  
 Leyko, Kasper 198  
 Libicki, Jan (XVII w.) 184  
 Liebert, Jerzy 33, 212  
 Lieuwenhoeck van, Antoni 110  
 Lisiajama, staropolski rzemieślnik  
   51  
 Lisowska, Lucy 4  
 Lombard-Iwicka,  
   nauczycielka francuskiego 46  
 London, Jack 49  
 Loryncowa, właścicielka  
   gospody (XVI w.) 184  
 Löw, Ryszard 7  
 Lubaski, Kazimierz 198  
 Lubienieccy 21, 27

- Luciński, Józef 197  
Lutosławski, Wincenty 99
- Ł**  
Ławski, Jarosław 4
- M**  
Mach, Wilhelm 12, 25, 29–30,  
34, 37–39, 201–210  
Macocho, mnich z zakonu  
paulinów 84  
Madaliński, Antoni Józef 136  
Malczewski, Antoni 92–93  
Malutina, Natalia 7  
Małachowscy 53  
Małachowski, fabrykant 111  
Marcin z Urzędowa, botanik  
(XVI w.) 110  
Marcinkowski, kolega  
Kryczyńskiego ze studiów 133  
Maria, królowa rumuńska 58  
Mann, Tomasz 208  
Matejko, Jan 69, 71, 73, 143  
Maternicki, Jerzy 17, 39–40  
Mauriac, François 80–82  
Matylda, święta 118  
Męciński, Aleksander  
(XIX w.) 182  
Michał Anioł 80, 88  
Michaś, kolega szkolny  
Kryczyńskiego 125–126  
Mickiewicz, Adam 28–29, 37,  
39, 58, 71, 91–92, 99, 134,  
140–143, 175  
Mieleccy 53  
Mieszko I, książę Polski 54, 64  
Mikiciuk, Elżbieta 7  
Mikołaj, mistrz (XV/XVI w.) 184  
Mikołaj, święty 106, 189  
Mikołajczak, Małgorzata 7  
Miłoś, Józef 56  
Miłosz, Czesław 33, 212  
Mironowicz, Antoni 7  
Miśkiewicz, Aleksander Ali 40  
Moersperg von, Augustyn, baron  
191  
Molière 111  
Montgolfier, bracia Joseph  
Michel i Jacques Étienne 119  
Morawski, Kazimierz Marian 136  
Morsztyn, Andrzej (XVII w.) 191  
Morsztynowa, wojewodzina  
(XVIII w.) 55  
Mortosz, pisarz 136  
Mościcki, Ignacy 49  
Muhammad (Mahomet),  
prorok 78  
Murza-Murzicz 176  
Musijenko, Swietłana 7  
Mussolini, Benito 71  
Muszyńska, koleżanka  
Kryczyńskiego ze studiów 133
- N**  
Najman, książę z rodu Typirów  
17–18  
Nałkowski, Wacław 84, 205  
Napoleon Bonaparte 27, 29, 141,  
174, 187, 192–195  
Naumow, Aleksander 7

Nejtek, zarządca gorzelni  
w Szczercu 130  
Nietzsche, Friedrich 89  
Norwid, Cyprian Kamil 28,  
70–72, 74, 103–104, 120, 205  
Nosilia, Viviana 7  
Nowaczyński, Adolf 95  
Nikitorowicz, Jerzy 7

**O**

Oczko, lekarz (XVI w.) 110  
Ogińska (Gabrielowa), księżna 189  
Ogiński, Michał Kleofas 69  
Ogiński, Michał Kazimierz 111  
Olech, Barbara 4  
Olszewski, Franciszek 50  
Oleszkiewicz – zob. Kryczyński,  
Stanisław  
Opeć, Baltazar 116  
Oraczewski, Edmund 197  
Ossolińscy 53–54  
Ostade van, piwowar 186  
Ozegalscy, Józef i Stanisław 197

**P**

Panek, Wawrzyniec 198  
Papla, Eulalia 7  
Parkosz, filolog (XVI w.) 110  
Paweł, święty 106  
Pawlikowski, Franciszek 54  
Pawłowicz, Julian 56  
Petrażycki, Leon 80  
Piekarski, staropolski bandyta  
188–189  
Piekarski, Kazimierz 51

Piekosiński, Franciszek 47–48  
Piłsudski, Józef 69, 95, 206  
Piniński, Leon 20, 49  
Piotr, święty 79, 106  
Piskurewicz, Ewa 26, 39  
Piwarski, Kazimierz 20, 132  
Piwowska, Danuta 7  
Platon 120  
Podolski, Jan 198  
Poliszczuk, Jarosław 7  
Ponciusz Piłat 116  
Poniatowski, Józef, książę 90  
Potański, Jurek (XVII w.) 185  
Potkański, Karol 47  
Potocki, Wacław 108, 139  
Proust, Marcel 121  
Prosińska-Jackl, Maria 40  
Prus, Bolesław 85, 121, 125  
Przesmycki, Zenon 71  
Przyłuski, Jakub (XVI w.) 192

**R**

Radwan, Stanisław – zob.  
Kryczyński, Stanisław  
Radyszewski, Rościśław 7  
Rafacz, Józef 136  
Rafael Santi 88  
Remarque, Erich Maria 135  
Rej, Mikołaj 58, 191  
Rey, Mieczysław, hrabia 198  
Rey, Stanisław, hrabia 19, 57–58  
Rey, żona hr. Stanisława Reya  
(z d. Branicka) 58  
Reychman, Jan 21  
Rinaldini, Rinaldo 188

- Ritz, German 7  
Romanowicze 176  
Rousseau, Jan Jakub 102  
Rostworowski, Emanuel 40  
Rozdziałka, Lemiesz, szynkarz  
(XVII w.) 185  
Różga, kolega Kryczyńskiego  
ze studiów 133, 135  
Rubens, Peter Paul 104  
Rulhière de, Claude-Carloman 71  
Rusek, Iwona E. 4  
Ruszczyc, Ferdynand 105  
Rutkowski, Krzysztof 7  
Ryniewicz, Jan 197  
Rzączyński 191  
Rzepnydół, staropolski  
rzemieślnik 51
- S
- Sabała (Jan Krzeptowski) 79  
Sattner, P. 68  
Schubert, Franz 68–69  
Schultz, Peter 111  
Scott, Walter 181  
Semkowicz, Władysław 20,  
132–133  
Siedlecki, Michał 4  
Sienkiewicz, Henryk 141  
Siennik, botanik (XVI w.) 110  
Sitdykov, Galim 17, 39  
Skalkowski, Adam 136  
Skarga, Piotr 139  
Skirmuntt, Henryk 95–96  
Skuza, Wojciech 20, 31, 127,  
133, 205  
Słowacka, Salomea 107–108  
Słowacki, Juliusz 69, 71, 73, 74,  
81, 92, 94, 107–108, 117, 140,  
142–143, 205, 207  
Sobieski, Jan, król Polski 48, 70,  
73, 125  
Sobieski, Wacław 20, 132  
Solnydrąg, staropolski rzemieślnik 51  
Smolski, pułkownik 77  
Spohr, Louis 68  
Stachiewicz, Piotr 58  
Staff, Leopold 102  
Stanisław, biskup krakowski 65  
Stanisław August, król Polski 58  
Staszic, Stanisław 110–111, 113  
Stebelski, towarzysz wojennej  
tułaczki Kryczyńskiego 137  
Stefko, Kamil 20, 49  
Stęczyński, Maciej Bogusz 102  
Stojałowski, ksiądz 85  
Strzelecki, Michał 198  
Sucharski, Tadeusz 7  
Sulimowicz, Jerzy 17, 21, 23,  
30–31, 33, 40  
Supa, Wanda 7  
Surowiecki, Wawrzyniec 110  
Sylwestrzak, Małgorzata 4  
Szajnocha, Karol 47  
Szapszał, Hadzi Seraja 27  
Szekspir, William 94, 108  
Szujski, Józef 73  
Szymanowski, Wacław 142  
Szymon, właściciel gospody  
(XVI w.) 184  
Szynekiewicz, Jakub 27, 105

**Ś**

- Ściborowska, koleżanka  
 Kryczyńskiego ze studiów 133  
 Śleszkowski, Seb. (XVII w.) 186  
 Śniadeccy 110

**T**

- Talkowscy 176  
 Tarnowscy 85  
 Tarnowski, Juliusz 197  
 Thorvaldsen, Bertel 58, 90  
 Tołstoj, Lew Nikołajewicz 49,  
 112, 141  
 Tomalina (Rafałowa, babka),  
 chłopka 115, 119  
 Towiański, Andrzej 81, 99  
 Tuhan-Baranowscy 176  
 Turkiewicz, Halina 7  
 Tycjan 88  
 Tyszkiewicz, hrabia 188  
 Tyszkiewicz, Jan 17, 23–24, 26,  
 29–31, 40, 212  
 Tyszkowa, Maria 26, 39  
 Tyzenhauz, Antoni 111

**U**

- Ubryk, Barbara 84  
 Ulepiński, kolega Kryczyńskiego  
 ze studiów 135  
 Ułan, dowódca wojskowy, Tatar 174

**V**

- Verne, Juliusz 119–120  
 Villon, François 181

**W**

- Wagner, Wilhelm Richard 91  
 Wańkowicz, Melchior 22  
 Wasilewski, Z. 143  
 Weryński, Wojciech 198  
 Wielopolski, Aleksander,  
 margrabia 69, 74, 142  
 Wiesoliński, kolega Kryczyńskiego  
 ze studiów 133  
 Wiktór, Hieronim 116  
 Wilde, Oskar 74–75  
 Wincenty à Paulo, święty 86  
 Witold, wielki książę litewski 187  
 Władysław IV Waza, król Polski  
 110  
 Wolter 175  
 Wojciechowski, Tadeusz 47, 64–65  
 Woldan, Alois 7  
 Woronowicz, Tatar litewski (XIX w.)  
 194  
 Woronowicz, Ali Ismail 105  
 Wróbel, chłop z Różyc-Starej  
 Wsi 118  
 Wysocki, Szymon (XVI w.) 188  
 Wyspiański, Stanisław 28, 47,  
 71–72, 94, 140, 143

**Z**

- Zabielski, Łukasz 4  
 Zajączkowski, Ananiasz 21–22  
 Zakrzewski, Stanisław 21,  
 39–40, 63–64  
 Zamoyski, Jan 113–114  
 Zaszkilniak, Leonid 39  
 Zawadzki, Tadeusz 52

Zegadłowicz, Emil 95  
Zieleński, właściciel gospody  
(XVI w.) 184  
Zieliński, towarzysz wojennej  
tułaczki Kryczyńskiego 138  
Zygmunt, król Polski 116  
Zygmunt I Stary, król Polski 113  
Zygmunt II August, król Polski  
24, 110  
Zygmunt III Waza, król Polski  
184–185  
Zyta, święta 86

## **Ż**

Żeromski, Stefan 69, 94–95, 140  
Żuk, Igor Wasiliewicz 7  
Żyliński, biskup wileński 189



# NAUKOWA SERIA WYDAWNICZA

## „COLLOQUIA ORIENTALIA BIALOSTOCENSIA”

### **TOMY WYDANE:**

1. *Teodor Bujnicki. Ostatni bard Wielkiego Księstwa Litewskiego*, pod red. Tadeusza Bujnickiego, Białystok 2012.
2. *Żydzi wschodniej Polski*, Seria I: *Świadectwa i interpretacje*, pod red. Barbary Olech i Jarosława Ławskiego, Białystok 2013.
3. *Pogranicza, Kresy, Wschód a idee Europy*, Seria I: *Prace dedykowane Profesorowi Świetlanie Musijenko*, idea i wstęp Jarosław Ławski, redakcja naukowa: Anna Janicka, Grzegorz Kowalski, Łukasz Zabielski, Białystok 2013.
4. *Pogranicza, Kresy, Wschód a idee Europy*, Seria II: *Wiktor Choriew in memoriam*, idea i wstęp Jarosław Ławski, redakcja naukowa: Anna Janicka, Grzegorz Kowalski, Łukasz Zabielski, Białystok 2013.
5. Grzegorz Czerwiński, *Sprawozdania z podróży muftiego Jakuba Szynkiewicza. Źródła, omówienie, interpretacja*, pod red. Jarosława Ławskiego i Grzegorza Kowalskiego, Białystok 2013. (Studia Tatarskie, seria 1).
6. *Sybir. Wysiedlenia – Losy – Świadectwa*, pod red. Jarosława Ławskiego, Sylwii Trzeciakowskiej i Łukasza Zabielskiego, Białystok 2013.
7. *Żydzi wschodniej Polski*, Seria II: *W blasku i w cieniu historii*, pod red. Barbary Olech, Jarosława Ławskiego i Grzegorza Kowalskiego, Białystok 2014.
8. Tadeusz Bujnicki, *Na pograniczach, kresach i poza granicami. Studia*, Białystok 2014.

### **TOMY PRZYGOTOWYWANE:**

- *Podróże do serca islamu. Antologia międzywojennego reportażu polskich Tatarów*, wstęp, wybór i oprac. Grzegorz Czerwiński, Białystok 2014. (Studia Tatarskie, seria 3).
- *Wielokulturowy świat Siegfrieda Lenza*, pod red. Jarosława Ławskiego i Rafała Żytyńca, Białystok 2014.
- *Dramat w nowych ujęciach metodologicznych. Studia polsko-ukraińskie*, pod red. Natalii Malutiny i Jarosława Ławskiego, Odessa–Białystok 2014.

